

MROCIWA  
SERIA

MAREK  
KRAJEWSKI

dżuma  
w Breslau



W  
OLB



MAREK

**KRAJEWSKI**

**dżuma**

**w Breslau**

**w**  
**ab**  
KRAJEWSKI  
FUND

Copyright © by Marek Krajewski,  
2007  
Wydanie I  
Warszawa 2007

Doprowadzenie nowicjusza do utraty przytomności stanowi bardzo ważny element inicjacji w tajnych stowarzyszeniach. [...] Stan ten osiąga się /.../ poprzez okadzanie, chłostę, tortury. Celem jest „śmierć” nowicjusza.

Arnold van Gennep, Obrzędy przejścia  
(przel. Beata Biały)

...nie sposób przeniknąć zamysłów niewiasty  
czy męża, I zanim nie poddasz ich próbie  
niby zwierzęta w zaprzęgu.

Teognis z Megary (przel. Włodzimierz  
Appel)



**Kleidung wider den Tod zu Rom. Anno 1656.**  
Also gehen die Doctores Medici dahin zu Rom, wann sie die, ander Pest erbrachte Per-  
sonen besuchen sie zu curiren und fragen sich wider Gott zu sichern, ein langes Kleid von ge-  
wärten Tuch ist angezogen und verlarvt, für den Augen halten sie grosse Cristalline Brillen wide-  
r das man einen langen Schnabel will verwechsende Spreng, in der Hände welche mit hand schühern  
mit verischen ist, eine lange Lätzche und darmit drücken sie, was man thut, und gebrauch soll

Abb. 63. Pestarzt in einer Schutzkleidung. Kupf. von Paulus Fürst nach  
J. Columbina 1656. München, Kupferstichkabinett.

Breslau, czwartek 15 maja 1913 roku,  
kwadrans na trzecią w nocy

Wspinał się po żeliwnych schodach, które spiralnie otaczały maszynownię zakładów wodociagowych „Am Weidendamme”. Dookoła miarowo stukały koła zamachowe, zgrzytały suwnice, syczały pompy i agregaty. Brakowało mu tchu. Czuł mdłości spowodowane jednostajnym ruchem i wielką liczbą kół zakreślanych przez jego ciało od momentu, kiedy postąpił na pierwszy stopień kręconych schodów. Palce zaciskał na żeliwnej kratce, która wraz z barierką zabezpieczała przed wypadnięciem i przed śmiercią w trzewiach buchającego parą żelaznego potwora, tłoczącego czystą wodę w tętnice miasta. Wzrok mężczyzny ślizgał się po wypukłych firmowych nazwach, którymi pokryte były błyszczące od oleju maszyny. „Pieffke, Woolf, Ruffer, Zoelly” - migąło przed jego zmęczonymi oczyma.

Dotarł w końcu do zwieńczenia budynku, niewielkiej wieżyczki w kształcie małego domku. Wtedy przystanął i przez chwilę ciężko oddychał. Nocny strażnik, w mundurze i w czaku, bardzo podobnym do policyjnego, spojrzął na przybysza obojętnie i odwrócił wzrok. Nie zareagował nawet wtedy, kiedy zadyszany mężczyzna otworzył okno

i wyszedł na nieco pochyły dach wieży ciśnień. Podeszwy jego górskich butów przesunęły się niebezpiecznie po miedzianej blasze. Przez moment zdawało mu się, że straci równowagę. Machnął rękami i jedną z nich trafił w futrynę okna. Przytrzymał się kurczowo. Rozwinął grubą linę, którą trzymał pod pachą. Przywiązał do framugi okna na żeglarski węzeł, którego zapętenie trenował od tygodnia. Przez chwilę stał bez ruchu. Ubrany był w bawarską kurtkę z grubego sukna i także spodnie, ich przykrótkie nogawki opięte były sięgającymi kolan wełnianymi skarpetami. Na głowie miał kaszkiet, którego klapki zapięte były na guzik na czubku głowy. Z przyjemnością łapał w wysuszone wysiłkiem usta podmuchy nocnego wiatru.

Przez chwilę podziwiał panoramę miasta. Przed jego oczami rozpościerał się cichy i czarny pas Odry, migoczący tu i ówdzie światłami. Po prawej stronie ciągnęła się rozrywkowa ulica Am Weidendamme, pełna ogrodów, przeszklonych pawilonów, teatrzyków marionetek i zjeżdżalni dla welocypedystów. Mimo późnej nocy błyskały uliczne latarnie, a w niebo wznosiły się kiczowate melodie walców.

Mężczyzna włożył cienkie skórzane rękawiczki, potem odwrócił się ku domkowi wieńczącemu wodociągową budowlę i zaczął posuwać się do tyłu - w stronę krawędzi dachu. Lina rozwijała się, a po miedzianych płytach dachu bębniły szczeble sznurowej drabinki. W odległości metra od krawędzi zatrzymał się. Jedną dłoń zaciskał na szczeblu drabinki, drugą rzucił jej wolny koniec w dół. Nasłuchiwał przez chwilę. Nie usłyszał uderzenia drabinki o brukowaną nawierzchnię - siedem pięter niżej. Albo była za krótka, albo ten najbardziej



pożądany dźwięk został zagłuszony przez stukanie szczelbi o mur budowli, przez dźwięczenie szyb, o które uderzyło drewno. Pewnie nie dosięgła ziemi! Poczul zimny strach. Nie uda się, myślał, klękawszy kilka centymetrów od rynny. Jego buty wystawały poza krawędź dachu. Poczul na sobie wzrok strażnika. Wtedy palcami chwycił się szczelbi z taką siłą, jakby chciał z nich wycisnąć sok. Opuścił się cały poza krawędź dachu. Klucha tkwiąca w gardle uniemożliwiała mu oddychanie. Machał nogami i szukał nimi szczelbi drabinki. Przytulił mocno policzek do rynny. Ciężar ciała omal nie wyłamał mu rąk w stawach łokciowych. Lewy but natrafił na występ muru, prawy zahaczył o linę. Owinał sznur wokół łydki i uda tak czule, jakby to była noga kochanki. Wtedy odważył się oderwać od dachu. Dłonie zeszyły kilka szczelbi niżej. Skulił się i zakołysał pod samym okapem. Spojrzał w dół. Niepotrzebnie.

Jedno z okien na najwyższym piętrze zostało nagle zachłapane gęstymi kroplami. Siedem piętér poniżej granitowy bruk zwilgotniał. Wcale nie od wiosennego deszczu, który lunął z majowego nieba.

Breslau, czwartek 15 maja 1913 roku,  
trzecia w nocy

Mistrz strażacki Friedrich Olscher siedział obok swojego pomocnika Ericha Dobrentza na koźle wozu wyposażonego w wyciąganą drabinę. Ten najwyższej klasy sprzęt, sprowadzony niedawno z Kolonii, był dla mistrza strażackiego powodem do wielkiej dumy. Nie mógł tego jednak powiedzieć o celu swojej nocnej wycieczki.

Telegraficznie został bowiem zawiadomiony, że nie chodzi o pożar, lecz o wejście na wysoką kondygnację jednego z budynków publicznych. Zwykle kiedy jechał, a nade wszystko, kiedy wracał po ugaszeniu pożaru, podkreślał wąsa, łypał na prawo i lewo, doszukując się w spojrzeniach panien przerażenia i admiracji. Teraz, kiedy za Mauritiusbrücke zatrzymywał furgon przed wieżą ciśnień na ulicy Am Weidendamme, nie dostrzegał w spojrzeniach kilku podchmielonych kobiet, które wyległy z rozrywkowych ogródków, żadnego podziwu, lecz zaledwie cień zainteresowania. Cel jego nocnej misji nie był dziś dla mistrza strażackiego powodem do dumy.

Z trudem zrzucił z kozła swoje dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi i stanął oko w oko ze szczupłym mężczyzną, który właśnie zdejmował marynarkę i zakasywał rękawy. Kiedy podał ją stojącemu obok umundurowanemu policjantowi, spojrzał na sześć podłużnych wnek, które ciągnęły się przez całą prawie wysokość budynku.

- Asystent kryminalny Werner Quass - przedstawił się mężczyzna strażakowi i dodał władczym tonem, sposobnym do wydawania rozkazów. - Drabina na trzecie piętro. O tam. - Wskazał niezbyt wyraźny cień w trzeciej wnęce budynku. - Ja idę pierwszy. Pan za mną.

- Dobrentz - powiedział Olscher do swojego pomocnika podobnym tonem - wyprzęgaj konie i kręć korbą, a ja nakieruję drabinę.

Obaj strażacy przystąpili do swoich zadań. Kiedy drabina znalazła się przy wnęce, Quass zacisnął zęby na ogryzku cygara, wbił mocniej melonik i zaczął się wspinać, wypuszczając kłęby dymu. Olscher ruszył za nim. Jego wypięty zad wywołał wielką wesołość. Podchmielone

damy wybuchły śmiechem, a ich kawalerowie znaleźli sobie wdzięczny temat do żartów.

Olscher szedł za asystentem Quassem i widział jego lśniące buty, szybko śmigające po drabinie. Nagle się zatrzymały. Policjant dotarł prawie do końca - małego gniazda z niewielką barierką. Tuż obok na drabinie sznurowej wisiał mężczyzna w kaszkiecie. Był siny z zimna. Jego palce kurczowo zaciskały się na szczebelkach.

- Panie komisarzu, co pan tu robi, do kroćset, na tej drabinie? - wrzasnął Quass.

- A co to pana obchodzi? - odparł mężczyzna wysokim, drżącym głosem. - Może wykonuję zadanie operacyjne... Zabieraj mnie stąd i nie zadawaj głupich pytań.

Quass spojrział na Olschera. Ten dał znak Dobrentzowi, aby podkreślił jeszcze trochę drabinę. Wiszący mężczyzna wskoczył lekko do gniazda i wszyscy trzej zaczęli schodzić rakiem. Olscher przyśpieszył i nadzwyczaj szybko pokonywał drogę do furgonu. Podchmielone panny, widząc gwałtowne ruchy jego potężnych bioder, perliście się roześmiały. Ich kawalerowie rzucili grubymi dowcipami o tęgich zadach, grawitacji i lęku wysokości. Mistrz strażacki Olscher schodził jednak tak szybko nie dlatego, że cierpiał na lęk wysokości i chciał niczym mityczny Anteusz - dotknąć matki ziemi. Powodem tego pośpiechu był smród, jaki dochodził od mężczyzny, który niedawno jeszcze wisiał trzy piętra nad ziemią, a teraz jako ostatni schodził z drabiny. Olscher po raz pierwszy w życiu przeklinał swój fach. Z całą pewnością nie był dumny z dzisiejszej interwencji.

Las między Deutsch Lissa a Neunnarkt,  
sobota 30 czerwca 1923 roku, kwadrans na ósmą rano

Nadwachmistrz Eberhard Mock nie wiedział, jak sobie poradzić z uporczywym łaskotaniem, które naprzemiennie drażniło jego małżowiny - raz lewą, raz prawą. Wyobrażał sobie, że ma obok głowy dwóch brudnych obdartych urwisów, którzy ździebełkiem zakończonym zwiewną kitką łaskoczą jego uszy. Bał się otworzyć oczy, aby to nie okazało się prawdą. Wczoraj dużo wypił. Tak dużo, że mało co pamiętał z popołudniowych i wieczornych zdarzeń. Pewnie teraz leży gdzieś pod mostem, brudny i pokaleczony, a jacyś mali ulicznicy drażnią pijaka nadodrzańską trawką. Co będzie, jeśli jego przypuszczenia okażą się prawdziwe? Otworzy oczy i dobędzie zdarty głos z zachrypniętego gardła? Ulicznicy wcale się go nie wystraszą, lecz odskoczą od niego i z zuchwałym śmiechem będą biegali wokół, szydząc z niego bezlitośnie. On zaś będzie usiłował ich złapać, kręcąc się bezradnie i wzbudzając swe soki żołądkowe. Nie, wolał spoczywać w bezpiecznym świetle, za zasłoną zamkniętych powiek.

Usiłował wytoczyć trochę śliny z zaschniętych ślinianek. Z mizernym skutkiem. Jego podniebienie było szorstkie i jakby obsypane cementowym proszkiem. Zrobiło mu się niedobrze. Nie reagował. Leżał i zaciskał powieki. Po chwili poruszył palcami lewej dłoni. Mocno przycisnął palec serdeczny do małego. Palce ściśle do siebie przylegały. Nie powinny. Zwykle przeszkadzał im w tym złoty sygnet. Schowałem go na pewno do kieszeni, pomyślał, żeby mi nikt nie ukradł.

Wciąż nie otwierając oczu, sięgnął tam, gdzie spodziewał się znaleźć piękny wyrób mistrza kolońskiego Zieglera. Nie natrafił na znajome zagłębienie spodni, gdzie zwykle trzymał scyzoryk, tytoń i benzynową zapalniczkę. Jego palce prześliznęły się po nagiej skórze uda. Gdzie moje spodnie i gacie?

Mock usiadł i otworzył oczy. Nagi, pokryty kropelkami potu, siedział na leśnej polanie, a spowijała go jakaś stara kapota. Poranne słońce mocno przygrzewało. Poczul ukłucie za uchem. Klnąc, wsadził kciuk za małżowinę i zdusił jakiegoś owada. Odkleił palec od skóry z cichym plaśnięciem. Podniósł palec, by zobaczyć, co go łaskotało. Zupełnie nie zainteresowała go przyklejona do niego czerwona mrówka. Przeraziła różowa farba, którą umazana była jego dłoń. Spojrzał na udo. Widniało na nim pięć różowych smug od pięciu palców, którymi usiłował wtargnąć do nieistniejącej kieszeni. Nie było łobuzów łaskoczących go w ucho, nie było ubrania, nie było butów, nie było sygnetu. Był nagi nadwachmistrz Eberhard Mock z palcami prawej ręki umazanymi różową farbą. Bezbronny i wydany na pastwę kaca.

Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,  
trzy kwadranse na ósmą rano

Na St. Johannesplatz, głównym placu w podmiejskiej Deutsch Lissa, nie panował zwykły gorączkowy ruch. Ludzie przechodzący przez plac zastygali w milczeniu lub zwalniali kroku. Dwóch robotników, najwyraźniej zmierzających do pałacu baronostwa von Riepenhausen, zatrzymało gwałtownie rowery. Czeladnik z zakładu szklarskiego

Bernerta stał obok stosu szyb ustawionych na wózku i dzierżył bezmyślnie jedną z nich, jakby zapomniał, że miał zamiar dołożyć ją do reszty. Nawet szef gospody „Der Schwarze Adler” wyszedł przed lokal i cały czas wycierał przykrywkę kufla, choć to jego ścianki ociekały wodą. Dzieci zmierzające do pobliskiej szkoły, traciły nagle właściwą ich wiekowi ruchliwość i wlekły się dalej noga za nogą. Nikt z przechodniów mijających pomnik świętego Jana Nepomucena nie śpieszył się dzisiaj i nie gorączkował. Ich uwaga została tego ciepłego letniego poranka nagle czymś bardzo zaabsorbowana. Nie mogli się skupić na zwykłych czynnościach, a ich wzrok wciąż podążał w stronę postoju dorożek.

Dochodziły stamtąd podniesione głosy i świst przecinających powietrze batów. Nieogolony czarnowłosy mężczyzna koło czterdziestki usiłował wejść do wszystkich po kolei dorożek i przeklinał zachrypniętym głosem fiaków, którzy na jego wyzwiska i próby wtargnięcia do swoich pojazdów reagowali, jak umieli - tnąc go batem przez plecy. Ta obronna reakcja powstrzymywała go skutecznie. Mężczyzna ubrany był w pobrudzony jakimś smarem stary wełniany płaszcz, z którego wystawały przez liczne dziury fragmenty podszewki. To podłe odzienie zapięte było na trzy guziki, które omal się nie oderwały od naporu sporego brzucha. Spod płaszcza wystawały bose stopy i owłosione łydki. Najwidoczniej właściciel płaszcza nie miał na sobie spodni. Ze strzępów zdań można było wywnioskować, że fiakrzy uważali mężczyznę za wariata, co zachowanie tego ostatniego zdawało się potwierdzać. Jak bowiem mogli usłyszeć mieszkańcy Deutsch Lissa, człowiek ten nie miał pieniędzy, a chciał się dostać do swojego

domu w Klein Tschansch, czyli w miasteczku położonym dokładnie po drugiej stronie Breslau. Obiecywał przy tym sowitą zapłatę, zapewniając, że w domu ma sporo pieniędzy, czemu zdawał się zaprzeczać jego nędzny ubiór. Kiedy ostatni fiakier go odpędził, mężczyzna stanął na środku rynku, wśród straganów.

- Mam was w dupie, skurwysyny!!! Patrzcie, co robię! - krzyknął. - Będę szybciej w domu, niżbym jechał waszymi dryndami!!!

Powiedziawszy to, mężczyzna zrobił coś, co sprawiło, iż wielu przechodniów na St. Johannesplatz odwróciło wzrok. Osobliwie nie uczyniła tego żadna z kobiet. Nie odwrócił wzroku również wachmistrz policyjny Robert Starke, szef posterunku w Deutsch Lissa. Ścisnął rękojeść szabli, poprawił czako i ze ściągniętymi brwiami ruszył ku wariatowi.

Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,  
kwadrans na jedenastą rano

Wachmistrz Kurt Smolorz pracował w decernacie IV Prezydium Policji w Breslau, zajmującym się głównie sprawami obyczajowymi. Gdyby jednak nieliczni pracownicy tego wydziału, włącznie z jego szefem, doktorem Josefem Ilsheimerem, zostali nagle poddani wnikliwej inwigilacji przez berlińskich tajniaków z policyjnej komisji spraw wewnętrznych, okazałoby się, że ich życie prywatne jest zgoła nieobyczajne. Jedynym wyjątkiem był Kurt Smolorz. On nie korzystał z darmowych usług prostytutek, nie żądał od alfonsów części zarobków, nie upijał się za darmo w lokalach z nielegalnym wyszynkiem,

a w zamian za milczenie nie domagał się wsparcia od zdemaskowanych w tajnym homoseksualnym lokalu urzędników miejskich ani nie wymagał cielesnych usług od arystokratek złapanych w ramionach rzeźmieszka lub furmana. Ten rudowłosy małomówny czterdziestolatek wykonywał bez szemrania wszelkie polecenia doktora Ilsheimera, odrzucał korupcyjne propozycje alfonsów i rozkoszne awanse prostytutek. Od czterech lat był wzorowym mężem i obywatelem. Od czterech lat w ogóle nie pił alkoholu i nie zdradzał swojej żony z powodu wyrzutów sumienia, jakie wciąż targały nim na wspomnienie kilku narkotykowo-seksualnych orgii, w których uczestniczył właśnie cztery lata temu na zaproszenie pewnej baronowej. Swe obowiązki służbowe Smolorz wykonywał dokładnie i bez zbędnych pytań. Tylko jedno mogło go odwieść od sumiennego wykonywania poleceń. Był człowiek, którego rozkaz był dla Smolorza *suprema lex*. Człowiek, który cztery lata temu przeszedł metamorfozę po silnym załamaniu nerwowym. W odróżnieniu od Smolorza była to zmiana na gorsze.

Smolorz jechał jednym z ostatnich dwukołowych doktorwagenów, jakie były na wyposażeniu Prezydium Policji. Wydział kryminalny już dawno dysponował dwoma daimlerami, „cementownicy”, czyli decernat VI, który - nawiasem mówiąc - został wydzielony z decernatu IV zapuszczali dumnie silnik w nowiutkim horchu, a doktor Ilsheimer i jego ludzie wciąż musieli jeździć archaicznymi pojazdami i - co gorsza - sami powozić, co zyskało im mało zaszczytne miano „dryndziarzy”.



Doktorwagen Smolorza co chwila przystawał w długim ciągu furmanek, które wracały z targu w Deutsch Lissa ku Neumarkt. Skracał sobie czas, dokładnie odtwarzając w pamięci polecenie, jakie otrzymał. Tego ranka doktor Illsheimer około dziewiętej wezwał do siebie Smolorza i powiedział:

- Zatelefonował do mnie Polizeiwachtmeister Starke z posterunku w Deutsch Lissa. Aresztował dzisiaj rano pijaka, który obnażał się na targu. Pijak nie ma żadnych dokumentów. Podczas przesłuchania nie wyjawiał, ani jak się nazywa, ani kim jest. Powiedział tylko, że do Deutsch Lissa przywiózł go jakiś rolnik. Starke wsadził go do celi, aby tam wytrzeźwiał i odświeżył sobie pamięć. W celi siedzieli już trzej inni przestępcy, w tym jeden znany koniokrad. Ten na widok pijaka dostał szału i chciał go pobić. Twierdzi, że pijak jest policjantem. Starke musiał przydzielić pijakowi do ochrony jedyne posterunkowe. Twierdzi, że pijak zdeorganizował mu pracę. Ma urwanie głowy podczas jarmarku. Zadzwoił zatem do sekretariatu prezydenta policji Kleibömera, sekretarz prezydenta do nas. A teraz polecenie. Macie zabrać tego pijaka, Smolorz, przesłuchać i sprawdzić, czy nie ma go w naszym rejestrze publicznych gorszycieli. A potem sporządźcie raport i przekażecie całą sprawę sekretarzowi sędziego Ulmera.

Smolorz powtarzał to sobie kilka razy w czasie jazdy przez miasto. Słowo w słowo odtwarzał polecenie Illsheimera, kiedy wjeżdżał w zadrzewioną Bismarckstrasse, przy której mieścił się budynek urzędowy oznaczony numerem 5, jednocześnie posterunek policji, areszt, urząd i przytułek dla biednych w Deutsch Lissa. Zatrzymał doktorwagena przed samym wejściem, przywiązał lejce do barierki przy krawężniku,

pogłaskał konia po chrapach i wszedł do królestwa Polizeiwachtmeistra Starkego.

Półmrok i chłód panujący na posterunku natychmiast przyniósł ulgę Smolorzowi, który podczas długiej podróży w rozprażonej brezentowej budzie wydzielał z siebie ostatnie poty. W poczekalni siedziała młoda kobieta w szarej sukience z czarnym paskiem modnie opuszczonym poniżej linii bioder. Na widok Smolorza zasłoniła twarz włosami. Były one jednak na tyle rzadkie, że wachmistrz mógł zauważyć potężnego siniaka, w którym błyskało ledwo widoczne, małe, zapuchnięte oko. Polizeiwachtmeister spisywał zeznania kobiety, maczając w wielkim kałamarzu kościaną obsadkę ze stalówką. Za nim w specjalnym stojaku tkwiła szabla.

- Wachtmeister Kurt Smolorz z Prezydium Policji. Po więźnia - krzyknął Smolorz, pokazując legitymację, a dziewczyna wzburzyła rzadkie jasne włosy, usiłując odgrodzić się zupełnie od spojrzeń funkcjonariusza kripo.

- Po tego penera? - zapytał Starke.

- Tak - odparł Smolorz i przez ramię policjanta rzucił okiem na protokół. Nazwisko przesłuchiwanej kobiety wydało mu się znajome.

- Proszę to podpisać. - Starke podsunął dokument Smolorzowi, a potem wstał i wolnym krokiem ruszył do celi aresztanckiej.

- Helmut, dawaj tego penera - krzyknął - a potem zamykaj celę, idź na jarmark i zobacz, czy to prawda o tych dwóch Cyganach, co się niby pobili o konia.

Smolorz, podpisując protokół przekazania aresztowanego, przyglądał się pobitej kobiecie. Już prawie sobie przypomniał, skąd ją zna,

kiedy dźwięk bosych stóp, klaskających po posadzce, oderwał myśli policjanta od pobitej kobiety. Spojrzał na aresztanta, którym miał się dzisiaj zająć. Nieszczęśnika opinał przyciasny brudny paltot. Jego prawa dłoń schowana była w połach okrycia, jakby się czegoś wstydził. Smolorz całkiem zapomniał o blondynce. Co więcej - w jednej chwili zapomniał o służbowym poleceniu doktora Ilsheimera. Podpisał protokół, kopię przekazał Starkemu, wziął pijaka pod ramię i wyprowadził go na zewnątrz.

- Wieźcie mnie do prezydium, Smolorz - wyszeptał do ucha aresztant, owiewając go kwaśnym alkoholowym wyziewem - tam u Achima Buhracka mam zapasowe ubranie. Po drodze kupicie mi dwa piwa marcowe. I wyrzucie, kurwa, ten głupi protokół.

- Tak jest - odpowiedział Smolorz.

Był tylko jeden człowiek, którego rozkaz był dla Smolorza zawsze *suprema lex*.

Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,  
południe

Klara Menzel i Emma Hader były rówieśniczkami i miały za sobą podobne doświadczenia życiowe. Pochodziły z małych miasteczek dolnośląskich, ze skłóconych, biednych rzemieślniczych rodzin, w których pieniędzy nie brakowało jedynie na piwo i najtańszy tytoń dla ojca. Mydliny i proszki niszczyły urodę ich matek, a alkohol powodował rozległe blizny i węzły w wątrobach i trzustkach ich ojców. Kiedy wybuchła wielka wojna, zostali zmobilizowani, a one same

oraz ich liczne rodzeństwo pozostały na utrzymaniu spracowanych matek. Na początku wojny dziewczyny miały po osiemnaście lat oraz ukończone szkoły zawodowe. Klara została krawcową, Emma - kucharką. To była pierwsza z dwu różnic w ich curriculum vitae. Drugą i ostatnią byli ich deflatorzy. Klarę posiadał kuzyn inwalida wojenny, Emmę - niespokrewniony z nią pięćdziesięcioletni pastor z Frankenstein. Potem już były same podobieństwa. Obie wyjechały do stolicy śląskiej prowincji, aby w Breslau rozpocząć nowe życie. Obie były realistkami i nie wierzyły, że będzie usłane różami. Powiedziały to sobie wyraźnie, kiedy przypadkiem poznały się w jakiejś jadłodajni i postanowiły dla oszczędności wynająć wspólnie pokój. Nie spodziewały się jednak, że Breslau będzie tak niegościnne. Kiedy straciły kolejną pracę i nie miały pieniędzy na komorne, poddały się biegowi zdarzeń i przyjęły dość niekonwencjonalną propozycję erotyczną właściciela kamienicy. Po kamieniczniku pojawili się inni mężczyźni i tym razem konwencjonalne propozycje erotyczne. Następnie ruszyła cała lawina: pierwsza rzeźączka, pierwszy alfons, pierwszy zapis w rejestrze wydziału obyczajowego Prezydium Policji. Mijały lata. Klara Menzel i Emma Hader dobiegały trzydziestki i zadomowiły się w nadodrzańskej metropolii.

Latem najlepiej czuły się w kawiarni Franka przy Matthiasplatz 1 świeżo po jej otwarciu. Do jej przytulnego i chłodnego wnętrza uciekały ze swojego mieszkania na poddaszu domu na Matthiasplatz, gdzie od rana do wczesnego popołudnia paliło słońce, w umywalce i w dzbanie z wodą pływały utopione w nocy pluskwy, a grube, lśniące muchy, ogłupiałe od upału, obijały się o sufit. Tutaj, w kawiarni Franka, nie było much ani pluskiew, za szybą piętrzyły się ciastka, w bufecie

tryskały małe fontanny lemoniady, błyszczały kopczyki lodów „Lagnese” i syczały syfony. Obok nich siadali uprzejmi dziennikarze z kilku okolicznych redakcji i kulturalni uczeni ze stacji agronomicznej, znajdującej się w tej samej bramie. Rzadko kiedy ludzie lubią swoje biuro. Klara i Emma lubiły.

Siedziały teraz przy stoliku, piły kawę, paliły papierosy i udawały same przed sobą, że nie mają najmniejszej ochoty na słodycze. Nie mogły sobie pozwolić na nie z dwóch powodów. Po pierwsze, ich alfons Max Niegsch opłacał im u Franka jedynie cztery kawy dziennie, a za wszystko pozostałe musiały płacić z własnej kieszeni, po drugie, obie zmuszone były szczególnie pielęgnować narzędzia pracy - czyli własne ciała - i nie dopuszczać do znacznych okrągłości, które lubiła jedynie bardzo ograniczona liczba klientów. Siedziały zatem w milczeniu i uśmiechały się do siebie, słuchając z patefonu słodkiego dwugłosu Ilse Marwengi i Eugena Reksa w piosence o dziewczęcym sercu, które gdzieś się zagubiło.

Nie tylko one uśmiechały się w to upalne czerwcowe południe. Uśmiech rozkwitał na przeoranej blizną twarzy Maksu Niegscha, kiedy w swej białej marynarce z krótkimi rękawami i w białym kaszkiecie wszedł do półciemnego lokalu. Jedną ręką pomachał swoim podopiecznym, drugą wezwał kelnera.

- Dzień dobry, moje kochane - pochylił się nad jedną i drugą i zamlaskał wargami na ich policzkach. - Piękna pogoda, nieprawdaż?

- Prawdaż - odpowiedziały chórem.

- Piękny dzień, dobry dzień - Niegsch wstał i lustrował bardzo dokładnie piramidy ciastek. Był niewiele wyższy od baru. - Dobry dla

nas wszystkich. Dla was i dla mnie.

- Co, jakiś klient? - zapytała Klara.

- To normalne, co w tym dobrego? - ziewnęła Emma, jakby Klara uzyskała odpowiedź twierdzącą na swoje pytanie. - Codziennie mamy klientów. Nie jesteśmy znowuż takie ostatnie!

- Cieszcie się, dziewczyny! - krzyknął Niegsch. - Co z tego, że codziennie macie klientów? Codziennie wstaje dzień i z tego też się należy cieszyć! Dla mnie lampka koniaku, mój mały - powiedział do kelnera, który stał przy nich już dłuższą chwilę. - A dla moich pań dwa razy szarlotka z bitą śmietaną i dwa puchary lodów.

- A mogę zamówić coś innego? - zapytała Emma z niewinnym uśmiechem. - Nie lubię szarlotki.

- No jasne - mruknął Niegsch bez entuzjazmu i pomachał nogami, które nie dotykały podłogi.

- Poproszę sękacza od Mikscha - zażyczyła sobie Emma. - Również dla Klary.

- Aż tyle dzisiejsze zlecenie nie jest warte! - warknął Niegsch i zwrócił się do kelnera: - Podaj, kochany, tym paniom to, co wcześniej zamówiłem.

- Tak jest - odpowiedział kelner i odpłynął ku barowi.

- To zlecenie jest bardzo dobre - uśmiechnął się krzywo Niegsch, jakby chciał zatuszować grubiaństwo. - Ale nie tak drogie jak sękacz od Mikscha. Szarlotka wystarczy.

- Za ile, kiedy, gdzie i kto? - zapytała obojętnie Klara, stopniując pytania wedle ich ważności.

- Coś takiego jak z tymi młodzikami? - w głosie Emmy zdrzałał niepokój.

Zanim Niegsch zdążył odpowiedzieć na te fundamentalne pytania, zjawił się kelner z tacą i wykrochmaloną na sztywno serwetą. Klara i Emma, nie czekając na odpowiedź swojego opiekuna, wbiły łyżeczki w lodowe kule, żłobiąc w nich kaniony i kratery. Już dawno nie jadły tak dobrych lodów. To musiało być rzeczywiście wyjątkowe zlecenie. Od trzech lat, czyli od momentu, kiedy Mały Maksio roztoczył nad nimi opiekę, tylko dwa razy był dla nich tak hojny. Po raz pierwszy, kiedy ponad rok temu w jeden wieczór umożliwiły dwudziestu maturzystom z gimnazjum Świętego Jana zaliczenie prawdziwego egzaminu dojrzałości. Wtedy właśnie postawił im sękacz od Mikscha. Emmie, kiedy przypominała sobie tych szorstkich, niedomytych i nieświadomie brutalnych maturzystów, zrobiło się niedobrze i odłożyła łyżeczkę. Nie mogła zapomnieć zapłakanej i rozwścieczonej twarzy jednego z nich, kiedy wyśmiewała jego skurczoną męskość. Inni nie płakali. Byli zdecydowani i nie wahali się zadawać bólu. Pamiętała ich determinację i pogardę. Wyobraziła sobie, że jutro - tak jak wtedy - będzie schodzić po schodach z czwartego piętra na szeroko rozstawionych nogach.

- Mów, Max. - Klara doskonale wyczuła niepokój przyjaciółki.

- Odpowiadam na twoje pytania, pączuszk. - Niegsch wypił pół lampki koniaku. - Za dziesięć milionów marek, z czego tylko dwadzieścia procent dla mnie, a nie połowa jak zwykle. Kiedy? Za godzinę. Gdzie? Gartenstrasse 77. Z kim? Jeden facet. Napalony jak osieł. Mówi, że was zna, że byliście kiedyś bardzo dobre...

- Nie powiedziałaś jeszcze, co mamy robić za tak dużą sumę. - Emma wciąż była niespokojna. - Mamy włożyć pikielhauby?

- To by było ciekawe! - Niegsch roześmiał się głośno. - Ależ nic takiego! To drobiazg. Macie pobawić się w Safonę. I tyle. To drobiazg dla was. Przecież wszyscy was nazywają „papużkami nierozłączkami”. Na pewno nieraz to robiłyście ze sobą. U siebie, tam na poddaszu. Tak dla zabawy, z nudów... A teraz zrobicie to za dużą forszę. Facet najpierw będzie patrzył, a potem się do was przyłączy. Już mi zapłacił. Chcecie zobaczyć tę forszę? - Mówiąc to, wyjął z ogromnego pugilaresu plik banknotów i położył je na stole. - Macie, oto wasza część. Daję wam z góry, z własnej kieszeni. Ja sam odbiorę swoją później. Widzicie, jak wam ufam, widzicie, jak was lubię?

Klara i Emma nawet nie spojrzały na pieniądze. Choć nie kończyły gimnazjum klasycznego, doskonale wiedziały o skłonnościach seksualnych starożytnej poetki z Lesbos i jej młodych wychowanek. Poznały również w praktyce te zachowania, kiedy kilka lat temu za sowite honorarium zostały zaproszone na pewne damskie przyjęcie. Okazało się ono jakimś nabożeństwem, pełnym recytacji i obcojęzycznych śpiewów, a uczestniczące w nim damy - zamroczone i ukryte pod kapturami - stały się wyuzdane i agresywne. Klara i Emma uciekły z tego przyjęcia ciemną nocą i długo leczyły siniaki i oparzenia na swych ciałach.

- Nie - odpowiedziała twardo Emma - wsadź sobie w dupę te pieniądze. Nie bierzemy tego.

- Ostrzegam cię - wysyczał Mały Maksio, wstając gwałtownie od stolika. - Jeśli nie przyjmiesz ode mnie tego zlecenia, przekażę cię pod



opiekę Georgowi Nożownikowi. A wiesz, co robi Georg nieposłusznym dziewczynkom? Wiesz, dlaczego ma pseudo „Nożownik”, no wiesz, głupia krowo, czy nie?

- Nie boimy się ani ciebie, ani Nożownika - odrzekła zuchwale Emma. - Kiedy zaczynałyśmy dla ciebie pracować, nie było mowy o żadnych zboczeniach. Miało być normalne fiku-miku kobiety i mężczyzny. Ewentualnie „dmuchanie balonika” i „wejście od kuchni”. To robią wszystkie dziewczyny.

Max Niegsch długo patrzył w oczy Klarze i Emmie. W końcu zrozumiał. To była kwestia szacunku, przyjaźni i zaufania. Powinien okazać im szacunek, ciepłe uczucia i hojność. Zwłaszcza hojność.

- Mój śliczny! - krzyknął do kelnera. - Przynieś, proszę, tym paniom to, co zamawiały na początku! I trzy lampki likieru katedralnego od Galewskiego! Najdroższego! A teraz jeszcze raz porozmawiajmy - zwrócił się do swoich podopiecznych. - Po przyjacielsku i spokojnie.

Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,  
trzy kwadransy na pierwszą po południu

Kurt Abendt, dziesięcioletni syn dozorczy z Gartenstrasse 77, był coraz bardziej zaniepokojony i nie mógł uporządkować sprzecznych uczuć, które nim targały. Ścisnął w rękę dzisiejszą „Illustrierte Woche”, tygodniowy dodatek do „Breslauer Neueste Nachrichten”, i zastanawiał się, co powinien zrobić. Bardzo korciło go, aby przeczytać wiadomości sportowe i dowiedzieć się, kto zwyciężył w rozegranym

wczoraj w Sztokholmie meczu Niemcy-Szwecja. Wiedział jednak, że radca kolejowy, doktor Paul Scholz, mieszkający samotnie w dużym frontowym mieszkaniu numer 18 na ostatnim piętrze, nie znosi, aby gazeta miała ślady czytania. „Za co ci płacę, mały łobuzie? - narzczywał niegdyś na Abendta. - Za to, abyś w soboty, kiedy ten niedołęga, mój służący, ma wolne, wstawał wcześniej rano i przynosił mi do śniadania BNN z dodatkiem ilustrowanym. Gazeta ma być sztywna i pachnąca farbą, a nie pogięta i wyobracana jak stara dziwka!” Chłopiec o starych i młodych dziwkach miał wyobrażenie bardzo niejasne, wiedział o nich tylko tyle, ile wyjawiał mu czternastoletni Ernst Frankę, a mianowicie, że nie noszą majtek. Miał jednak całkowitą pewność, że emerytowany radca kolejowy o niewyparzonym języku płaci mu pięćset marek za dostarczenie przed śniadaniem niepogiętej gazety. Kłopot chłopca polegał jednak na tym, że była prawie pora obiadu, a w mieszkaniu radcy nikt nie odpowiadał na jego czterdzieste już chyba dzisiaj energiczne stukanie i równie uporczywe dzwonienie.

Abendt usiadł na stołeczku przed drzwiami radcy Scholza i najdelikatniej, jak mógł, ograniczając do minimum szelest dużej płachty papieru, przeglądał gazetę. Ku swojej rozpaczycy dowiedział się, że narodowa reprezentacja Niemiec przegrała ze Szwecją 1:2. Kiedy chciał poznać więcej szczegółów tej strasznej piłkarskiej porażki, usłyszał nieco zniekształcony, lecz potężny jak zawsze głos radcy kolejowego.

- Połóż gazetę pod drzwiami, Kurt - zadudnił głos radcy spoza drzwi. - Źle się dzisiaj czuję.
- A moje pięćset marek? - zapiszczał Abendt.

Zaległa cisza. Chłopiec podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Usłyszał jakby szmer cichej rozmowy. Z lekkim zgrzytem podniosła się mała klapka z napisem „Listy” i spod niej wypadł banknot pięćsetmarkowy. Abendtowi wydawało się, że banknot został wypchnięty przez dłoń w rękawiczce. Radca Scholz, mimo iż był ekstrawagancki, nigdy nie włożyłby rękawiczek w domu. Czując się jak łobuziaki Max czy Moryc z historyjki Wilhelma Buscha, Abendt położył gazetę pod drzwiami, schował banknot do środkowej kieszeni krótkich spodenek, poprawił szelki przypięte guzikami do nich i zbiegł na półpiętro, głośno tupiąc. Po sekundzie wspiął się na poręcz i z małpią zręcznością przeskoczył na schody, które wznosiły się nad wejściem do mieszkania radcy Scholza i prowadziły prosto na strych. Stamtąd obserwował, jak uchylają się drzwi i dłoń w rękawiczce wciąga gazetę do przedpokoju. Siedział przez chwilę bez ruchu i zastanawiał się, co powinien zrobić. Doszedł do prostego wniosku, że o wszystkim musi niezwłocznie zawiadomić swojego ojca, który siedział teraz w gospodzie Laugnera obok sklepu z płytami i wraz z okolicznymi fiakrami prowadził przy piwie wielką politykę europejską. Hausmeister Abendt w letnie miesiące zawsze około południa robił sobie przerwę w pracy, na odpowiedzialny odcinek pilnowania kamienicy wysyłał syna. Pan Abendt o trzeciej wracał do domu, zjadał spóźniony obfity obiad, drzemał do piątej, po czym znów podejmował swoje obowiązki.

Chłopiec się zdecydował i cicho zaczął schodzić po schodach. Kiedy już minął drzwi radcy Scholza, usłyszał damskie głosy i poczuł woń perfum. Z półpiętra, zza krzywizny poręczy, wynurzyły się dwie

umalowane kobiety i zlorzeczyły cicho wysokości, na którą musiały się wspinać. Spojrzały obojętnie na mijającego je chłopca, któremu oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Nie spuszczał wzroku z kobiet również wtedy, kiedy znalazł się pół piętra niżej. Zadarł głowę i jego oczy zrobiły się wielkie jak młyńskie koła. Po raz pierwszy w swym krótkim życiu zobaczył damskie pudenda. Żadna z kobiet nie nosiła majtek. Oparł się o ścianę, ciężko dyszał i nasłuchiwał. Usłyszał najpierw dźwięk, który doskonale znał - dzwonek w mieszkaniu radcy Scholza. Potem trzask i nieznany mu męski głos.

- Jesteście, ślicznotki - zachrypiął przepalony bas - bardzo punktualne. To lubię, to lubię... Wchodźcie, wchodźcie!

Kurt Abendt zbiegał po schodach na łeb, na szyję. Układał w myślach, co powiedzieć ojcu. Że pan radca Scholz nie otwierał drzwi do południa. Że ktoś inny odebrał gazetę. Że do pana radcy i do tego innego przyszły dwie dziwki. Spodziewał się, że zaimponuje ojcu swoją sumiennością, a jego kolegom fiakrom - rewelacjami na temat pana radcy Scholza. Niestety, pomylił się. Ojciec po wypiciu czwartego dziś „zajączka” był zainteresowany jedynie sytuacją w Zagłębiu Ruhry po zajęciu go przez wojska francuskie i belgijskie i wraz ze swoimi kolegami uznał rewelacje syna za kompletne brednie. Posadził go przy stole, kupił mu nawet lemoniadę, lecz za nic nie chciał opuścić chłodnego wnętrza lokalu Laugnera. Po dwóch godzinach wrócił wraz z synem do domu, zjadł obiad i położył się spać. Kiedy się obudził po drzemce, zobaczył, że Kurt wciąż mówi o radcy Scholzu. Pan Abendt postanowił sprawdzić, co się dzieje ze starym nudziarzem.

Ruszył na górę, zabrawszy ze sobą zapasowe klucze. Narzekał przy tym i przeklinał przeczucia syna. Bardzo nie lubił, kiedy burzyło się ustalony rytm dnia.

Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,  
wpół do siódmej wieczór

Mock siedział wygodnie rozparty w fotelu na środku pokoju i błogosławił stare platany, które otaczały dom rozrywki „Friebeberg” przy Kaiser-Wilhelm-Platz i wygaszały żar bijący od rozpalonego bruku ronda. Drzewa ponadto tłumiły krzyki dzieci, które nie miały nic lepszego do roboty niż bawić się w berka lub - sądząc po błaganiach jakiegoś nieszczęśnika - w Indian skaczących wokół pala. Bez tych drzew Mock odczuwałby w dwójnasób poalkoholowe pragnienie, kwaśność żołądkowych odruchów, niecierpliwie wezwania jelit. Gdyby nie te wysokie drzewa z łuszczącymi się płatkami kory, Mock nie doznawałby teraz niczego oprócz cierpkich wyrzutów sumienia, spowodowanych głuchą niepamięcią wczorajszych zdarzeń.

Nie tylko błogosławiony cień platanów pozwalał Mockowi na chwilę zapomnienia. Walnie przyczyniała się do tego młoda brunetka, klęcząca u jego stóp. Niestety - odprężenie, jakie dziewczyna dawała sfatygowanemu policjantowi, nie mogło stać się głębokie i zupełne, ponieważ co chwilę przerywała ona swą czynność, by pociągnąć nosem.

- Przepraszam pana, panie radco kryminalny - powiedziała towarzyszką Mocka głuchym głosem - mam katar. Nie gniewa się pan?

- Pochodzisz chyba z Austrii, co, moja mała? - zapytał Mock, głaszcząc ją po głowie.

- Tak, spod Salzburga - potwierdziła dziewczyna, niepewnie się uśmiechając. - Poznaje pan po akcencie?

- Nie, nie po akcencie, moja kochana Hilde - odpowiedział Mock, lekko chwytając ją za piegowaty nos. - Znamy się nie od dziś i wiesz, że jestem nadwachtmistrzem, nie radcą kryminalnym. A ty tytułujesz mnie o rangę wyżej. To zwyczaj austriacki...

- Rzeczywiście - już bardzo pewnie uśmiechnęła się dziewczyna. - Tak mówiła zawsze moja mama. Ona nawet przesadzała. Jednego klienta tytułowała „radcą dworu”, a on był zwykłym listonoszem. Nie gniewa się pan, naprawdę? Tak mi przykro...

- Ależ nie - Mock podniósł się z fotela, stanął przy oknie i przyglądał się liściom płatanu, które filtrowały kurz, wieczorny upał i okrzyki dzieci. - Nie mogę się na ciebie gniewać. Jesteś taka miła...

Wciągnął kalesony i zbliżył się do okna. Wyrzwał przez nie. Do kamienicy, w której mieścił się dom uciech, zbliżał się szybkim krokiem tęgi młodzieniec w czarnym ubraniu. Tusza, kamizelka, sztywny półokrągły kołnierzyk oraz kaszkiet wydobyły na jego twarz gęste krople potu. Mock współczuł mu, tym bardziej że skądś go znał. Nie mógł sobie jednak przypomnieć skąd. Po minucie usłyszał dzwonek w holu. Dobrze tu sobie gruby podupcy, pomyślał z sympatią o młodzieńcu, tutaj zrzuci swój czarny pancerz, będzie mu chłodno i przyjemnie. Spojrzał na Hildę, która zachęcająco ułożyła na tapczanie swe ciało, przystrojone - na wyraźną prośbę Mocka - jedynie w pończochy i wysokie sznurowane trzewiki.

- Jesteś bardzo miła, Hilde - Mock powtórzył komplement, rozwiązał tasiemkę kalesonów i zbliżył się do tapczanu. - Wykorzystam

twoje wdzięki w tradycyjny sposób. A tergo.

- Dobrze - rzekła dziewczyna i przyjęła pozycję umożliwiającą nadwachmistrzowi spełnienie jego potrzeb. Podobnie jak kilka ulubionych dziewcząt Mocka znała doskonale erotyczne znaczenie łacińskich określeń *a fronte*, *a tergo*, *per os*. Była jednak jedyną, która wiedziała, dlaczego policjant ich używa. „Żadna o to nie pytała - odpowiedział jej kiedyś. - Cieszy mnie twoja pasja poznawcza. Wyjaśnię ci. Niemieckie wyrażenia są albo wulgarne, albo anatomiczne. Odwołajmy się do języka starożytnych Rzymian, którzy doskonale znali różne odmiany *ars futuendi*”.

Mock dopasował się do dziewczyny i rozpoczął to, co obiecał. Wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Co jest? - krzyknął, nie przerywając czynności.

- Gонец z policji przyniósł list do pana nadwachmistrza - burdelmama Ida Zimpel nie pochodziła z Austrii i używała właściwych tytułów. - To bardzo ważne.

- Wejdz tu i czytaj głośno! - rozkazał Mock i napał na ciało dziewczyny tak mocno, że jęknęła sprężyna w tapczanie. - Tylko rozstaw parawan, bo jestem trochę wstydlivy.

Zimpel weszła do pokoju, nie okazując najmniejszego zdziwienia, rozłożyła wiklinowy parawan, oddzielający parę na tapczanie od reszty pokoju, usiadła w drugim fotelu i włożyła binokle.

- Czytam, jak leci - powiedziała. - „Breslau, 30 czerwca 1923 roku, radca kryminalny, szef policji kryminalnej Heinrich Mühlhaus do nadwachmistrza Eberharda Mocka w sprawie: Zabójstwo przy Gartenstrasse 77, mieszkanie nr 18. Wzywa się pana nadwachmistrza

Eberharda Mocka w celu identyfikacji zwłok na miejsce zbrodni przy Gartenstrasse 77, mieszkanie 18”.

- Ten posłaniec jeszcze tam jest? - zapytał Mock i przypomniał sobie, skąd znał tęgiego młodzieńca.

- Jest - odrzekła Zimpel.

- Powiedz mu, proszę - bas Mocka zabrzmiał złowrogo - że nigdzie nie idę. Jestem po pracy. A właściwie przy bardzo ciężkiej pracy.

Madame wyszła, a Mock ani na chwilę nie dawał odpocząć zmęczonej już nieco Hilde. Po chwili pani Zimpel znowu pojawiła się w pokoju.

- Posłaniec dał mi jakąś wizytówkę - powiedziała, poprawiając binokle. - Doktor Heinrich Mühlhaus. Z tyłu jest na niej coś napisane. Przeczytać?

- Czytaj!

- „Przewidziałem pańską reakcję, Mock - dukała madame. - Jest pan bardzo potrzebny wydziałowi kryminalnemu. Być może zawsze będzie nam pan potrzebny”. To **zawsze** jest dwa razy podkreślone. „Trzeba zidentyfikować zwłoki, a nikt nie zna takich kobiet tak dobrze jak pan”.

Mock wbił palce w miękkie biodra Hildę, sapnął jeszcze głośniejsz, znieruchomiał i oderwał się od dziewczyny. Ona opadła na brzuch, przekręciła się na plecy i głośno westchnęła. Dreszcz szarpnął jej ciałem. Mock odchrząknął, zszedł z tapczanu, odgarnął z czoła Hilde nieco wilgotne włosy i pocałował ją czule w policzek. Potem naciągnął kalesony. Były one stanowczo za małe, podobnie jak reszta jego garderoby, którą odebrał od zaufanego strażnika więziennego. Usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Drugą dłonią przesunął po wypukłym brzuchu, ścierając z niego kilka kropel potu.



- Zabito jedną z nas? - zapytała pani Zimpel z za parawanu.
- To nie twoja sprawa - Mock powiedział to bardzo łagodnym tonem. - Podaj mi, proszę, tę wizytówkę i zostaw mnie z Hilde. Jestem trochę wstydlivy.

Madame uczyniła to, co Mock jej kazał. Policjant zgasił papierosa i nie spuszczał wzroku z dwukrotnie podkreślonego przysłówka „zawsze”. Mógł znaczyć tylko jedno: „Chciałbym cię widzieć na stałe wśród moich podwładnych”. A to obiecywało bardzo wiele. Koniec ze spisywaniem prostytutek i ze sprawdzaniem ich książeczek zdrowia, koniec przesłuchiwania zatwardziałych, zuchwałych alfonsów, którzy wykorzystywali naiwne dziewczyny z prowincji, służące zapłodnione przez ich pana i władcę, egzaltowane pannice, uwiedzione przez przymilnych, wybrylantynowanych donżuanów w kapeluszach typu panama. Koniec z oglądaniem siniaków pod oczami, brudnej sztywnej pościeli i wenerycznej wysypki. Teraz będzie prawdziwym policjantem. Niedługo zostanie radcą kryminalnym. Pogromcą morderców, bandytów, gwałcicieli i złodziei. Jego nieżyjący ojciec Willibald Mock, uczciwy i uparty wałbrzyski szewc, byłby z niego dumny. Był tylko jeden szkopał. Mock nie wierzył Mühlhausowi. Znał jego uwodzenie. Znał jego wabiki. Wiedział, jaki będzie smutny koniec tego chwilowego romansu z policją kryminalną. Porzucenie i powrót do burdeli, do woni potu i pudru, do zwierzeń tak nieszczęśliwych i banalnych, że wywoływały u Mocka furję. Nie wierzył Mühlhausowi. Ojciec już nigdy nie będzie z niego dumny.

- Nigdzie nie idę, kochanie - powiedział z uśmiechem do Hilde - zostaję tutaj z tobą.

- Coś się stało? - Dziewczyna usiadła na łóżku i oparła zaczerwienione łokcie na kolanach obleczonych w czarne pończochy.

- Nieważne - mruknął i nalał sobie z syfonu wody sodowej do szklanki. - I tak nie zrozumiesz.

- Może jestem głupia, ale jedno rozumiem. - Hilde prawie hipnotyzowała Mocka swymi wielkimi, czarnymi oczami. - Ten, kto do pana radcy napisał, miał świętą rację. Nikt nie zna kobiet lepiej od pana radcy. I jakieś kobiety potrzebują pańskiej pomocy...

Mock nie zareagował. Hildę wciąż się w niego wpatrywała. Krzyk małego ulicznika zbudził Mocka z odrętwienia. Poczł silne pragnienie. Znowu nalał sobie wody sodowej. Potem leniwym ruchem sięgnął pod krzesło po buty.

- One potrzebują już tylko księdza - powiedział cicho.

- Proszę? - Hildę nie dosłyszała.

- Powiedziałem jedynie - sapnął Mock, naciągając pod kolanem podwiązkę do skarpet - że ja znam dobrze kobiety, a ty znasz dobrze mnie.

Uśmiechnęła się. W jej oczach było ciepłe oddanie. Mock cieszył się, że Hilde nie dosłyszała jego wypowiedzi o księdzu. Cieszył się również, że do jej uszu nie dotarł wyraz „takich” poprzedzający wyraz „kobiet” na wizytówce Mühlhause. Nie zamierzał niczego prostować. Mock pozbawiał ludzi złudzeń tylko wtedy, kiedy musiał.

Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,  
kwadrans na ósmą wieczór

Mock kazał dorożkarzowi zatrzymać się na podjeździe przed Dworcem Głównym, ponieważ nie bardzo wiedział, gdzie jest kamienica numer 77. Rzucił fiakrowi kilka banknotów, którymi poratował go dzisiaj nieoceniony Smolorz, i ledwo wydostał się z dorożki. Te niemałe trudności z poruszaniem nie wynikały ani z kaca, ani z upału, który zresztą pod wieczór zelżał. Policjant nie chciał wykonywać gwałtownych ruchów, ponieważ obawiał się, że odpadną wszystkie guziki przy spodniach i wyjdzie na jaw smutna prawda, iż prawie cztery lata temu był o kilka kilogramów młodszy. Z tego bowiem okresu pochodził jego trzyczęściowy garnitur, który, osłonięty starannie czystym płóciennym workiem, wisiał do dziś obok licznych pęków kluczy w stróżówce Achima Buhracka. Blisko cztery lata temu podwachmistrz Buhrack, szef strażników w policyjnym więzieniu śledczym, przygarnął świeżo awansowanego Hauptwachtmeistra Eberharda Mocka i przydzielił mu celę, którą przez rok była jego mieszkaniem. Po tragedii, jaka wtedy spotkała Mocka, przełożeni i przyjaciele z Prezydium Policji odnosili się do niego z dużą wyrozumiałością. Achim Buhrack rozumiał, że Mock nie może ani chwili mieszkać w swym skromnym mieszkaniu w Tchansch, ponieważ tam z każdego kąta wypływają upiory. Radca IIszheimer wiedział natomiast doskonale, że urlop dany podwładnemu albo go zniszczy, albo wzmocni, lecz jego nieudzielenie spowoduje nieuchronny i niechlubny koniec policyjnej kariery Mocka. Nadwachmistrz został zatem urlopowany na rok i zamieszkał w jednej z cel, nad którymi pieczę

sprawował podwachmistrz Buhrack. Dobrowolny więzień wręczył wtedy Smolorzowi dużą sumę pieniędzy, która co tydzień była uszczuplana w pobliskim sklepie ze spirytualiami przy Oderstrasse. Wtedy zaczęło się pijackie inferno. Przez pierwsze dwa miesiące Mock pamiętał jedynie przyjmowanie i wydalanie płynów, dostawcę alkoholu Smolorza oraz krzątanicę pewnego więźnia, któremu Buhrack nakazał sprzątanie celi Mocka. Potem skonstatował zanik uczucia głodu i pojawianie się niezwykłych snów. Sny były miłe i radosne. Śniła mu się głównie jasna, przejrzysta woda, pod której powierzchnią wolno poruszały płetwami kolorowe ryby. Potem woda stała się brunatna i mętna, a zamiast ryb pływały w niej ucięte głowy o mięsistych czerwonych twarzach. Którejś nocy jedna z głów odezwała się do Mocka, a kiedy wyrzucała z siebie gniewne słowa, jej usta pluły spróchniałymi, połamanymi zębami. Mock obudził się wtedy, wstał i pochylił się nad wiadrem, które służyło mu jako toaleta. Wyrzucił z siebie cały alkohol, a potem padł na prycę i wsłuchiwał się w szybko bijące serce. Po chwili rozległy się okrzyki na więziennym korytarzu. Achim Buhrack obudził się i zlokalizował cełę, w której ktoś krzychał. Sięgnął po klucze do celi Mocka i ruszył w jej stronę. Delirium, pomyślał, tak musiało się skończyć to chłanie.

Pięć minut później prezydenta policji Kleibömera, który zajmował mieszkanie na pierwszym piętrze gmachu, dwa piętra nad celami aresztanckimi, obudziły jakieś krzyki na dziedzińcu. Otworzył okno i zobaczył wśród gęstych płatków śniegu wychudzonego, półnagiego policjanta, którego podanie o urlop niedawno podpisywał. Policjant spozirzał na niego przytomnym wzrokiem i krzyknął: „Co mnie nie zabije,

to mnie wzmocni”. Szef policji uznał, że coś mu się przywidziało wśród wirującej zadymki, wrócił do łóżka, zajął miejsce obok korpulentnej małżonki i spał dalej snem sprawiedliwego. Następnego dnia na jego biurko trafiło podanie. Hauptwachtmeister Eberhard Mock prosił o zgodę na przedterminowy powrót z urlopu zdrowotnego oraz na dalsze zamieszkiwanie w celi. Kleibömer zadzwonił do przełożonego Mocka, radcy kryminalnego Josefa Ilsheimera, i zapytał go o opinię. Była pozytywna i prezydent policji z pewnym wahaniem zaakceptował dezyderaty Mocka, zaznaczając, iż czyni to na wyraźną prośbę jego przełożonego.

Od tego czasu minęły prawie cztery lata, a w życiu i w figurze Mocka nastąpiły spore zmiany. Wprowadził się z powrotem do mieszkania na Plessenstrasse, picie wymykało mu się spod kontroli jedynie raz w miesiącu, bo taką częstotliwość sobie narzucił i trzymał się jej niewolniczo, a jego sylwetka stawała się coraz bardziej okazała i reprezentacyjna, o czym dotkliwie przypominały mu dzisiaj cisnące guziki spodni uszytych kilka lat temu.

Mock, wciągając oddech, ruszył w stronę hotelu „Germania”, aby sprawdzić numer na nim. Okazało się, że to było Gartenstrasse 101. Znajdował się zatem po właściwej stronie tej najbardziej reprezentacyjnej ulicy Breslau. Ruszył na zachód i szybko zlokalizował wzrokiem kamienicę opatrzoną numerem 77. Szedł bardzo powoli i sam przed sobą udawał, że strugi potu, które go zalewały, nie mają nic wspólnego z dotkliwym bólem brzucha ściskanego przez bezlitosną obejmę. Kiedy już doszedł do bramy, ból nagle ustąpił, a po rozpalonym słońcem chodniku coś się potoczyło. Kościany guzik. Ale są

jeszcze guziki przy rozporku, pomyślał, one nie pozwolą opaść spodniom. Schylił się, aby podnieść oderwany guzik, i wtedy stało się to, co miało się stać. Spodnie, które w wilgotnej stróżówce Buhracka zdążyły już sparcieć, trzasnęły. Rozpruły się wzdłuż szwu i zaczęły się zsuwać, odsłaniając równie opięte kalesony. Mock chwycił mocno w garść rozdarty materiał i rozejrzał się dokoła. Żaden z pasażerów przejeżdżającego tramwaju nie patrzył na nic innego, tylko na Mocka, szamoczącego się z podartymi gaciami, dwie młode kobiety, wychodzące ze sklepu z płytami, roześmiały się perliście i pokazywały go sobie palcami, a boy hotelu „Fürstenhof” stał z otwartą gębą, trzymając w ręku korbę, którą miał właśnie spuścić metalowe żaluzje. Mock, błyskając ineksprymablami, wdarł się do bramy, w której na szczęście była jeszcze czynna trafika. Spocony i zirytowany sprzedawca tłumaczył coś podniesionym głosem jakiejś damie, która zgłaszała reklamacje co do jakości tytoniu fajkowego dla męża.

- Daj mi pan - krzyknął Mock do subiekta - jakiś długi sznurek, ale cito!

- Co to znaczy cito! - rozeźlił się subiekt. - To nie apteka! Cito mu się zachciewa! Cito to możesz pan oddać gacie do pralni, jak w nie nasrasz! O, przepraszam panią...

- Oż ty, świński ryju! - wrzasnął Mock i chwycił za gardło zdumionego sprzedawcę, a podarte spodnie całkiem mu się zsunęły z bioder ku zgorszeniu damy kupującej tytoń. - Widziałeś kiedyś taką legitymację, gamoniu?

I wtedy sięgnął do kieszeni marynarki. Nagle uświadomił sobie, że został dziś w nocy okradziony i że nie ma przy sobie żadnej legitymacji.

Przerażony subiekt wyrwał się Mockowi i cofnął na zaplecze, aby poszukać sznurka. Policjant pozostał w tej groteskowej pozie - pół leżąc, pół siedząc na ladzie - a wystraszona dama uznała, że pretensje jej męża są nieuzasadnione, i opuściła trafikę. Kiedy sprzedawca pojawił się z grubym sznurkiem, którymi związane były przed chwilą worki przedniego knastra, Mock uśmiechnął się i podziękował. Uśmiech był wymuszony. Mockowi nie było do śmiechu.

Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,  
wpół do ósmej wieczór

Nie było mu do śmiechu również kilka minut później, kiedy wdrapał się na ostatnie piętro kamienicy i został przez dwóch mundurowych wpuszczony do mieszkania. Mimo że obciągał marynarkę, aby zasłoniła dziurawe spodnie wiszące na szelkach ze sznurka, to i tak nie udało mu się uniknąć ironicznych i zjadliwych komentarzy gapiów, którzy się zgromadzili nader licznie na klatce schodowej.

Okna mieszkania wychodziły na zachód. Dlatego wszystkie trzy pokoje i kuchnia zalane były zachodzącym słońcem, a powietrze drżało od zgrzytliwych dźwięków, jakie wydawały tramwaje zatrzymujące się pod budynkiem Domu Krajowego, blask wlewał się również do przedpokoju i oświetlał spoconego umundurowanego policjanta rewiowego, który stał przy drzwiach wejściowych i wskazywał pokój, z którego dochodziły podniesione głosy. Mock wszedł i chwycił się za nos i usta. Był to odruch obronny przed ostrym smrodem, którego nie

mogło rozwiać rozgrzane powietrze wpadające przez okno.

Mock rozejrzał się po pokoju, aby poznać źródło smrodu, który od razu zidentyfikował jako woń moczu. Jej źródłem mógł być jedynie człowiek - żywy albo martwy. W pomieszczeniu umeblowanym jak typowy gabinet nie było żadnych trupów i aż trzy istoty żywe, nie licząc Mocka. Latał duży, bzyczący szerszeń. Oprócz niego w pokoju znajdowali się dwaj żywi ludzie, którzy krzyczeli na siebie. Dokonał szybkiej analizy. Szerszeń na pewno nie był źródłem odoru. Radca kryminalny Heinrich Mühlhaus, pomimo różnych ekstrawagancji, na pewno nie oddawał moczu wprost w spodnie, toteż obezwładniający smród musiał pochodzić od mężczyzny na wózku inwalidzkim. Mühlhaus nie sprawiał wrażenia, jakby mu ten smród jakoś strasznie przeszkadzał, co Mock natychmiast sobie wyjaśnił jego abstynencją. Sam szybko przełykał ślinę, aby powstrzymać odruch wymiotny. Kiwnął głową szefowi wydziału kryminalnego.

- O, dobrze, że pan już jest, Mock - powiedział Mühlhaus i zagryzł zęby na fajce. - Chodźmy na miejsce morderstwa. Albo nie. Niech pan najpierw wygoni stąd tego szerszenia, aby nie użądlił szanownego pana radcy. A pan niech tu siedzi i czeka na mnie! - krzyknął do inwalidy na wózku. - Nie może pan się myć, dopóki laborant nie zdejmie z pana ubrania odcisków palców, rozumie pan?!

- To co?! - wrzasnął inwalida. - Mam się udusić od własnego smrodu?!

- Od smrodu jeszcze nikt nie umarł - zareplikował Mühlhaus i odwrócił się do przybysza. - No, proszę, Mock, niech pan zrobi to, o co pana prosiłem.



- Boję się szerszeni. - Mock cofnął się w stronę drzwi. - Kiedyś mnie jeden użądlił, gdy byłem dzieckiem. Przepraszam pana, panie radco, ale musi pan to sam zrobić.

Szerszeń usiadł na firance. Mühlhaus zbliżył się, wyciągnął rękę do owada, jakby chciał go pstryknąć. Wtedy przeciąg wywiał firankę na zewnątrz budynku. Szerszeń odfrunął z firanki i wylądował na parapecie. Mühlhaus pobladł i odsunął się powoli od okna. Odwrócił się do Mocka i ugniótł tytoń w główce fajki.

- Czemu go pan nie zabił?! - wrzasnął inwalida. - Boi się pan podejść do okna?!

- Stary piernik! - sapnął Mühlhaus i wzięwszy Mocka pod rękę, wyszedł wraz z nim do przedpokoju.

- Rozumiem, że chce się umyć, ale Ehlers dopiero zbiera odciski palców w pokoju, gdzie uduszono te dwie kobiety.

- Jeśli mam je zidentyfikować - Mockowi, mimo suchości w przelyku, udało się przełknąć ślinę - to chodźmy tam, panie radco.

- Panie nadwachmistrzu! - Mühlhaus wetknął płonąca zapalną do główki fajki. - Dawno się nie widzieliśmy. Pan pracuje w decernacie obyczajowym, ja - w policji kryminalnej. Szkoda, że nigdy mnie pan nie odwiedził. Ludzie z różnych wydziałów powinni się ze sobą przyjaźnić, podtrzymywać kontakty...

- Pierwszy raz pan radca zaprasza mnie do siebie - mruknął Mock - a ja już myślałem, że od sprawy czterech marynarzy całkiem pan o mnie zapomniał...

- Wiem, o co panu chodzi, Mock. - Mühlhaus wypuścił kłąb dymu. - Ale proszę mnie zrozumieć. Muszę być pewien, że w moim wydziale jest człowiek odporny psychicznie, że nawet po jakimś nieszczęściu nie poniesie go, że potrafi nad sobą zapanować... - A pan,

cóż...- Obrzucił Mocka krytycznym wzrokiem. - Przez rok mieszkał pan w celi areztanckiej i najpierw pan pił, a potem umartwiał się jak pustelnik. Dziś znalazłem pana w burdelu, gdzie chędożył pan jak buhaj, z daleka czuć od pana wódkę, podarł pan spodnie po pijanemu... U mnie pracują ludzie porządni, uczciwi ojcowie rodzin... Ale dobrze, dość tych kazań, chodźmy!

Radca kryminalny ponownie wziął Mocka pod rękę i weszli do sypialni. Znajdowało się w niej wielkie łoże zasłane zieloną aksamitną kapą, fotel o wytartym nieco obiciu, stolik z popielnicą wypełnioną niedopałkami cygar oraz ogromna trzydrzwiowa szafa. Na jednej ścianie wisiał obraz przedstawiający dwóch wędrowców podziwiających Śnieżkę, najwyższy szczyt Karkonoszy, na drugiej zaś błękitny wełniany kilim. Jego centralną część wypełniały dwa okręty otoczone małymi łódkami, które ustawione były w nadzwyczaj równe rzędy. Na fotelu walały się dwie sukienki i dwa biustonosze, koło łóżka stały przekrzywione buty na wysokich obcasach, a wszystko to uwieczniał na kliszy fotograf i laborant policyjny Helmut Ehlers.

Kilka dni później Mock sam się sobie dziwił, że najpierw zobaczył to wszystko, na co nikt nie zwróciłby najmniejszej uwagi, a dopiero później to, co wprost rzucało się w oczy. Kilka dni później ubolewał nad swoją znieczulicą, ponieważ nie odczuł żadnego dyskomfortu na widok dwóch nagich kobiecych ciał leżących jedno na drugim na łóżku. Kilka dni później robiło mu się niedobrze, kiedy dłonie Ehlersa przekreślały głowę jednej i drugiej kobiety, aby lepiej sfotografować sine pręgi na ich szyjach - ślady po jakimś pasku. Tak było kilka dni później.

Teraz Mock patrzył na wszystko jak przez szybę i starał się nie oddychać, aby nie uronić ani jednego słowa radcy Mühlhausa.

- Mieszka tutaj emerytowany radca kolejowy, doktor Paul Scholz - mówił szef policji kryminalnej - miał pan wątpliwą przyjemność widzieć tego dziadkę. To inwalida. Ciekawe, że inwalida mieszka na ostatnim piętrze, co? Bardzo ciekawe... Zapytałem o to dozorcę. Stwierdził, że pan Scholz jest człowiekiem bardzo upartym. Mimo propozycji zamiany ze strony różnych lokatorów, którzy oferowali mu swe mniejsze mieszkania, doktor Scholz wolał pozostać na ostatnim piętrze i codziennie być znoszonym przez swojego służącego, którego zresztą nieustannie wyzywał od gałganów i nicponi...

- Jak one się tutaj znalazły? - zapytał Mock, zauważywszy stojącą koło łóżka wodę z mydlinami i czerwoną gruszkę lewatywy.

- Zauważył pan? - Mühlhaus poszedł za wzrokiem Mocka. - Czy może się pan pokusić o jakiś wniosek?

- Mogę - szepnął Mock. - Wiem, dlaczego nie śmierdzi tu kałem, jak to często bywa w pomieszczeniach, gdzie kogoś uduszono. Nie nastąpiła defekacja, ponieważ obie kobiety zrobiły sobie lewatywę. Nie wylały później wody do ubikacji.

- Dlaczego zrobiły lewatywę?

- W celach higienicznych. Pewnie morderca chciał z nimi odbyć stosunek, jak to pisze bodaj Boccaccio, przez tylną bramę. Per anum.

- Nie żałuję, że pana tu wezwałem. - Mühlhaus był bardzo poważny. - Co pan mi jeszcze powie o tej świni?

- Nikt ich nie ruszał?

- Jedynie Ehlers odchylił ich głowy przy fotografowaniu. To wszystko.

Mock podszedł do zwłok. Nachylił się nad nimi i wzdrygnął z obrzydzeniem. Nie lubił owłosionych pach i nóg. I wtedy ogarnął go wstręt do samego siebie. Patrzysz na nie jak ich klient, głupi skurwysynu? - zapytał sam siebie. Dwie kobiety zostały uduszone, może zostawiły jakieś dzieci, a ty zastanawiasz się nad depilacją ich pach? Ty zwyrodnialcu, burdele cię zniszczyły wymuszona miłość cię zdegenerowała, krętki blade są w twoim mózgu. Czy jest jakiś arsen lub bizmut na mózgowy syfilis? Zamknął oczy, aby powstrzymać piekące łzy.

- Nie znam ich - powiedział po chwili głuchym głosem - nigdy ich nie widziałem. Nie pracowały na pewno w żadnym burdelu. Poznałbym je wtedy.

- Jakie pan wnioski wyciąga na podstawie pobieżnych oględzin ich ciał?

- Leżą tak, jakby były trybadami.

- Czym?

- Trybadami. Lesbijkami - Mock ożywił się na chwilę. - Udawanymi lub autentycznymi. Wyraz „trybada” pochodzi od greckiego czasownika *tribein*, co znaczy „trzeć”, „pocierać”. One pocierały się...

- Wystarczy - westchnął Mühlhaus i pociągnął fajkę tak mocno, że coś w niej zatrzeszczało. - Darujcie sobie te szczegóły, Mock. Mam oczy i widzę, co one mogły robić. A teraz niech mi pan powie, kim był ten bydlak. Zboczeńcem?

- Niekoniecznie. Na pewno sprawy płciowe odgrywają dużą rolę w jego życiu. Ale to tak jak u wielu. Przecież niejeden wcale niezбочzony chłop lubi robić fiku-miku z trybadami. To dość drogo kosztuje i dla tego większość dziewczyn godzi się na takie zabawy. - Świetnie

udają, że to lubią. Autentycznych trybad nie jest zbyt dużo. Za to dobrych aktorek całe mnóstwo.

- Co pan mi jeszcze o nim powie?

- Ważne jest, by ustalić, czy je posiadał i czy zostawił ślad swojej chuci.

- Nie było śladów nasienia.

- A zatem mógł to być zboczeniec, który poprzestaje na gapieniu się. Trzeba by się przejść po burdelach i popytać o klientów, którzy lubią się przypatrywać. Trzeba by przycisnąć tych, którzy rozpowszechniają bezwstydną filmy. Ten bydlak musiał mieć w ich oglądaniu duże upodobanie. Mam się tym zająć?

- Opiekował się nimi jakiś alfons? - Mühlhaus uśmiechnął się, że nie słyszy pytania Mocka, i patrzył, jak Ehlers odbija na szklanych płytkach odciski palców denatek.

- Złe słowo. Oni się nikim nie opiekują. Założę się, że ich alfons już czmychnął z Breslau. - Krew napłynęła Mockowi do twarzy. - Te kanalie nikim się nie opiekują, nie prowadzą swych dziewczyn do lekarza, nie sprawdzają, z jakim klientem się umówiły, nawet kiedy pytają podopieczne: „jak leci?”, chcą usłyszeć, ilu klientów obsłużyły. Alfons to pasożyt, rakowata narośl, syfilityczny wrzód.

- Lubi pan prostytutki, co, Mock? - Mühlhaus schylił się i otworzył drzwiczki pieca, aby wystukać tam fajkę. - Pan ma do nich ciepły stosunek, a nawet rzekłbym, że je pan szanuje. Przytula je pan, głośzcze po głowie, co, Mock?

- Skąd pan to wie?

- Mam swoje informatorki - odpowiedział Mühlhaus, a potem ton protekcyjny zmienił na spokojny i opanowany. - Nie ma pan zimnego spojrzenia badacza kryminologa. Gdyby pan spotkał tego zboczeńca,

rozerwałby go pan na strzępy. A ja nie potrzebuję u siebie drapieźnika - Mühlhaus westchnął i otworzył drzwi od pokoju. - Szkoda. Dziękuję panu, panie nadwachmistrzu, za przyście i za sugestie co do sprawcy. Teraz ich pan nie zidentyfikował. Trudno. Nie było to łatwe, wiem. Nie mają żadnych znaków szczególnych, blizn, tatuaży i tak dalej. Dzisiaj wieczorem zdjęcia odcisków palców będą leżeć na pańskim biurku. Proszę je w poniedziałek porównać z archiwum wydziału obyczajowego. Proszę zidentyfikować te kobiety, Mock. Są w policji i rządzie śląskim ludzie, którzy stwierdzą, że spotkało je to, na co zasłużyły. Ja nie należę do tych ludzi. Dla mnie one są tak samo ważne jak zamordowana cesarzowa. A dla pana? Dziękuję. Do widzenia, Mock.

Mock nie odpowiedział. Stał i przypatrywał się poczynaniom Ehlersa. Fotograf zbliżył się do jednej z kobiet i przesunął palcem po jej górnej wardze. Gest ten był prawie pieszczotliwy. Mockowi zrobiło się niedobrze.

- Dziękuję panu, Mock! - Mühlhaus podniósł głos. - Do widzenia!

- Idźże stąd, Ebi! - powiedział spokojnie Ehlers. - Teraz będzie coś nie na twoje nerwy. Dzisiaj chyba jesteś nadwrażliwy.

- Rób swoje, Helmut - zimny ton Mocka był tak sugestywny, że fotograf nawet nie zareagował gniewem, kiedy usłyszał ten rozkaz od policjanta równego mu stopniem. - A ja zobaczę, czy dobrze sobie radzisz.

Ehlers spojrział na Mühlhauusa, a ten po krótkim wahaniu skinął głową. Fotograf uniósł górną wargę jednej z dziewczyn. Oczom policjantów

ukazało się mocno zaczerwienione dziąsło. Nie było ono jednak - jak pomyślał Mock przez ułamek sekundy - zaczerwienione od częstego wcierania kokainy. Było pokryte zakrzepniętą krwią. Pośród niej błyszczała biała kość o poszarpanych brzegach, otoczona czerwonym mięszem. Mock poczuł, że rozmywa mu się obraz przed oczami. Zmrużył powieki i pochylił się nad twarzą zabitej. Ehlers wolną ręką zwolnił wężyk spustowy i błysnęła magnezja. Teraz w jej blasku Mock stwierdził, że nic mu się nie przywidziało. Dziewczyna miała ułamane dwa zęby. Dwie jedyneki.

Mock odepchnął fotografa i podskoczył do drugiej zamordowanej. Odsłonił jej dziąsła. Jedna z górnych jedynek była ułamana blisko dziąsła. Druga była tylko lekko ukruszona. Wtedy dostrzegł leżące na stole kombinerki posypane proszkiem daktyloskopijnym. Duże, ostre, pokryte krwią obcęgi, którymi można było przeciąć gruby drut. Albo ułamać ząb.

Mock usłyszał trzask łamanych kości, ujrzał krew zalewającą dziąsła, zobaczył ból i rozpacz w oczach kobiet. W oczach, które niedawno były błyszczące, prowokujące, zamglone od rozkoszy. Teraz opadały na nie opuchnięte powieki. Odwrócił się wolno w stronę wyjścia, zdecydowanym ruchem odsunął Ehlersa i nagle rzucił się do drzwi. Natrafił tam na przeszkodę. Stał w nich potężny rewirowy, który był poprzednio w przedpokoju i wskazywał Mockowi drogę do gabinetu radcy Scholza.

- Proszę się odsunąć - powiedział Mock przez zaciśnięte zęby.  
- Niech się pan uspokoi, Mock, i zostawi nas samych! - Mühlhaus znów podniósł głos. - Rewirowy Diestelmann was odprowadzi. Rewirowy,

dajcie jakiś płaszcz lub fartuch panu nadwachmistrzowi! Podarły mu się spodnie.

- Puść mnie! - Pod napiętą skórą twarzy Mocka poruszyły się węzły szczęk.

Rewirowy Diestelmann stał bez ruchu. Nie dlatego jednak, że chciał posłusznie wykonać polecenie radcy kryminalnego i nadal blokować drzwi. Rewirowemu nic się po prostu nie chciało. Nie miał ochoty szukać płaszcza ani fartucha, nie miał ochoty powstrzymywać gapiów, którzy cisnęli się na korytarzu, nie miał ochoty używać swych mięśni, by odepchnąć od siebie rozwścieczonego, zionącego alkoholem i nieogolonego nadwachmistrza, który miał spodnie podarte na tyłku. Był pewien, że wystarczy jedynie spojrzeć, aby zatrzymać zadziornego funkcjonariusza. Diestelmann zrozumiał, że się pomylił, kiedy stracił równowagę, zamachał rękami i usiadł ciężko na podłodze, a jego czako potoczyło się daleko. Pośpiesznie wstał i zobaczył, jak podarte portki znikają w gabinecie radcy Scholza.

Zadudniły w przedpokoju kroki trzech mężczyzn, którzy rzucili się za Mockiem. Po kilku sekundach wszyscy stali w drzwiach i patrzyli w przerażeniu, jak emeryt wrzeszczy, że nie ma najmniejszej ochoty być przesłuchiwanym. Usłyszeli, że ubliża Mockowi, żądając pozwolenia na umycie się. Widzieli, jak podnosi laskę i bije Mocka w twarz, a potem pluje na niego. Widzieli czerwoną pręgę na twarzy Mocka, a potem nie wierzyli własnym oczom. Oto Mock wyrzuca inwalidę z wózka, zdiera z niego szlafrok i chce wytrzeć nim kałużę moczu. Wtedy ruszyli do akcji. Rewirowy, wściekły z powodu doznanego upokorzenia, wziął zamach i wymierzył w kark Mocka. Uderzył. Trochę za mocno.



Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,  
wpół do dziewiątej wieczór

Mock ocknął się w dorożce. Już po raz drugi był dzisiaj otulony w jakiś stary płaszcz i nie miał zielonego pojęcia, skąd się on wziął na jego ramionach. O ile podczas porannego przebudzenia w lesie nie mógł liczyć na nikogo, kto by mu przypomniał zdarzenia bezpośrednio poprzedzające jego bolesny powrót do świata żywych, o tyle teraz o odtworzenie przeszłości mógł poprosić radcę kryminalnego Heinricha Mühlhausa. Jego dobrotliwa, okolona brodą twarz była pierwszą rzeczą, jaką ujrzał zaraz po tym, gdy do jego nozdrzy doszła woń duńskiego tytoniu fajkowego. Z trudem przekręcił głowę i ujrzał, jak dorożka mija potężne budynki browaru Haasego i fabryki mydła Tellmanna na Ofener Strasse.

- Trzeba się panem opiekować jak dzieckiem, Mock. - Mühlhaus uśmiechnął się łagodnie. - Bo zawsze coś pan zbroi. - Po tych słowach radca kryminalny stał się poważny: - Uczciwość wymaga ode mnie, abym powiedział panu, czy zdał pan dzisiejszy egzamin. Otóż nie zdał pan.

- Jaki egzamin? O czym pan mówi? - Mock potarł ręką kark i wciągnął powietrze z sykiem śliny. Był pewien, że od potylicy do pleców rozciąga się sinogranatowy obszar bólu.

- Chciałem wziąć pana do siebie, do policji kryminalnej - powiedział dobitnie Mühlhaus - to miała być pana pierwsza sprawa. Trudna, przerażająca, spektakularna. Jej pomyślne zakończenie byłoby początkiem pana błyskotliwej kariery. Tymczasem pan...

- Wiem, wiem, panie radco. - Mock wyprostował się na siedzeniu, a stary płaszcz doktora Paula Scholza zsunął mu się z ramion. - Upiłem się,

podarłem portki i tak dalej... To wszystko jest nieistotne. Istotne jest jedno. Czy inwalida mógł je zabić? Gdzie on wtedy był? Niech pan nie mówi o mnie - Mock perorował coraz głośniejsze - ja jestem nieważny! Ważna jest sprawa! Mam gdzieś, czy będę pracował w pańskim dziale, czy też nie, ale chcę wiedzieć, kto zabił te dziewczyny i wyłamał im zęby, rozumie pan?! Nic więcej nie jest ważne.

- Tak - odpowiedział Mühlhaus, a po chwili podniósł palec do góry i wygłosił łacińską sentencję z wystudiowanym patosem, jak nauczyciel gimnazjalny pozujący na Cyncerona. - *Vivere non est necesse, navigare necesse est*. Rozumiem pana, Mock. Zatem *ad rem*. A oto nasza rekonstrukcja zdarzeń. Stary radca Scholz obudził się dzisiaj rano koło siódmej i wiedząc, że służący ma wolne, sięgnął pod łóżko po nocnik. Nie znalazł go tam. Wsiadł na wózek i zaczął jeździć po domu w poszukiwaniu naczynia. Kiedy wjechał do gabinetu, otrzymał bolesny i obezwładniający cios w twarz. Był on - by tak rzec - miękki, bo dłoń napastnika owinięta była w gazę, i obezwładniający, bo gaza nasączona była chloroformem. Radca zasnął. Obudził się koło południa. Był przywiązany do wózka i zakneblowany. Dzwonek w drzwiach dzwonił uparcie. W gabinecie był napastnik. Wysoki mężczyzna, mimo upału w płaszczu, kapeluszu i rękawiczkach. Na twarzy miał maskę. Przyłożył pistolet do głowy radcy i kazał mu odebrać spod drzwi gazetę, którą zwykle przynosił w sobotę rano syn dozorca. Radca powiedział chłopcu, że źle się czuje, i polecił wrzucić gazetę przez otwór na listy. Chłopak zrobił, jak mu kazano. Potem napastnik ponownie uśpił radcę. Napastnik przez tenże otwór wyrzucił banknot.

Młodemu wydawało się, że ręka wyrzucająca pieniądze była w rękawiczce. Schodząc, natknął się na dwie prostytutki...

- Skąd wiedział, że to były prostytutki? - przerwał Mock.

- Zauważył, że nie miały na sobie majtek. A jakiś kolega mu mówił, że prostytutki nie noszą majtek. Chłopak zszedł piętro niżej i się zatrzymał. Usłyszał, jak kobiety dzwonią do radcy Scholza. Drzwi otworzyły się i młody usłyszał zachrypnięty męski głos: „No dobrze, że jesteście, laleczki”. Coś takiego powiedział morderca. Chłopak pobiegł do swojego ojca, dozorca, który pił piwo w jakiejś pobliskiej knajpie. Dozorca zlekceważył relację syna. Dopiero po kilku godzinach poszedł do radcy Scholza. Nikt nie otwierał. Dozorca otworzył drzwi zapasowym kluczem i wszedł. W mieszkaniu zastał dwa trupy, uduszone paskiem od spodni, i zasikanego właściciela. To tyle. *Navigare necesse est*. Ale nie dla pana.

- Nie widziałem żadnego paska od spodni...

- Zabezpieczył go Ehlers, aby go wysłać do pracowni kryminalistycznej do Berlina, i już nie było paska, kiedy pan przyszedł...

Dorożka zatrzymała się na Plessersstrasse. Mock oddał płaszcz Mühlhausowi i zszedł na ziemię. Wzrok Mocka ślizgał się po murach domu, po starej i pustej witrynie sklepu rzeźniczego, który prowadził stryj, a po jego śmierci był mieszkaniem Willibalda Mocka i jego syna Eberharda, prześliznęła się po łukowatym przejściu, w którym kilkoro dzieci bawiło się z małym psiakiem, po napiętej budzie dorożki i zatrzymał się na równie napiętej twarzy Mühlhausa.

- Wiem, że aż pan pęka, panie radco - powiedział z ironicznym uśmiechem. - Żebym zapytał pana o egzamin, którego niby nie zdałem. Widzę, że aż się pan pali, aby mnie zmieszać z błotem. Chce pan sobie tą złośliwością zrekompensować, że musiał mnie pan wieźć przez całe miasto i że późno wróci pan do domu, prawda? A ja panu powiem po prostu „dziękuję”. Za odwiezienie mnie do domu i za pokazanie mi, że nie nadają się do niczego, tylko do spisywania dziwek. Dziękuję panu za uprzejmość i za lekcję, która doskonale mi pokazała policyjny system kastowy.

- To nie dlatego nie zdałeś egzaminu do policji kryminalnej - Mühlhaus oparł mu dłonie na ramionach - że rzuciłeś się na starego. Sam bym mu chętnie, mówiąc po twojemu, przywalił. To nie dlatego, że okazałeś sympatię nieszczęsnym uduszonym dziewczynom. Proszę posłuchać mnie uważnie. - Ścisnął mocno ramiona Mocka. - W naszej pracy pokrzywdzony jest punktem wyjścia, przestępca - punktem dojścia. Są to dwa brzegi wielkiej rzeki. Żeby dotrzeć do mordercy, trzeba zostawić definitywnie brzeg, na którym płacze pokrzywdzony albo jego bliscy. Musi pan ten brzeg stracić z oczu. A pan nie potrafi wypłynąć na szerokie wody, nie umie pan nie oglądać się za siebie. Dlatego nigdy nie będzie pan dobrym śledczym. Wśród nas

nie ma Orfeuszy. Proszę zrozumieć jedno. Praca śledczego jest wielką samotnością.

- A pan nie lubił tych nieszczęsnych dziewczyn? - wydusił z siebie Mock.

- Ja nie lubię ludzi - odpowiedział Mühlhaus - nikogo. Nawet pana.

Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,  
wpół do dziewiątej wieczór

Mało kto w Breslau darzył sześćdziesięcioletnią Elsię Woermann cieplejszym uczuciem. Tolerowano ją jedynie i niekiedy się jej obawiano. Budziła sprzeczne reakcje jak czarownica odczyniająca uroki, która w jednej chwili z poczciwej babki mogła stać się harpią. Gardzono nią i się jej obawiano, bo znała najskrytsze tajemnice - jak portier w tanim hoteliku na godziny, któremu ze strachem, lekceważeniem i z zakrytą twarzą rzuca się parę groszy i chyłkiem umyka z brudnego pokoju, będącego jeszcze przed chwilą ogrodem rozkoszy. Znała ludzkie słabości, ponieważ z tych słabostek żyła. Najpowszechniejszą z nich była - jak ją pani Woermann nazywała sama dla siebie - „słabostka podbrzusza”. To ona kazała zamężnym paniom odgradzać się od przyzwoitego świata woalką i rzucać w ramiona różnych frantów, to ona sprawiała, że poważni ojcowie rodzin wariowali dla tancerek z różnych tingel-tanglów lub obwiązawszy twarze chustami jak przestępcy z Dzikiego Zachodu, wchodzili w głębokie piekielne kręgi tajnych klubów, gdzie czekały na nich rozpustnice albo - co gorsza - dzieci, odmieńcy czy przebierańcy. Elsa Woermann umożliwiała im rozkosz w ich ramionach. Przyjmowała zamówienia i oferty. Witła w swych progach zamaskowanych mężczyzn i trudne do rozpoznania kobiety, notowała ich najgorętsze pragnienia i obiecywała znaleźć pożądaną przez nich usługę. Nikt nigdy się nie skarżył, nikt nie zgłaszał reklamacji. Z prawnego punktu widzenia nic nie można było jej zarzucić, mimo że Mock i jego koledzy starali się, jak mogli.

Formalnie pani Woermann prowadziła od czterech lat firmę „Dyskretne Przekazywanie Wiadomości”.

Jej fama szeroko rozlała się po mieście i zaowocowała liczną konkurencją, która jednak szybko odpadała. Do likwidacji konkurencyjnych firm przyczyniali się różni ustosunkowani, możni i - co najważniejsze - upokorzeni przez zdradę obywatele. Nie chcieli oni tolerować tego jawnego stręczycielstwa, wynajmowali prywatnych detektywów lub nie żalowali pieniędzy dla radcy kryminalnego Josefa Ilsheimera i jego ludzi z Eberhardem Mockiem na czele. Funkcjonariusze decernatu IV przeprowadzali szczegółowe i złośliwe rewizje w siedzibach tych firm i w księgach rachunkowych oraz zapisach zleceń i zawsze znajdowali coś nieobyczajnego, co pozwalało tak zaszantażować erotycznych pośredników, że ci opuszczali Breslau lub zmieniali branżę. Policjanci z wydziału obyczajowego nie zgłaszali tych spraw do Sądu Krajowego i nie brali łapówek od zastraszonych właścicieli. Nie musieli tego robić, ponieważ i tak byli hojnie nagradzani przez owych możnych i zdradzonych. A jednak policji nie udało się zniszczyć interesu pani Woermann z prostego powodu - obdarzona fenomenalną pamięcią, nie prowadziła żadnych notatek oprócz buchalteryjnych zapisów. W księgach rachunkowych notowała „o przekazaniu informacji numer taki a taki za kwotę taką a taką”. Swoje obowiązki spełniała w sposób niezawodny - dawała ogłoszenia w codziennej prasie. Kochankowie, a nade wszystko oferenci usług erotycznych przejmowali pałeczkę i sobie znanymi metodami sprawdzali, czy ludzie pragnący nawiązać kontakt nie są przypadkiem podstawionymi policjantami albo prywatnymi detektywami. W tej identyfikacji

czasami pomagała im za specjalną opłatą pani Woermann, żądając od swoich klientów podania jakiegoś szczegółu, który by ich uwiarygodnił. Interes zatem kwitł, jak to bywa w przypadku każdej działalności monopolistycznej; mieszkańcy Breslau tolerowali panią Woermann lub jej nienawidzili, a policjanci i prywatni detektywi usiłowali przeciągnąć ją na swoją stronę, co było - z powodu jej niezłomnych zasad - równie nieskuteczne, jak coroczne próby walki z rojami komarów nad Odrą.

Oprócz fotograficznej pamięci Elsa Woermann miała bardzo dużo tolerancji dla przeróżnych ludzkich dziwactw. Nie była zatem wcale zaskoczona, kiedy dwa tygodnie temu zjawili się u niej dwaj mężczyźni, którzy ani nie byli ubrani stosownie do pory roku, ani nie odnosili się uprzejmie do niej samej. Zakrywszy twarz kołnierzem płaszcza i nacisnąwszy kapelusz głęboko na czoło, jeden z nich burknął krótko i dość nieskładnie: „Dwie lesbijki na orgię do mnie”. Drugi milczał i ciężko dyszał, wydzielając z siebie silny zapach miętowych cukierków. Pani Woermann wcale nie dociekała, dlaczego zamawiający przyszedł w towarzystwie. Nie zastanowiło jej również to, że zamaskowany mężczyzna tę dość banalną usługę zamawia przez jej biuro, zamiast pójść do pierwszego lepszego domu publicznego i wybrać dwie dziewczyny mające się ku sobie lub udające taką skłonność. Nie patrząc na ich osobliwe przebrania, odpowiedziała bardzo grzecznie, że zaprasza ich do siebie za trzy dni o godzinie dziewiątej rano z kwotą trzech milionów marek jako jej honorarium. Kiedy nie zgodzili się na tak wielką kwotę, bardzo fachowo i dokładnie pokazała, iż ma ogromną wiedzę o szalejącej w kraju inflacji. Wtedy ustąpili.

Tego samego dnia nadała telefonicznie w „Schlesische Zeitung” ogłoszenie: „Duet dęty grecki zatrudnię pilnie w orkiestrze. Oferty proszę składać w skrytce pocztowej nr 243 na Poczcie Paczkowej przy Breitestrasse”. Następnego dnia rano znalazła tam list o treści: „Duet dęty grecki, tel. 3142, firma «U Maksa»”. Pani Woermann natychmiast spaliła list, zadzwoniła i poprosiła o połączenie z firmą „U Maksa”. Kiedy usłyszała w telefonie: „Tu Max, słucham”, powiedziała: „Duet dęty od Safony”, i odłożyła słuchawkę. Następnego dnia zjawił się u niej miłośnik „dziewczyn z Lesbos” i wyłożył honorarium dla niej i dla Niegscha. W zamian otrzymał numer telefonu firmy „U Maksa”, z którym miał osobiście ustalić wszelkie szczegóły transakcji. To było wszystko. Wiedziała, że szef fikcyjnej firmy „U Maksa”, Max Niegsch, z którym znała się od wielu lat, nie musiał sprawdzać swojego klienta, ponieważ nie żądał usług, za które mogli trafić za kratki i zleceniodawca, i zleceniobiorca, nie mówiąc już o pośrednicze. Wszystko było czyste i bezpieczne. Dyskrecja zapewniona.

W takim błogim poczuciu bezpieczeństwa siedziała teraz pani Elsa Woermann na swoim balkonie w domu przy Wilhelmsufer, nad sklepem wielobranżowym „Jung&Lindig”, i obserwowała, jak zachód słońca wyłącza wierzchołki platanów na nadodrzańskim bulwarze. Nie zdziwiła się wcale, kiedy ujrzała niewielką postać w białym kaszkiecie i w ubraniu tegoż koloru, wynurzającą się zza Urzędu Monopolowego. Max Niegsch walczył od roku z nałogiem hazardu i pieniądze z transakcji, których dokonywał za pośrednictwem pani Woermann, odbierał wprost od niej, zawsze wieczorem, już po zamknięciu punktów loteryjnych i bukmacherskich. Teraz szedł rozradowany nadbrzeżem



i na widok pani Woermann stojącej na balkonie podrzucił do góry kaszkiet i zgrabnie go złapał. W uliczce rozległ się warkot silnika i wraz z tym dźwiękiem wjechał w nią motocykl z wózkiem bocznym. Wtedy pani Woermann po raz pierwszy i ostatni tego dnia się zdziwiła. Motocykl jechał bowiem chodnikiem. Silnik zawył i maszyna znalazła się za Maksem Niegschem. Sutener podrzucił właśnie kaszkiet, ale już go nie złapał. Przednie koło motocykla wtargnęło między jego kolana. Najpierw na ułamek sekundy znalazł się na błotniku, a potem zsunął z niego powoli. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Motocyklista, w długim płaszczu, kasku i goglach, zsiadł i wziął Niegscha pod pachy, bardzo troskliwie wsunął go do wózka bocznego i przyłożył mu coś do twarzy. Następnie naciągnął brezent na otwór wózka i nie było już widać poszkodowanego. Ludzie rzucili się do okien i wylegli na balkony. Zupełnie odwrotnie zachowała się pani Woermann. Weszła do mieszkania i zamknęła drzwi na balkon. Nie chciała być przesłuchiwana następnego dnia przez policję, a zwłaszcza przez ordynarnego nadwachmistrza Eberharda Mocka, który wciąż nie dawał jej spokoju, oskarżając o sianie demoralizacji. Jakby sam był moralnie czysty! Weszła do salonu i wyrzuciła Maksa Niegscha z pamięci. Dyskrecja była jej dewizą.

Breslau, niedziela 1 lipca 1923 roku,  
wpół do dziewiątej rano

Pokój Mocka i jego dwóch kolegów, Kurta Smolorza i Herberta Domagalli, był ascetyczny i nie znajdowało się w nim nic, co mogłoby rozpraszać uwagę policjantów. Bo czyż mogły ich dekoncentrować

zielone lamperie albo trzy potężne biurka z zielonymi blatami i mosiężnymi popielnicami, albo ogromna szafa na akta, która zamykała się jak witryny sklepów - miała opuszczane żaluzje z dębowych deszczulek? Jedyne, co mogło odwracać ich uwagę to duża paprotka na parapecie, w którą niegdyś wyposażyła ich żona Domagalli, który nie chcąc się narazić połowicy, pielęgnował kwiatek i burczał na Mocka i Smolorza, kiedy ci użyźniali glebę śliną i popiołem z cygar.

Dzisiaj w dwóch pokojach i korytarzyku, zajmowanych przez decernat IV nikt na nikogo nie burczał, nikt nie podnosił głosu ani nikt nikogo nie przesłuchiwał. Nie unosił się również dym tytoniowy ani nie stukwały drewniane żaluzje szafy z aktami. Pusty był pokój szefa decernatu, radcy Ißsheimera, oraz korytarzyk zajmowany przez praktykanta Isidora Blümmela. Prawie wszyscy pracownicy wydziału cieszyli się niedzielnym wypoczynkiem. Eberhard Mock był wyjątkiem.

Siedział przy biurku i wpatrywał się w zdjęcie ojca, które wyjął z szuflady. Mistrz szewski Willibald Mock patrzył na syna surowym wzrokiem. Szpakowate wąsy i rozrośnięte bokobrody zawisały nad sztywnym stojącym kołnierzykiem z wygiętymi rogami, spod których wypływał węzeł jasnego krawata. Co ty tu robisz, synu, zdawały się mówić jego oczy, ocienione nastroszonymi brwiami, w tej podłej robocie? Czy to jest praca dla ciebie? Spisywanie dziwek! Byłeś zawsze taki zdolny! Pamiętasz, jak po łacinie wygłosiłeś przemówienie na inauguracji roku szkolnego? To było dopiero coś! Ubrałem się wtedy, tak jak do tego zdjęcia, w garnitur pożyczony od naszego sąsiada, kupca Hildesheimera. Kilku profesorów ścisnęło mi rękę, gratulując syna.

A potem rozmieniłaś swój talent na drobne, nie zostałam profesorem, nie przysporzyłaś mi chwały. Rzuciłaś studia, bo zadawałaś się z bogatymi kolegami, a oni pokazali ci wielki świat. Nie chciałaś siedzieć w skromnym pokoiku na poddaszu i jeść chleba z domowym smalcem. Wolałaś salony! Wolałaś towarzystwo z lepszych sfer, wzgardziłaś ojcem szewcem, który całymi dniami wachał klej z kości, abyś mógł skończyć studia i być takim wielkim panem jak profesor Morawjetz, któremu czapkował cały Waldenburg! Wolałaś pracować i zarabiać, aby mieć na cygara, piwo i drogie dziwki! A gdzie teraz twoi koledzy z uniwersytetu? Czy baron von der Malten, z którym tak się przyjaźniłaś, pamięta jeszcze o swoim koledze, dla którego teraz byle burdel jest domem, miejscem pracy i teatrem? Gdzie twoje wytworne towarzystwo? Gdybyś chociaż ścigał morderców i bandytów!

Mocka zeżliły te nieme wyrzuty ojca, położył ciężką rękę na fotografii i wsunął ją z powrotem do szuflady. Był zły na nieżyjącego już rodzica z prostej przyczyny - wiedział, że nigdy się nie uwolni od jego połajanek, surowych spojrzeń i mocnych sękatych palców, zaciśniętych na swoich ramionach. Co gorsza - wiedział, że ojciec ma rację. Nie chodziło tu oczywiście o mocno idealizowaną przez niego społeczną rolę profesora gimnazjalnego. Mock po trzynastu latach pracy w policji nie zamieniłby na pewno swojego zajęcia na żadne inne. Jedyne, co chciał zmienić, to atmosfera, która go otaczała w miejscu pracy. Jego podwładni, koledzy i przełożeni - niemal wszyscy poza Smolorzem i Buhrackiem - od portiera do prezydenta policji darzyli go tylko dwoma uczuciami. Pogardą i strachem. Pogarda dla alkoholika i „burdelanta”, jak nazywano funkcjonariuszy obyczajówki, i strach

przed jego gwałtownością i nieobliczalnością. Te uczucia łatwo mogłyby być zamienione na szacunek i przyjaźń. Taka zmiana nastąpi, w to Mock mocno wierzył, w dniu, w którym zostanie przeniesiony do policji kryminalnej. Tego dnia nie upije się z radości, lecz ubierze się w swój od dawna nienoszony wizytowy surdut i pojedzie na Cmentarz Miejski. To się stanie tego dnia. Jednak jeszcze nie nadszedł. Mocno się oddalił wczoraj, kiedy Mock pozwolił, aby wściekłość zawładnęła jego skacowanym umysłem.

Mock niełatwo się poddawał. Musiał udowodnić Mühlhausowi, jaką stratą jest niedopuszczenie Mocka do pracy w wydziale kryminalnym. Dlatego teraz - mimo niedzieli - siedział w swoim pokoju, wyjmował z akt prostytutek zdjęcia odcisków palców i mozolnie porównywał je z liniami papilarnymi zamordowanych kobiet, sfotografowanymi wczoraj przez Ehlersa. Była to czynność bardzo żmudna, by nie rzec - beznadziejna. Mock wlepił bowiem wzrok w zakola i faliste układy liniowe i miał w głowie wir i zamęt. Wszystkie linie były do siebie podobne i wcale nie był pewien, czy słusznie uczynił, odrzuciwszy przed kilkoma minutami jakieś odciski, czy nie powinien im się jeszcze raz przyjrzeć. Na ogół brało górę to drugie i Mock znów sięgał do odłożonych już akt, wyjmował zdjęcia, podstawiał je pod światło lampy, potrząsał głową i znów odkładał na stos kartonowych teczek, piętrzący się na dwóch zestawionych krzesłach.

Po trzech godzinach poddał się i napisał odręcznie raport, w którym sucho stwierdził, iż nie zidentyfikowano odcisków palców. Potem złożył zamaszty podpis i zaniósł raport na biurko Illsheimera. Następnie wyjął kolejny arkusz papieru, a potem ponownie przejrzał wszystkie akta.

Wynotował z nich dwadzieścia trzy nazwiska alfonsów. Przyjrzał się im dokładnie i cztery nazwiska wykreślił. Wiedział, że ci czterej zginęli podczas wojny, jeden z nich służył nawet w tym samym oddziale, co on. Następnie jednym pociągnięciem ołówka przedzielił listę nazwisk. Policzył je. Nad kreską, gdzie było ich siedem, napisał „Smolorz”, pod kreską - przy dwunastu - „Blümmel”. Złamał mu się grafit ołówka. Naostrzył go szybko temperówką z korbką, przymocowaną do biurka niczym imadło. Wszystkie nazwiska ujął w nawias klamrowy i napisał: „Przesłuchać najpóźniej do środy”. Wrzucił listę do szuflady, gdzie przykryła ona oblicze Willibalda Mocka. Potem się zamyślił. Wiedział, że nie ma prawa wydawać tego polecenia swoim podwładnym, ponieważ przesłuchiwanie świadków należy do kompetencji policji kryminalnej. Wiedział, że w razie ujawnienia jego samowoli nigdy nie nastąpi dzień, o którym marzył. Tego wszystkiego był świadom. Zdawał sobie również sprawę, że jeśli nie uczyni nic, jego sny wypełnią się zakrwawionymi dźgłami i ułamanymi zębami. A jak mówią wszystkie senniki, takie sny nie wróżą niczego dobrego.

Mock zapalił papierosa i otarł pot z czoła. Zdjął zarekawkę i zauważył, że nie wszystko zgarnął do szuflady biurka. Na środku leżała kartka - tabele wypełnione jakimiś liczbami. Nie zauważył jej wcześniej, a musiała tu być od piątku, o czym informowała data napisana atramentem u góry. Nawet gdyby nie rozpoznał pisma Domagalli, wiedziałby, że kartka pochodzi od niego. Świadczył o tym nadruk „Klub Karciany «Trefl», Breslau, Hummerei 26”, którego Domagalla

był wiceprzewodniczącym. Wśród tabel, które miały być uzupełniane podczas rozgrywek, widać było drobne, wyraźne pismo współpracownika Mocka. „Sobota, godz. 10 rano, Hans Priessl dzwonił do pana. Błaga, aby pan go odwiedził w więzieniu. Błaga”.

Mock zdusił papierosa w popielniczce. Zapiął koszulę pod szyją i zaciągnął krawat. Tak, odwiedzi Priessla, swojego dawnego informatora. Nie dlatego, że błaga. Po prostu, czemu nie? Rano planował, że po dobrowolnej pracy pójdzie na południowy niedzielny spacer. Odrzucił tę myśl. W parku będzie zmuszony wysłuchiwać wrzasków dzieci, oglądać szczęśliwe rodziny, słuchać muzyki tanecznej i podziwiać wirujące pary. Postanowił zatem ochłodzić się lodami w ogrodzie Schaffgotschów, ale natychmiast wyobraził sobie rozpalony blat stolika i osy krążące nad głową. Pójdę na jakiś cmentarz, pomyślał wtedy, tam nie będzie ani upału, ani wrzeszczących dzieci. Pójdę do więzienia odwiedzić Priessla, pomyślał teraz, co za różnica... Wszystko jedno - do więzienia czy na cmentarz. I tu, i tu ludzkie cienie.

Breslau, niedziela 1 lipca 1923 roku,  
południe

Przed wejściem do więzienia od strony Freiburger Strasse ustawiła się długa, kilkunastoosobowa kolejka. Kiedy Mock ją ujrzał, przypomniał sobie, że na niedzielne południe przypada pora odwiedzin. Minął stojących i zastukał w okratowane, przysłonięte od wewnątrz okienko wartowni. Odpowiedziała mu cisza.

- Kolejka jest obowiązkowa, panie cacany - powiedziała ostrym głosem kobieta o wyglądzie przekupki, która dźwigała na ramieniu

wiklinowy koszyk, pachnący z daleka mocno naczosnkowaną kiełbasą.

- Nie dla wszystkich, moja dobra kobieto - odrzekł Mock protekcyjnym tonem i zastukał po raz drugi. Po raz drugi bezskutecznie.

- Nie otworzą, nie otworzą - warknęła kobieta. - Każdy musi stać. Czy to żebrak, czy wielki pan...

- Patrzcie go, jaki prędko - zachichotała młoda, tęga dziewczyna do swojej koleżanki. - Ciekawa jestem, czy zawsze taki prędko...

- Ja tam nie jestem wcale prędko - odezwał się młody ulicznik z papierosem w kąciku ust i w kapeluszu panama. - Ja się nigdy nie śpieszę. Chcesz się, panna, przekonać?

- Prędko to on jest do golonki i piwa - krzyknęła chuda jejmość w staromodnej długiej sukience i w kapeluszu na głowie. - Zobacz pani, jakie ma brzucho.

- A ten to co tutaj? - Do Mocka zbliżył się wielki, siwy chłop w kamizelce z kolorowymi wełnianymi troczkami. - Na koniec stać!

Mock poczuł dokuczliwe swędzenie za uchem. W jednej sekundzie ujrzał siebie z różowymi palcami, leżącego w lesie pod Lissa, oraz dwie kobiety z wyłamanymi zębami. Zwykle, aby się uspokoić, powtarzał w pamięci greckie lub łacińskie wyimki, których się niegdyś wyuczył na pamięć. Tak chciał zrobić i teraz. Jego wybór padł na początek Cycerońskiej mowy w obronie poety Archiasza. Niestety, wciąż umykał mu jeden wyraz. Nie pamiętał, czy mowa zaczyna się od *siquid* czy też od *quodsi*. To go zirytowało podwójnie. Otarł pot z czoła, strząsnął dłoń i wrzasnął na chłopca:

- Policja kryminalna!

Wbrew jego oczekiwaniom efekt wcale nie był piorunujący. Siwy chłop wprawdzie cofnął się na swoje miejsce, ale wciąż łypał na Mocka złym okiem, przekupka przeklinała go półgłosem, a dwie młode kobiety nie przestawały chichotać, podszczypywane przez ulicznika. Mock stał zatem wśród krewnych i przyjaciół więźniów na zalanym słońcem chodniku i widział wrogie spojrzenia i słyszał złorzeczące szepty. W ustach poczuł gorzki smak upokorzenia. Podbiegł do żelaznej bramy z okienkiem i zaczął walić w nie pięścią raz za razem. Kiedy to nie poskutkowało, wymierzył drzwiom solidnego kopniaka. Spojrzał na swój nowy trzewik z jasnej lakierowanej skóry. Była na nim niewielka rysa. Kolejka wybuchła śmiechem.

- Patrz, pani, jaki elegant - śmiała się cicho chuda jejmość. - Bucik sobie zarysował.

- A kalesony to ma chyba zawiązywane na aksamitne wstążeczki - chichotała tęga dziewczyna.

- Ja tam nie noszę. - Frant w panamie podkręcił wąsa. - Pokazać?

- E tam - ziewnęła koleżanka. - Co tam masz pan niby do pokazania?

- To z nerwów tak się spocił - mówiła cicho przekupka nie wiadomo do kogo. - Mój nieboszczyk jak się zeźlił, od razu się pocił...

Wtedy Mock postanowił odejść w niesławie. Jutro zidentyfikuje strażnika, który zignorował jego dobijanie się do drzwi, a potem srogo się na nim zemści. W swoim rozwścieczeniu nie zdawał sobie sprawy, że jako skromny nadwachmistrz ma ograniczone możliwości mszczenia się na kimkolwiek ze służby więziennej, a jedyne, co może zrobić, to złożyć oficjalną skargę, której rozpatrzenie potrwa pół roku, a umorzenie kolejne pół. Kiedy zabierał się do odejścia, rozległ się zgrzyt, a



w okienku pojawiło się oko strażnika. Mock z całej siły przycisnął do brudnej grubej szybki swoją legitymację. Drzwi otworzyły się i stanął w nich piegowaty strażnik.

- Co tu za burdel! - ryknął Mock. - Ile mam jeszcze czekać, no ile?!

- No, no. - Strażnik spojrzął na Mocka mało przyjaźnie. - Nie można wyjść za potrzebą? Bez wrzasków mi tutaj! Od policji kryminalnej wymaga się więcej grzeczności... W końcu jesteśmy kolegami!

- Kolegą to ty możesz być - Mock omal nie pękł ze wściekłości - dla mojego psa! Jaką masz rangę?! Ja jestem nadwachmistrz, rozumiesz?! Od radcy Heinricha Mühlhausa! Wiesz w ogóle, kto to jest?

- Nie bądź taki ważniak! Wpuszczę cię, jak będę chciał - mruknął strażnik, lecz chyba jednak był niższy rangą, bo bez słowa przepuścił Mocka w drzwiach.

- Jak mój nieboszczyk się rozindyczył - powiedziała przekupka - to się robił taki czerwony jak ten gliniarz...

- Spuchł taki owaki jak mój indor. - Siwy chłop zapalił papierosa ukręconego z machorki.

- Ja też puchnę. - Frant w panamie nachylił się do ucha tęgiej dziewczyny. - Ale tylko w jednym miejscu... Chodź panna za róg, to pokażę...

Breslau, niedziela 1 lipca 1923 roku,  
wpół do pierwszej po południu

Hans Priessl był niewysokim, drobnym dwudziestoparolatkiem, wyglądającym jeszcze młodziej. W roku 1918, kiedy jego rodzice zmarli na hiszpankę w rodzinnym Goldbergu, Hans musiał zatroszczyć

się o siebie. W podartym paletku pojechał na gapę pociągiem do śląskiej stolicy i tam bez większych przeszkód zaczął uprawiać zawód, do którego był predestynowany z racji swej niepozornej postury i nadzwyczajnej zwinności - został kieszonkowcem. Szybko awansował, a jego udane, zuchwałe i finezyjne kradzieże przysporzyły mu wielkiej sławy w półświatku Breslau. Podarte paletko stało się jego strojem roboczym. Natomiast w swym mieszkaniu na bandyckim podwórku przy Altbüßerstrasse, w ciepłej suterenie, którą zajmował z kolegą po fachu, przybywało szytych na miarę płaszczy i garniturów. Hans Priessl odziewał się nadzwyczaj elegancko, wierząc, że szata zdobi człowieka i prędzej czy później jakaś dziewczyna przymknie oczy na jego niewysoki wzrost i zwiąże się z nim na stałe. Od momentu przyjazdu do Breslau marzeniem Priessla było bowiem założyć rodzinę i mieć dużo dzieci, na tyle dużo, aby znieść to, że któreś z nich zostało zabrane - nie daj Boże! - przez jakąś nową hiszpankę. Realizacja tego marzenia stała się bliższa, kiedy chłopak zamiast paletka włożył smoking - strój roboczy odpowiedni do nowego miejsca pracy. Było nim kasyno hotelu „Vier Jahreszeiten”. Priessl już dawno zauważył, że ma szczęście w hazardzie, i postanowił dać temu szczęściu pole do popisu. Z wieczoru na wieczór stawał się coraz bogatszy, a damy zaczęły mu okazywać czułe zainteresowanie. Niestety, okazał mu je również nadwachmistrz Eberhard Mock, który wcale nie był czuły. Co gorsza, pewnego feralnego dnia policjant wkroczył do kasyna w towarzystwie swojego przyjaciela, doktora Rührtgarda. Ten natychmiast rozpoznał małego kieszonkowca, który go kiedyś okradł na dworcu. Były doliniarz, a teraz zdolny hazardzista nie zdążył się

nawet zastanowić, dlaczego - na widok dwóch przypatrujących mu się uważnie mężczyzn - ogarnął go nieokreślony niepokój, kiedy znalazł się w żelaznym uścisku jednego z nich. Najpierw zainkasował kilka razy po pysku, a następnie otrzymał propozycję nie do odrzucenia. Mock obiecał mu pełną ochronę w zamian za wiadomości o nowych dziewczętach, które pojawiały się w kasynie i oferowały swe wdzięki jego bywalcom, a były na tyle głupie, że nie chciały dać się zarejestrować w aktach decernatu IV

W ten sposób Priessl został informatorem Mocka i byłby nim szczęśliwie dalej, gdyby się nie zakochał w jednej z tych dziewcząt. Uczyniwszy dziewczynę brzemienną, poślubił ją w kościele Świętego Antoniego w podmiejskim Carlowitz, aby dać ceremonii wspaniałą oprawę. Po uroczystości przyjmował życzenia od zaproszonych gości, między innymi od nadwachmistrza Eberharda Mocka. Ten do swoich życzeń dołączył radę, aby nowożeńiec nigdy nie zaangażował się w coś, co go oderwie od rodziny. Niestety, Priessl nie posłuchał. Pewnego dnia, zmęczony już wyrzutami żony, która wciąż była niezadowolona z jego dochodów w kasynie, loteriach i punktach bukmacherskich, przyjął propozycję ograbienia wrocławskiego króla likierów i wódek Schirdewana, który mieszkał przy Klosterstrasse, w pałacyku połączonym z fabryką. Zlecenie było bardzo proste. Dzięki swej nikłej posturze miał dostać się do budynku przez korytarzyk łączący skład likierów z pałacykiem, a następnie wejść do buduaru pani domu, gdzie na toaletce stała szkatułka z klejnotami. W domu miało nie być nikogo, gdyż obydwójce państwo, ich dzieci oraz służba tego właśnie dnia

mieli wyjechać do domu letniskowego w Trebnitz.

Niestety, Priessl bardzo długo szukał klejnotów w buduarze. Na domiar złego, a może dobrego, nieszczęsny złodziej nie wiedział, że twórca sławnej znakomitej śląskiej żytniówki otrzymał dzień wcześniej anonim, w którym jakiś „życzliwy” uprzejmie informował, iż pani Schirdewan w połowie drogi do Trebnitz źle się poczuje i zapragnie powrócić do domu, aby tam spotkać się ze swoim kochankiem. I rzeczywiście, anonim się nie mylił. Nagle, na wysokości Lilienthal, pani fabrykantowa dostała rozstroju nerwowego, skutkiem czego musiała koniecznie zawrócić. Ku zdziwieniu pana rozhisteryzowana małżonka nie miała nic przeciwko jego towarzystwu w drodze powrotnej. Po przybyciu do fabryki służba szczelnie otoczyła dom, a pan Adolf Schirdewan wraz z dwoma tęgimi, młodymi kuzynami wpadł do buduaru żony i zastał w nim małego, umorusanego sadzą młodzieńca. Niewiele się namyślając, wydał swoim rosłym kuzynom polecenie, by ci wzięli go pod obcas. Priessl szybko uznał, że odgrywanie roli kochanka może go uratować od kontaktu z policją. Niestety, pech go prześladował. Stracił bowiem przytomność i nie zdołał zapobiec przeszukaniu kieszeni. W ten sposób odkryto ukradzione klejnoty. Pan Schirdewan przeprosił żonę za niegodne podejrzenia, Priessl znalazł się w furgonie aresztanckim, a zleceniodawca, właściciel urządzeń rozrywkowych - w tym kasyna - w hotelu „Vier Jahreszeiten”, który był jednocześnie autorem anonimu i prywatnie bratem pani Schirdewan, zacierał ręce, bo pozbył się człowieka, który swoim szczęściem w grze pozbawiał go należytych zysków.

Więzienne życie źle się odbiło na fizjonomii Priessla. Na wychudzonej, bladej twarzy pojawiły się różowe szorstkie plamy, pod oczami rozlały się zasinienia. Tłuste włosy były w nieładzie i sterczały na wszystkie strony. Od aresztanta bił wyraźny odór niemytego ciała. Z kajdanek wystawały dłonie o brudnych, ogryzionych paznokciach.

- Co słyszać, Hans? - rzekł Mock, podając mu rękę.

- Wszystko w porządku - odparł Priessl - dziękuję, że pan przyszedł, panie nadwachmistrzu. To bardzo dla mnie ważne.

- Możecie odejść i zostawić nas samych? - zapytał Mock strażnika, który stał pod oknem przesłoniętym podwójną drucianą siatką i popatrywał na niego mało przyjaźnie.

Był to ten sam funkcjonariusz, z którym przed chwilą miał scysję. Nie był najwyraźniej zachwycony ani zachowaniem policjanta, ani tym, że musiał się wraz z nim fatygować do pokoju widzeń zamiast rewidować odwiedzających, a najwięcej uwagi poświęcał zwykle przedstawicielkom płci pięknej. Te obowiązki skwapliwie przejął jego kolega, on sam zaś musiał zrezygnować z obmacywania kobitek i stać teraz jak kołek w pokoju widzeń i znosić smród bijący od aresztanta. Do tego zobowiązywały go przepisy. Każdy prawnik czy policjant miał prawo widzieć się z aresztowanym nie w ogólnej sali widzeń, lecz w osobnym pokoju, do którego musiał być doprowadzony przez strażnika.

- Dobra, dobra - odpowiedział strażnik nieco pogardliwie - będę na korytarzu. Jak się skończy widzenie, przyjdę.

Strażnik wyszedł, a Mock zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami. Najwyraźniej funkcjonariusz więzienny nie chciał się zwracać do Mocka per „pan”, a „ty” już nie miał odwagi. Nadwachmistrz uznał to za swoje małe zwycięstwo. Wytrzeł rękę o spodnie. Była lepka i spocona. Spojrzał w okno. Z oczek siatki zwisały tłuste warkocze brudu. Z dziecińca dochodziło turkotanie wózka i brzęk talerzy.

- Co jest? - uśmiechnął się do Priessla. - Wiozą wam obiad? Musisz jeść więcej, Hans, jeśli nie chcesz się wykończyć. Nie zapominaj, że kiedyś wyjdiesz na wolność, do żony i dziecka. Nie możesz wyglądać jak kościotrup... Mam zresztą coś dla ciebie do jedzenia...

- Ja już tam nie wrócę - powiedział Priessl, wbijając wzrok w blat stołu, na którym opierał skute kajdankami dłoń.

- Wrócisz, wrócisz. - Mock wetknął papierosa w usta Priessla, potarł zapalną o ścianę i podał aresztantowi ogień. - Ale wtedy masz słuchać moich rad, rozumiesz? Jeśli będziesz grzeczny, już nigdy nie znajdziesz się w pudle.

- Ja zostanę w pudle - wyszeptał Priessl, zaciągnąwszy się gwałtownie papierosem. - Na zawsze, panie nadwachmistrzu. Dlatego tak bardzo chciałem, żeby pan mnie odwiedził.

- To dlatego tak błagałeś o spotkanie? - zapytał Mock szorstko, wyjął z papierośnicy wszystkie papierosy i przesunął je po stole w stronę swego rozmówcy. - Żeby się ze mną pożegnać przed śmiercią, tak? Wybij sobie z głowy te głupie myśli! Odbędziesz karę, a potem wrócisz do swoich! Masz dla kogo żyć! Powtarzam, wybij sobie to z głowy...

- Bez obrazy, panie nadwachmistrzu - przerwał mu Priessl. - Nie dlatego pana prosiłem o przyjęcie, żeby się z panem pożegnać, chociaż wiele panu zawdzięczam... Chciałem, aby pan zaopiekował się Luise, moją żoną... Boję się, że po mojej śmierci wejdzie... że wróci na złą drogę... A co wtedy będzie z moim małym Klausem? A pan ma doświadczenie w pracy z takimi dziewczynami... Niech pan jej nie pozwoli zejść na złą drogę!

- Przeceniasz moje możliwości, Hans. - Mock też zapalił i wypuścił dym wysoko, pod sufit. - Nie boisz się, że dajesz ją pod opiekę policjantowi od dziwki? Przecież to prawie jak alfons! Spotykałem je na złej drodze, a one nie chciały z niej schodzić... To ty sprowadziłeś na dobrą drogę swoją Luise. Tobie się udało ta niełatwa sztuka. I twoja żona na tej drodze już pozostanie. Z tobą.

Priessl skutymi dłońmi chwycił Mocka za nadgarstek i zbliżył się ku niemu. Mock odsunął się z obrzydzeniem od aresztanta, aby nie zadławić się smrodem. Każda prostytutka, która cielesnie miała do czynienia z Mockiem, знаła doskonale jego *credo*, które zwykle wygłaszał przed pierwszym spotkaniem. „Nie znoszę żaru, brudu i smrodu - mawiał - masz być zatem czysta i przyjąć mnie w chłodnym pomieszczeniu”. Z tych trzech idiosynkrazj opadły dziś Mocka wszystkie. Na zewnątrz rozlewał się żar, a wewnątrz dławił go smród Priessla i lepki brud pokoju widzeń.

- Błagam pana! - zawołał Priessl, zrywając się z krzesła. - Niech się pan zajmie moją Luise!

- Siadaj i nie zbliżaj się do mnie! Nie chodzisz w ogóle do łaźni czy jak? Śmierdzisz jak gnojowica.

Człowieku, co się z tobą porobiło? Zawsze byłeś elegancki, a teraz wyglądasz jak pener!

- Moja kochana Luise... - Aresztant oparł się o jasnobrązową lamperię ściany, a potem osunął się po niej.

Mock odpalił jednego papierosa od drugiego. Zapach wonnego tytoniu „Ihra” był na szczęście silniejszy niż odór niemytego ciała. Mock sięgnął do teczki i wyjął z niej kilogram kiełbasy czosnkowej zawiniętej w pergamin z nadrukiem firmowym rzeźni „Carnis”. Położył ją na stole, a potem podszedł do przykucniętego Priessla. Po policzkach młodzieńca płynęły łzy. Mock, oddychając ustami, oparł dłoń na jego ramieniu.

- Zajmę się nią, Hans - powiedział powoli - ale pod jednym warunkiem. Powiesz mi, dlaczego chcesz się zabić i dlaczego nie chodzisz do łaźni.

- A kto panu powiedział - były informator wypuścił smrodliwy oddech - że ja chcę zabić siebie samego? Nie, ja zabiję kogoś innego. I dostanę dożywocie albo czapę. I wtedy będę tutaj bogiem. Będę rządził, rozumie pan? Nikt mi nie podskoczy. Kto zabija z zimną krwią, jest tu bogiem. Nie policyjnym szpiclem, ale bogiem. A boga nikt tu nie krzywdzi. Mówią na niego: „Bez oddechu”, i boją się go. Bo jemu już na niczym nie zależy. I każdego może zabić. Jak Bóg... A szpicla czy byłego policjanta wszyscy krzywdzą... Zajmie się pan nią? Proszę mi obiecać!

- Nie spełniłeś wszystkich moich warunków. Nie odpowiedziałeś na moje drugie pytanie. Dlaczego się nie myjesz?

Mock wstał z kucek, obszedł stół, oparł but na krawędzi krzesła i obserwował ryse na ostrym nosku. Przez chwilę oceniał, czy uda się ją zapastować.



- Nie odpowiedział i nie odpowie - rozległ się głos strażnika, który wszedł do pokoju widzeń. - On się wstydzi. Ale ja wiem i powiem...

Priessl wstał i otarł mokrą twarz. Patrzył na strażnika oczami bez wyrazu. Jego spojrzenie było puste, źrenice zwężyły się do wielkości główki od szpilki, oddech stał się urywany, a grdyka skakała pod napiętą skórą szyi. Mock nie widział jeszcze u nikogo takiej reakcji.

- Niczego nie powiesz, jebany klawiszu – Priessl powiedział to wolno i cicho. - A teraz chcę wyjść, koniec widzenia.

Uderzenie, które szarpnęło Priesslem, było mocne i nieoczekiwane. Więzień runął w kąt pokoju i znów się osunął. Głowę wcisnął między kolana i przykrył ją dłońmi. Strażnik odpiął pałkę od pasa i uderzył Priessla w splecione dłonie. Na chudych palcach więźnia pojawiła się czerwona smuga. Strażnik stał w rozkroku i patrzył na swoją ofiarę. Odłożył pałkę i wziął zamach nogą. Zahaczył obcasem o stołową nogę, co sprawiło, iż jego cios stracił impet. Trafił Priessla pod pachę. Więzień zwinął się na podłodze w mały kłębek. Strażnik odwrócił się i odsunął stół daleko. Miał wystarczająco dużo miejsca, by zabić Priessla.

- Teraz lepiej dokopię temu śmierdzielowi - uśmiechnął się do Mocka. - Tej małej dziwce...

Nie zdążył jednak zrealizować swojego zamiaru, bo poczuł piekące klaśnięcie na policzku. Uderzenie było tak silne i niespodziewane, że głowa strażnika odwróciła się na bok, a on sam stracił równowagę. Zabrzęczały w oknach brudne siatki, na których osiadały tłuste opary ze znajdującej się piętro niżej kuchni. Mock podskoczył do strażnika i wcisnął w siatkę jego policzek. Zaatakowany usiłował odepchnąć

napastnika, ale Mock był jak skamieniały.

- Nie bij go, rozumiesz? - wysyczał.

Wtedy otworzyły się drzwi i stanęli w nich dwaj inni strażnicy. Mock oderwał się od swojego przeciwnika, zaatakowany odsunął się od okna. Ku strażnikom ruszył w milczeniu Hans Priessl. Szedł, jakby mu coś ciążyło między nogami. Zbyt duże drelichowe spodnie zsunęły się częściowo z chudych pośladków. Mock spojrzął na swojego dawnego kapusia i znalazł odpowiedź na zadane wcześniej pytanie. Priessl nie chciał mu jej udzielić i nie pozwolił na to również klawiszowi. Teraz nikt nie musiał niczego wyjaśniać. To, co Mock zobaczył, to, co wystawało ze spodni więźnia, było jasną odpowiedzią na to pytanie, było widowym znakiem upokorzenia, było jak piętno wypalone niewolnikowi, jak znak kastowy pariasa, który rozpaczliwie pragnie własnym smrodem odgradzić się od prześladowców. Ze spodni Hansa Priessla wystawała zakrwawiona pielucha.

Breslau, środa 4 lipca 1923 roku,  
czwarta po południu

Piwiarnia „Pod Dzwonem” na Ohlauerstrasse wypełniona była nieruchomym, gorącym powietrzem. Żadne kanały wentylacyjne nie mogły wessać i wyrzucić na zewnątrz woni, które tworzyły przytłaczający zaduch. W ciasnym wnętrzu wiły się smugi śmierdzącego dymu z taniego tytoniu. Nad stolikami ciążyła mieszanina zapachu potraw, piwa i parujących ludzkich ciał. Moritz Mannhaupt zajął miejsce w kącie lokalu i rozejrzał się dokoła. Nie mógł się nadziwić,

że w takim upale ludzie wyciskają z siebie siódme poty, jedząc gorące specjały. Szczególnie zadziwiał go tęgi, rudowłosy jegomość, przed którym stał głęboki talerz wypełniony kluskami, zwanymi „polskimi” lub „śląskimi”. Ubrany był w kamizelkę i melonik. Rękawy koszuli podwinął. Na oparciu krzesła wisiała marynarka. Łykał kluski, prawie ich nie gryząc. Jego użębienie było jednak bezczynne tylko przez chwilę. Za moment bowiem siekał i rozgryzał plastry skóry ze słoniny, które wygrzebywał z góry kapusty na gęsto. Mannhaupt patrzył na jegomościa i kręcił głową ze zdumienia. Tamten to zauważył.

- My znajomi? - zapytał rudowłosy z pełnymi ustami.

- Nie znam pana - odpowiedział Mannhaupt i wysuszył kieliszek czystej wódki, zapijając ją ciemnym piwem „Engelhardt”.

Miazga, widoczna zza zębów i warg ludzi, którzy podczas jedzenia niedokładnie zamykają usta, była dla Mannhaupta jednym z najobrzydliwszych widoków. Spożywanie posiłków z zamkniętymi ustami, trzymanie łokci blisko tułowia oraz skromne moczenie ust w kieliszkach likieru - to były pierwsze lekcje savoir-vivre'u, jakich udzielał swoim dziewczynom. Robił to mimo pogardliwych komentarzy konkurencji, że jego podopieczne sprawiają komiczne wrażenie, zachowując się jak baronowe, a przecież na ogół przesiadują w „podłych knajpach nad wieprzowym kotлетem i kuflem piwa, co - nawiasem mówiąc - często musiało im wystarczyć za całodzienne wyżywienie. Mannhaupt zbywał takie uwagi wzruszeniem ramion i przypominał, że klasę trzeba zachować wszędzie i zawsze. Tej zasadzie sam jednak

bywał niewierny. Odstępował od niej w chwilach, gdy alkohol zamieniał go w innego człowieka, agresywnego i obraźliwego, albo wtedy, gdy natrafiał na wyjątkowego chama.

Obie te przyczyny nałożyły się dziś na siebie. Podпиты Mannhaupt wzdrygnął się na widok masy pokarmowej w ustach nieznanego, w której upstrzona plamkami pietruszki żółta maź klusek mieszała się z włóknami kapusty.

- Pies, który je, nie szczeka - powiedział Mannhaupt tak głośno, że łatwo przekrzyczał niewidomego akordeonistę, który wyśpiewywał zjadliwą satyrę o kwaśnym winie z Grünbergu.

- Co? - Rudowłosy odsunął talerz parujących klusek, wstał i przepchnął swoje tęgie ciało w stronę stolika Mannhaupta. - Co niby?

- No właśnie to! - Mannhaupt zapalił papierosa i zza zasłony szarego dymu patrzył pogardliwie na rudego prostaka.

Ten podszedł do stolika i oparł na nim pięści, które stały się podpórką dla tułowia. Ze swoim wypiętym zadem przypominał goryla, przywiezionego kilka dni temu do ogrodu zoologicznego z Zanzibaru, o czym pisały wszystkie gazety w Breslau. Sutener patrzył uważnie na przedramiona jegomościa, wystające z podwiniętych rękawów koszuli, i napiął mięśnie. Miał nadzieję, że nie zawiedzie go odruch wyrobiony już w dzieciństwie, podczas licznych bójek w bandyckiej dzielnicy wokół Burgfeld. Niestety, nie przewidział, że nieznanomy wcale nie użyje rąk.

Podkute żelazem nogi stołu zgrzytnęły z wysokim piskiem po kamiennej posadzce. Mannhaupt zarejestrował gwałtowny ruch bioder rudowłosego i poczuł silny ból brzucha. Usiłował powstać, lecz najeżona

drzazgami krawędź stołu przycisnęła go do ściany i unieruchomiła. Napastnik, nie zwalniając nacisku ud, otarł pot z czoła, chwycił sutenera za klapy marynarki i szarpnął gwałtownie. Mannhauptowi zdawało się, że nagle cały świat umilkł, a on leci pod sklepieniem restauracji. Rzeczywiście, w knajpie zapadła cisza. Nawet ślepy akordeonista nie zdążył dokończyć frazy, że wino z Grünbergu wydłuża ludziom oblicza. Lot Mannhaupta trwał bardzo krótko. Został wyrwany zza jednego stołu i rzucony na sąsiedni. Poczł wilgoć na policzku i na szyi, po czym doszedł do niego silny zapach octu, cebuli i krupnioka. Chciał wstać, ale znów ktoś go poderwał.

- Nie szarpacie go tak, Smolorz - usłyszał czyjś zachrypnięty głos - bo mu portki rozerwiecie.

Wtedy oszołomionego Mannhaupta owionął lekki podmuch rozgrzanego powietrza i sutener dotknął brudnej kostki brukowej. Rozejrzał się dokoła i zobaczył to, co zwykle: delikatesy i trafikę, pod którą, jak zwykle, kręciły się jakieś szlifibruki. Tylko dwa elementy nie pasowały do znanej mu scenerii. Furgon aresztancki i rudowłosy mężczyzna wskazujący z uśmiechem drzwi pojazdu. Mannhaupt podszedł do nich posłusznie. W ciągu tych kilku minut zrozumiał, że złe maniere i zaczepki nie popłacają. Tę myśl porzucił jednak, kiedy znalazł się wewnątrz furgonu i zobaczył kilku innych mężczyzn, z którymi łączył go uprawiany zawód. Spojrzał na ponure wejrzenia konkurencji i zrozumiał, że tu nie poszło o zachowanie, którym obraził rudowłosego gliniarza. I tak zostałby dzisiaj zamknięty, choćby kłaniał się w pas i czapkował każdemu napotkanemu policjantowi. Dziś był najwidoczniej

zły dzień dla alfonsów.

Breslau, środa 4 lipca 1923 roku,  
wpół do piątej po południu

Szef decernatu IV Prezydium Policji, radca kryminalny Josef Ilssheimer, był urodzonym beznadziejnym biurokratą. Uwielbiał siedzieć za swoim potężnym biurkiem, w otoczeniu segregatorów i książek prawniczych. Za stracony uważał dzień, w którym nie przeczciłby choć kilku stron kodeksu prawa karnego albo wewnętrznych instrukcji policyjnych w poszukiwaniu punktów i paragrafów, którymi opatrzyłby swoje długie raporty o stanie aktualnych spraw wydziału. Jego miłość do biurokracji zyskała mu przychylność obecnego prezydenta policji Kleibömera, który równo dwadzieścia lat pracował w Strassburgu i pruską biurokrację szanował równie głęboko, jak nienawidził alzackiej bylejakości i nieporządku. Dzięki temu Ilssheimer mógł w sposób nieskrępowany uwielbiać biurokrację i dalej sporządzać raporty, wypełnione kunsztownymi i bogatymi frazami ze szczególnym uwzględnieniem rozbudowanych bezokoliczników. Jego uczucie przygasało jednak przed czwartą po południu, kiedy porzucał ponury zamek książąt brzesko-legnickich, w którym mieściło się obecnie prezydium, i udawał się dorożką na objazd sklepów z artykułami egzotycznymi, gdzie oglądał wyroby orientalne, nade wszystko japońskie wachlarze do swojej ogromnej i znanej w Breslau kolekcji.

Dziś nie mógł oddać się swojej pasji, ponieważ kilka minut przed wyjściem został wezwany do biura prezydenta, gdzie jego sekretarz

przekazał mu z kwaśną miną oficjalną skargę na nadwachmistrza Eberharda Mocka, oznajmiając, że prezydent oczekuje wyjaśnień na piśmie najpóźniej jutro przed godziną dziewiątą rano. Pismo to, choć dotyczyło podwładnego Ilssheimera, omyłkowo zaadresowano do wydziału kryminalnego, czyli trafiło wprost do rąk Heinricha Mühlhausa. Ten, po zapoznaniu się z tekstem, przesłał je - drogą służbową, dołączając odpowiednią adnotację - do biura prezydenta. Szef policji kryminalnej nie mógł skontaktować się z Ilssheimerem w tajemnicy przed prezydentem, ponieważ - co zwierzchnik Mocka doskonale rozumiał i aprobował - byłoby to złamanie paragrafu 18, punkt 14bc wewnętrznej instrukcji Prezydium Policji w Breslau z dnia 12 marca 1920 roku, mówiącej, iż w razie niemożności rozpatrzenia pisma urzędowego w ramach jednego wydziału należy je przesłać wprost do biura prezydenta policji. W piśmie nr 1254a/23 strażnik więzienny, kapral Otto Oschewalla „skarży się na zachowanie nadwachmistrza Eberharda Mocka. Donosi, iż został przez niego zaatakowany i dotkliwie pobity. Żąda wyciągnięcia wobec E. Mocka najwyższych konsekwencji służbowych”. Pismo Oschewalli, opatrzone własnoręczną notatką: „Skargę uważam za wysoce uzasadnioną”, zostało podpisane „Langer, dyrektor więzienia śledczego w Breslau”.

Radca Ilssheimer wrócił do swojego pokoju i odłożył na biurko dużą, skórzaną aktówkę z tłoczonymi motywami roślinnymi. Denerwował się nie tyle tym, że nie uzupełni dziś swej słynnej kolekcji o kolejny model, lecz nieubłaganą koniecznością napisania raportu z rozmowy wyjaśniającej ze swoim podwładnym. Nie mógł jednak nic napisać z prostego powodu:

Mocka nie było ani w zasięgu głosu, ani telefonu. Pracował dzisiaj do południa, w pocie czoła identyfikując archiwalne odciski palców z tymi, które wzięto od dwóch zamordowanych prostytutek. Wyraźnie zmęczony, dwie godziny pisał raport o kiepskich efektach swoich eksploracji, po czym odmeldował się, mówiąc coś o konieczności obserwacji na mieście. Ilsheimer nie mógł zatem poznać niedzielnych awantur Mocka w więzieniu śledczym i pozostawało mu jedynie wysłać kogoś ze swoich ludzi do odległego i nawet nienależącego do Breslau osiedla Klein Tschansch, gdzie winowajca mieszkał od lat prawie dziesięciu. Jak na złość - dzisiaj wszyscy pracownicy wydziału, włącznie z praktykantem Isidorem Blümmelem, działali w terenie. Ilsheimer przeklinał swoją wyrozumiałość, nie pytając nawet, na jaki to mianowicie teren wszyscy się dzisiaj udają. Jutro o dziewiątej prezydent policji na pewno okaże Ilsheimerowi mniej zrozumienia niż on dzisiaj swoim ludziom. Przecież radca nie wyjawia prezydentowi prawdziwej przyczyny swojego braku zainteresowania peregrynacjami całego prawie wydziału! Nie powie przecież, że świat przestał dla niego istnieć w chwili, gdy otrzymał nowe katalogi warszawskiej firmy handlowo-spedycyjnej „Bronisław Hirszbein i Spółka”, która bardzo tanio sprowadzała via Amsterdam japońskie wyroby! Nie przyzna się przecież, że kiedy otworzył katalog na stronach z galanterią orientalną, nie wiedział, co do niego mówią odmeldowujący się Mock i reszta jego ludzi!

Tak czy inaczej Ilsheimer musiał czekać na powrót podwładnego, bo jego relacja była warunkiem *sine qua non* napisania raportu. Radca kryminalny nie wiedział, kiedy Mock wróci do prezydium, miał jednak całkowitą pewność, że stanie się to dnia dzisiejszego. Nadwachmistrz nie



znosił niespodzianek pogody i - chociaż niebo było bezchmurne, a nad Breslau zawisła upała - nigdy nie wychodził i nie wracał do domu bez swojego potężnego parasola. Ten zaś teraz sterczał w metalowym stojaku i był widoczną gwarancją powrotu właściciela. Ilsheimer postanowił skrócić sobie czas i zatelefonował do dyżurki. Poprosił woźnego Bendera o zamówienie w ratuszowej jadłodajni „Pieczone Kiełbaska spod Dzwonka” dwóch bułek z wątrobianką i jednego małego ciemnego haasego, po czym zatopił się w lekturze katalogu firmy „Hirszbein i Spółka”. Następnie jego głowa zawisła nad drzeworytami przedstawiającymi japońskie spinki, puzderka, grzebienie z laki i wachlarze, a oczy zamknął głuchy sen.

Obudziły go dwa dźwięki. Pukanie do drzwi, a następnie podniesione głosy na dziedzińcu prezydium. Wydawało mu się, że był wśród nich głos Mocka. Najpierw jednak wpuścił chłopaka z jadłodajni. Odprawiwszy go z banknotem tysiącmarkowym, podszedł do okna i przetarł oczy ze zdumienia. Słuch go nie mylił. Ten, na którego radca czekał prawie od godziny, stał na rozkraczonych nogach koło otwartego furgonu aresztanckiego i wydawał rozkazy ludziom znajdującym się wewnątrz pojazdu. Ponadto co chwila zadzierał głowę i patrzył w okna mieszkania prezydenta policji. Obok stali Smolorz, Domagalla i praktykant Blümmel. Ze środka wyskoczyło pięciu mężczyzn, których teczki, znane doskonale biurokracie Ilsheimerowi, znajdowały się w archiwum jego wydziału.

Na dziedziniec wkroczył z pękiem kluczy strażnik przydziałnego aresztu Achim Buhrack. Rozejrzał się dookoła, po czym uczynił

zapraszający ruch ręką. W bramę prowadzącą do aresztu wtoczyli się zakuci ludzie oraz funkcjonariusze z wydziału Ilssheimera. Mock spojrzął tym razem w okno gabinetu swojego szefa.

- Do mnie, Mock! - krzyknął Ilssheimer, otworzywszy okno. - Wytłumaczyć mi się natychmiast ze swoich rozbojów w więzieniu! Przyszła oficjalna skarga!

Mock uśmiechnął się i w milczeniu wykonał dłonią dwa ruchy. Pierwszy - jakby wyciągał z kamizelki zegarek. Drugi - jakby pisał coś palcem na wierzchu dłoni. Potem zniknął w bramie. Ta pantomima oznaczała: „Nie mam czasu, wszystko ci napiszę”. Ilssheimer usiadł ciężko za biurkiem. Uśmiech Mocka mówił coś jeszcze innego. Przypominał mu o pewnej niepisanej zasadzie ich kilkuletniej współpracy. Niegdyś Mock sformułował ją następująco: „Ty się nie wtrącasz w moje sprawy, a ja milczę o twoich różnych sprawkach, wiesz, o czym mówię”. Ilssheimer - *nolens volens* - musiał czekać na pisemne wyjaśnienie Mocka. Wiedział, że pojawi się ono dzisiaj na jego biurku i że pismo będzie obrzydliwie lakoniczne. Jest parasol, będzie i sam Mock. Na razie szef decernatu IV mógł się poświęcić konsumpcji bułek z wątrobianką.

Breslau, środa 4 lipca 1923 roku,  
piąta po południu

Moritz Mannhaupt rozejrzał się i po raz kolejny zobaczył ponure mordy swoich kompanów. Nie mógł jednak odwrócić głowy i spojrzeć na tych, którzy stali za nim. Wykonanie jakiegokolwiek ruchu jakimkolwiek organem ciała - oprócz palców u rąk i nóg - było w tych

okolicznościach niemożliwe. On i siedemnastu innych alfonsów stało w ciasnej celi aresztu policyjnego przy Schuhbrücke 49, w której swobodnie mieściło się najwyżej czterech mężczyzn. Stojąca duchota w piwiarni „Pod Dzwonem”, z której Mannhaupt wyfrunął godzinę temu, była jak świeża morska bryza w porównaniu z nieruchomym powietrzem w celi. Różnica polegała na tym, że okna w celi nie otworzyłyby nawet słynny saksoński siłacz Hermann Görner. Zostało ono przyśrubowane do żelaznej framugi wiele lat temu, a wilgoć unieruchomiła zakrętki grubą warstwą rdzy. Pot spływał po ciałach zamkniętych sutenerów, ból pulsował w ich piętach i kolanach, a niektórzy czuli zbliżanie się zimnego, lepkiego omdlenia. Jeden z ludzi stojących pod oknem zaczął wymiotować. W powietrzu, a właściwie w tym, co z niego zostało, rozszedł się przeraźliwy kwaśny smród.

- Otworzyć! Otworzyć! - wrzasnął Mannhaupt.

Inni zaczęli mu wtórować. Ciasna cela pękała od wrzasku. Alfonsi stojący blisko drzwi zaczęli w nie walić. Po chwili zgrzytnęło i wszystkim się zdawało, że do dusznego wnętrza celi wtargnęły najwspanialsze zapachy z ich marzeń. Jednemu zdawało się, że poczuł cudowną woń ciasta z kruszonką, do innego dotarł zapach lasu i grzybów, jeszcze innemu wydawało się, że znalazł się w pełnym słońcu na nadodrzańskiej plaży i dochodzi go wilgotny zapach wody. A to tylko otworzyły się drzwi, w których stanął krępy mężczyzna średniego wzrostu. Jego kwadratowa sylwetka, gęste, ciemne włosy, mocno zaciśnięta szczeka i nieskazitelne jasne ubranie były bardzo dobrze znane wszystkim alfonsom. Pamiętali również, że spotkania z tym

człowiekiem nie należały do przyjemnych, a sińce i opuchlizny były często bolesnymi ich pamiątkami. Wiedzieli też, iż potrafi on być delikatny i wyrozumiały dla prostytutek w tym samym stopniu jak brutalny i okrutny wobec ich opiekunów. Widok nadwachmistrza, bo taki stopień miał ten policjant, nie zapowiadał niczego dobrego. Zapadła taka cisza, że prawie słyhać było kapanie potu z czoł udręczonych więźniów. Zniknęły gdzieś cudowne zapachy dzieciństwa, wrócił smród potu i wymiocin.

- Posłuchajcie mnie uważnie, skurwysyny - powiedział policjant nikotynowym basem - bo jest za duży upał, by dwa razy cokolwiek powtarzać. Mam tutaj zdjęcia dwóch zamordowanych prostytutek. Macie je zidentyfikować. - Zapalił papierosa i dmuchnął dymem w głąb celi. - Jestem pewien, że nikt z was ich nie rozpozna. Umywacie ręce, wiem. Trudno, mówicie sobie, zdechł jeszcze jeden mój wół roboczy. Zmuszę innego wołu do pracy. Tak sobie myślicie. Może moją dziwkę zabił jakiś ostry urka. Po co mu się narażać? Jakaś kurwa śmiała się z jego małego ptaszka, to ją zaciukał! Sama sobie winna! Tak myślicie, skurwysyny? Jesteście twardzi wtedy, kiedy trzeba przyłożyć dziewczynie pięścią w twarz, bo chciało jej się pić i kupiła sobie lemoniadę za jakieś grosze, zamiast wam je oddać. - Przeciągnął grzebieniem po falujących włosach, wypluł papierosa na beton, a potem uniósł ręce, w których dzierzył fotografie i czyste kartki. - Nie rozpoznacie tych dziewczyn. Wiem o tym. Nie chcecie się nikomu narażać. A ja wam rozdaję kartki i ołówki. Jak na klasówce w szkole. Wy na tych kartkach wypiszecie nazwiska waszych dziewczyn. Wszystkich. Także nowych i jeszcze nierejestrowanych. Wszystkich.

Nazwiska, a obok knajpy lub ulice, gdzie wabią klientów, albo nory, gdzie nocują. A ja wrócę tutaj za półtorej godziny i wezmę od was te listy. I wtedy was ulokuję na kilka dni po różnych celach, abyście nie zdechli od tego smrodu tutaj. W ciągu tych kilku dni zobaczę się ze wszystkimi dziewczynami z waszych list i porozmawiam z nimi. Wiecie, co im każę zrobić? Aby uzupełniły wasze listy. Jeśli któraś z nich dopisze jakieś nazwisko, to znaczy, że je zatailiście teraz przede mną. Ten, który coś zatai, wróci tutaj, do tej celi. Bez wyroku, bez procesu. Bez wody, w smrodzie tych rzygowin posiedzi miesiąc, może dwa, a ja go będę odwiedzał codziennie. A tymczasem jego interes na mieście przejmie ktoś inny. - Otarł pot z czoła i westchnął. - Muszę zobaczyć wasze dziewczyny. Wszystkie. Żywe i w dobrym zdrowiu, nie licząc syfilisu, szankra twardego i rzeżączki. Jeśli którejs nie zobaczę, to znaczy, że ona jest na tych zdjęciach... A jej alfons to zataił... Wtedy zniszczę tego alfonsa...

Wręczył im zdjęcia i plik kartek, po czym wyszedł. W drzwiach celi stanął rudowłosy mężczyzna, który miotał Mannhauptem w piwiarni „Pod Dzwonem”. W dłoni trzymał kilkanaście króciutkich ołówków.

- Wychodzić - krzyknął - pojedynczo na korytarz! Siadać na ziemi i pisać! A po napisaniu wchodzić z powrotem!

Mannhaupt był pierwszy. Jednak nie ruszył się ani na centymetr. Od niedawna pracował w tym fachu i może dlatego czuł się mocno dotknięty słowami nadwachmistrza. On sam nie tylko nie bił nigdy swoich dziewczyn, ale nawet nie podnosił na nie głosu. Podobnie postępował jego stryj Helmut, który przekazał bratankowi interes, zanim wylądował w więzieniu za oszustwo. I on, i stryj Helmut traktowali

dziewczyny jako prywatną własność, która - ich zdaniem - jest święta i powinna być chroniona przez państwo. Mannhaupt nigdy nie wystraszyłby się żadnego, jak to ujął nadwachmistrz, „ostrego urki” i w razie śmierci którejś ze swoich podopiecznych na pewno współpracowałby z policją. Poczul gorycz, a jednocześnie niepokojącą chęć rozmowy z człowiekiem o kwadratowej sylwetce.

- Panie nadwachmistrzu! - krzyknął Mannhaupt.

- Co jest? - Policjant wynurzył się zza pleców rudowłosego.

- Nie ma wśród nas Małego Maksia - mówił szybko Mannhaupt, nie zważając na pogardliwe spojrzenia kolegów. - Może te dwie to jego dziewczyny?

- Myślisz, że nie wiem, ilu jest alfonsów w tym mieście? - Brunet chwycił Mannhaupta za koszulę i przyciągnął ku sobie. Patrzył na niego przez chwilę, po czym mocno go odepchnął i ruszył z powrotem. Obcasy jego butów trzaskały po posadzce korytarza. Mannhaupt skurczył się, aby nie patrzeć w oczy towarzyszy.

- Wychodzić, kurwa! No co jest! - wrzasnął rudowłosy do Mannhaupta. - No dawaj, już!

Kiedy Mannhaupt go mijał, zobaczył przed nosem zdjęcia dwóch zamordowanych kobiet. Widział je kiedyś u Franka na Matthiasplatz, a nawet z nimi rozmawiał. Wiedział, że są własnością Maksa Niegscha, zwanego Małym Maksiem.

- Nie znam ich - mruknął do rudowłosego, po czym odebrał kartkę i ołówek. - Niech pan mi powie, panie policmajster - nagły impuls kazał mu spojrzeć w przekrwione oczy rudego - dlaczego on nas tak nienawidzi? Już jakiś mędrzec powiedział, że prostytutka to jak kloaka

w pałacu. Gdyby ją zlikwidować, cały pałac zacząłby cuchnąć.

Policjant z ołówkami sprawiał wrażenie oszołomionego wywoдем Mannhaupta. Potrząsał głową i przyglądał się alfonsowi jednocześnie tępo i przenikliwie.

- Ale kloaka też cuchnie, co nie? On w ogóle nie lubi smrodu.

Breslau, środa 4 lipca 1923 roku,  
wpół do siódmej wieczór

Mock szedł korytarzem więziennym i stukał mocno obcasami. Dźwięk ten rozchodził się po całym areszcie. Mock oznajmiał stukotem: nadchodzę i jestem na swoim terenie! Biada wam, skurwysyny! Kiedy wraz z Isidorem Blümmelem i Kurtem Smolorzem zbliżał się do celi numer 2, zdawało mu się, że słyszy donośny wydech ulgi, jaki wydostał się z osiemnastu gardeł. Był słowny. Minęło półtorej godziny i dokładnie wtedy stanął w otwartych przez Buhracka drzwiach celi i wciągnął w nozdrza smród.

- Napisaliście? - zapytał.

- No, no - odpowiedziały liczne głosy.

- Wszystko?

- No tak, jasne, że tak - zafalowały postaci w ciasnej celi.

Mock wiedział doskonale, że uznanie u takich kreatur zdobywa się konsekwencją i brutalnością. Już kilkakrotnie okazywał to w ciągu ostatnich trzech dni, kiedy zwoził ich partiami do aresztu policyjnego. Alfonsi przenocowali najpierw w ośmiu, a następnej nocy w trzynastu

w jednej czteroosobowej nieprzewietrzanej celi. Musieli spać na zmianę, załatwiać się na zmianę, a nawet siedzieć na zmianę w ciągu dnia! Dopiero trzeciego dnia, po wciśnięciu do celi jeszcze pięciu alfonsów, powiedział im, o co tak właściwie mu chodzi. Tak, byłem okrutny wobec tych insektów, myślał Mock, ale co z moją konsekwencją? Jeśli teraz uczynię to, co planuję, wydam im się całkiem i beznadziejnie niekonsekwentny i niesłowny. Stanę się kimś niegodnym szacunku. Ale z drugiej strony konsekwencja bezwarunkowa jest tępa i ślepa. Czego jest winny na przykład ten Mannhaupt, o którym jego dziewczęta opowiadają w samych superlatywach? Dlaczego miałbym go jeszcze kilka dni więzić? Może uruchomiłbym bydłectwo więźniów i Mannhaupt zostałby zhańbiony jak kieszonkowiec Hans Priessl, któremu rozerwali tyłek, by pokazać, kto tu rządzi? Jak młody ojciec Priessl, który na zawsze pozostanie w więzieniu, aby tam zmazać hańbę, i nie zobaczy swojego dziecka?

- Wynocha stąd - Mock podjął decyzję - nie chcę więcej wachać waszego smrodu! Zostawić kartki z nazwiskami na ziemi i won! Strażnik was wyprowadzi przez dziedziniec, wyjściem dla zwierząt pociągowych.

Więźniowie zaczęli się przepychać ku drzwiom. Niektórzy, kiedy mijali Mocka, patrzyli na niego zuchwale. Tych notował w pamięci. Inni unikali jego wzroku. Tych pomijał. Jeden, niejaki Moritz Mannhaupt, patrzył na niego z mieszaniną sympatii i zranionej dumy. Tego też zanotował w pamięci.

Kiedy sutenerzy wyszli, Mock odwrócił się do swoich współpracowników. Wszyscy mieli zdumione miny. Praktykantowi Isidorowi Blümmelowi oczy omal nie wyskoczyły spod ciężkich powiek. Mock



podszedł do niego i objął go mocno za szyję.

- Dziwisz się pewnie, synu - owiał mu twarz nikotynowym oddechem - że okazałem się niekonsekwentny, co? Że obiecałem tym alfonsom kilkudniowy pobyt w celach i nie dotrzymałem słowa? Otóż posłuchaj mnie uważnie, chłopcze. W ciągu trzech dni zamknęliśmy wszystkich alfonsów z Breslau z wyjątkiem niejakiego Maksa Niegscha, zwanego Małym Maksiem. Ten zginął. Ostatni raz widziano go w kawiarni Franka na Matthiasplatz w sobotę. Dzisiaj sprawdziłem ostatnie miejsce, gdzie mógł się ukrywać Mały. Nie było go tam. Zniknął, wyparował. Dzisiaj, po przywiezieniu wszystkich alfonsów do tej celi, zostawiłem was na półtorej godziny, tak? Poszedłem wtedy do mojego pokoju, gdzie nad kuflem czarnego haasego smacznie chrapał nasz wspianiały szef. Wtedy porównałem odciski palców dziewczyn Niegscha z odciskami denatek. Zgadzało się. Te dwie zamordowane dziewczyny to dziewczyny Niegscha. Tych osiemnastu śmierzdźli nie było mi już potrzebnych. Zatem wygoniłem ich, by nie zatruli powietrza, rozumiesz? Czy się jeszcze dziwisz, synu?

- Tak, dziwię się - odpowiedział hardo i prostodusznie Blümmel - przecież od soboty prawie nic innego pan nadwachmistrz nie robi, tylko przegląda kartoteki z odciskami palców. Dziwię się, że dopiero dzisiaj, przed chwilą zidentyfikował pan odciski. Gdyby pan dobrze je zidentyfikował, dajmy na to, w niedzielę, sam albo z pomocą ewentualnego specjalisty, zaoszczędziłby pan nam trudu łapania tych wszystkich alfonsów, nie mówiąc już o czasie.

Mock spojrział na kolegów. Ich miny wyrażały całe spektrum mieszanych uczuć: od niedowierzania i oburzenia na zuchwałego praktykanta, aż do niemej aprobaty jego słów. Jedyne spojrzenie Kurta Smolorza wyrażało zupełną obojętność.

- Byłeś kiedyś w Afryce? - zapytał Mock praktykanta, a kiedy ten pokręcił przecząco głową, kontynuował. - A ja byłem. Dwa miesiące w Kamerunie. I wiesz co? W ciągu tych dwóch miesięcy nie nauczyłem się rozpoznawać Murzynów. Jeden był podobny do drugiego. Nie do odróżnienia. A jak myślisz, co bardziej jest do siebie podobne: Murzyni czy linie papilarne?

- No, linie...

- Udało mi się je zidentyfikować, dopiero kiedy wiedziałem, że to muszą być kobiety od Małego Maksia, a nie inne. A żeby do tego dojść, trzeba było wyłapać wszystkich alfonsów tego miasta. Nie można było tego ustalić w laboratorium. Policja to nie laboratorium, mój synu. To zakurzona i zakrwawiona ulica. Tam znajdziesz to, czego szukasz.

- Nie zgadzam się - odparł Blümmel. - Gdyby pan zlecił ekspertyzę specjalistę, to byłoby...

- Ja musiałem to zrobić sam - odpowiedział Mock z uśmiechem. - A dlaczego? To nie twoja sprawa, synu. A teraz posprzątaj rzygowiny z celi. Wszystko, co robiliśmy, robiliśmy w tajemnicy przed prezydentem. Nie może być żadnego śladu po naszej tajnej akcji.

Blümmel nie wykonał najmniejszego ruchu. Stał i nie spuszczał wzroku z Mocka.

- Mam ci pokazać, jak to się robi? - zapytał Mock przyjaźnie.

- Tak, niech pan pokaże. - Gardło praktykanta rozsadzał gniew.

Domagalla, Smolorz i Buhrack patrzyli zdumieni, jak Mock zrzucił z ramion wytworną marynarkę, podwija rękawy koszuli, a potem bierze puste wiadro i napełnia je wodą z kranu na korytarzu.

- Pracujemy razem? - Mock spojrzał na praktykanta.

Blümmel skinął głową i zdjął marynarkę.

Breslau, środa 4 lipca 1923 roku,  
godzina siódma wieczór

Ilssheimer w ciągu dzisiejszego dnia dwa razy zasnął. Nie zdarzyło mu się to od lat. Oczywiście, drzemka była ważnym elementem jego dziennego rozkładu zajęć, ale na ogół ucinął ją sobie tylko raz - po zjedzeniu późnego obiadu, około szóstej, kiedy już objechał kilka sklepów z galanterią orientalną. Z powodu Mocka nie mógł dziś zrealizować tego ważnego punktu dnia. To bardzo wyraźne załamanie planu nie przeciwdziałało jednak pojawieniu się w mózgu Ilssheimera sygnału głodu, który następował przeważnie w czasie zwiedzania sklepów z artykułami egzotycznymi. Ale wtedy stało się coś niezwyklego. Impulsowi głodu towarzyszył nieregularny i niewytłumaczalny impuls snu. Radca, błogosławiąc chłód swojego pokoju, nie opierał się długo. Obudziły go poczynania Mocka na dziedzińcu oraz wizyta posłańca z jadłodajni „Pieczona Kielbaska spod Dzwonka”. Ilssheimer zjadł dwie chrupiące bułki z popołudniowego wypieku, obficie posmarowane aksamitnie łagodną wątrobianką i przełożone kilkoma

plastrami cebuli, po czym wypił butelkę ciemnego piwa z browaru Haasego. I wtedy pojawił się zupełnie regularny sygnał, który nadchodził zawsze po popołudniowym posiłku.

Z tego snu otrząsał się właśnie, czytając trzy dokumenty leżące na jego biurku. Pierwszy odrzucił po kilku sekundach. Była to skarga na Mocka, która wprowadziła tak straszny nieład w jego pedantyczne życie. Dwa kolejne dokumenty pisane były ręką Mocka, co już samo w sobie wzbudzało niechęć miłośnika raportów wystukiwanych na maszynie. Pierwszy dokument był bardzo lakonicznym raportem.

„Wykonanie polecenia służbowego nr (nie pamiętam numeru) z dnia (ostatnia sobota, nie wiem, którego to było). Zidentyfikowano zamordowane prostytutki w sprawie (nie pamiętam numeru). Klara Menzel, lat 27, i Emma Hader, lat 27. Miejsce pracy: kawiarnia Franka, miejsce zamieszkania: Matthiasplatz 8/24, opiekun Max Niegsch, lat 32, miejsce zamieszkania: bez stałego zameldowania, zniknął. Sprawę przekazuje się policji kryminalnej. Mock”

Ilssheimer poczuł przyływ ciepłych uczuć do Mocka. Jego podwładny doskonale wiedział, ile radości mu sprawia uzupełnianie takich luk, jak „nie pamiętam” lub „proszę sprawdzić”. Wiedział też, że wystukiwanie raportów na nowiutkiej maszynie „Rheinita Record” brzmi dla szefa jak muzyka sfer i że on z radością oddaje się temu zajęciu, zamiast iść w ślady swoich kolegów i zlecać takie czynności sekretarzom lub praktykantom.

Ilssheimer lubił uzupełnianie raportów i osobiste ich przepisywanie na maszynie, ale nie znosił ich sporządzania, kiedy miał mało danych albo musiał przerabiać jakiś tekst napisany na kolanie i pozbawiony

wszelkiej biurokratycznej ornamentyki. A taki był trzeci leżący przed nim dokument.

„W więzieniu przy Freiburger Strasse zaatakowałem w niedzielę skurwysyna zwanego strażnikiem. Stałem w obronie więźnia, mojego dawnego informatora Hansa Priessla, którego ów strażnik zaczął przy mnie katować. Więzień ten wcześniej został zhańbiony przez współwięźniów i jest w ciężkim stanie psychicznym. Tak właśnie było. Mock”

Przygotowanie porządnego raportu z notatki Mocka wymagało nie lada umiejętności. Ilsheimer te zdolności posiadał, lecz potrzebował odpowiedzi na kilka pytań. Nie miał jednak komu ich zadać. Parasola nie było już za metalową obejmą stojaka. Postanowił zatem w swoim raporcie upiększyć literacko szlachetność Mocka, który się wstawia za pokrzywdzonym więźniem, oraz bestialstwo strażnika.

Mijały godziny, a stalówka Ilsheimera kreśliła na papierze przerażające wizje zhańbienia Priessla, zezwierzęcenia strażnika i bohaterstwa Mocka. Piszący chichotał cicho. Mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Gdyby pokrzywdzony strażnik udowodnił Mockowi kłamstwo, skończyłoby się to usunięciem nadwachmistrza z decernatu IV co Ilsheimera wcale by nie zmartwiło. W małym wydziale nie było miejsca dla dwóch szefów: oficjalnego i nieoficjalnego.

Ilsheimer przepisał raport przez kalkę w trzech egzemplarzach. Jeden trafi na biurko prezydenta Kleibömera, drugi pozostanie w aktach. Trzeci egzemplarz był dla Heinricha Mühlhausa. Niech ten nadęty stary mason wie, że ludzie z decernatu IV pogardliwie zwani „biustonoszami”, są nieustraszeni i szlachetni. Wystukał ostatnią kropkę,

a dzwonek maszyny „Rheinita Record” brzęknął triumfalnie. Ilsheimer odchylił się do tyłu wraz z krzesłem i założył ręce na kark. Cały dzień spędził dziś w pracy. Nie szkodzi. Nikt w domu na niego nie czekał oprócz orientalnych cacuszek, nadzwyczaj cierpliwych. Napisał dziś osobliwy raport, którego stylistyka była skrajnie niezgodna z regułami sztuki biurokratycznej. Nie szkodzi. Dzisiaj był nadzwyczajny dzień. Nie obejrzał nowej dostawy galanterii, dwa razy w ciągu dnia zasnął, w zwykłym raporcie dał upust swoim literackim ciągotom. Nie szkodzi.

Breslau, piątek 6 lipca 1923 roku,  
południe

Mockowi się upiekło. Nie wiadomo, czy miała na to wpływ literacka hiperbolizacja i ornamentyka - właściwości stylu Ilsheimera, czy raczej, jak szeptano w policyjnych korytarzach, dyskretne poparcie, jakiego udzielił Mockowi radca kryminalny Heinrich Mühlhaus, który był bardzo zadowolony z identyfikacji zamordowanych prostytutek i którego rekomendacja bardzo wiele znaczyła u prezydenta policji. Mock otrzymał tylko naganę ustną i został zawieszony w czynnościach służbowych na dwa tygodnie. Decyzją prezydenta policji przez ten czas nie otrzymywał pensji, musiał stawiać się do pracy i wykonywać wszelkie służbowe dyspozycje oraz zastanawiać się nad swoim godnym pożałowania postępkami. Po dwóch tygodniach prezydent życzył sobie otrzymać od Mocka szczegółowy raport, który miał być zapisem nowych, słusznych postanowień oraz obowiązkowo zawierać optymistyczny prognostyk na przyszłość. Mock podziękował

za wyrozumiałość, obiecał poprawę, po czym, odprawiony niecierpliwym machnięciem dłoni, udał się - w pełnej gotowości służbowej - do wykonywania swoich jakże odpowiedzialnych obowiązków.

Jednym z nich było dzisiaj złapanie *in flagranti* pastora Paula Reskego ze zboru Karola. Pastor Reske już raz był przesłuchiwany w decernacie IV w sprawie stuprum, jakiego miał się dopuścić z szesnastoletnią praktykantką krawiecką ze szwalni Meyera. Policjantów wydziału interesowało nie tyle życie płciowe pastora, ile stwierdzenie, czy owa uczennica działała sama, czy też należała do jakiejś większej grupy zakamuflowanych prostytutek. Nie udało się wtedy tego stwierdzić, ponieważ pastor konsekwentnie nie przyznawał się do czynu lubieżnego, a zeznaniom pewnej siebie i pyskatej szwaczki nikt nie dawał wiary, zwłaszcza że - mimo wielu gróźb, których nie szczędzono jej podczas przesłuchania - wciąż kręciła i zmieniała zeznania. Ilssheimer zamknął zatem sprawę, a inwigilację szwaczki odłożył *ad acta*. Teraz ją odgrzebał i - w ramach pokuty - nakazał Mockowi śledzić dziewczynę i stwierdzić, czy aby nie zmierza w stronę plebanii pastora Reskego. Gdyby tak było, Mock miał za zadanie nakryć parę *in flagranti*. Wybór padł na niego z jeszcze jednego powodu. Był on jedynym człowiekiem, który wtedy nie przesłuchiwał szwaczki. W czasie tej sprawy pogrążał się bowiem w alkoholowych odmętach.

Skruszony Mock siedział na ławce pod pomnikiem generała von Blüchera na placu jego imienia i od dwóch godzin patrzył bezmyślnie na wielki gmach fabryki konfekcji męskiej Meyera, dokąd wchodziły

i skąd wychodziły różne osoby, a żadna z nich nie była ową szwaczką, której pastor miał być rzekomymp stupratorem. Mock czuł się jak w wielkim, gorącym piecu, który tworzyły ściany stojących wokół placu domów. Białe słońce rozpalało ramy rowerów spiętych jednym długim łańcuchem, do którego klucz posiadał stojący pod parasolem sprzedawca lodów na patyku. Od żaru wędły kwiaty, mimo iż co chwilę spryskiwała je zapobiegliwa kwiaciarka. Blücherplatz wypełniony był nieruchomym upałem, zgrzytem tramwajów i spalinami niezliczonych automobili, które ryczały z opuszczonymi szybami. Mock siedział w centrum tego piekła z papierosem „Salem Alejkum” i po raz pierwszy w życiu żałował, że nie kolekcjonuje wachlarzy - tak jak Ilsheimer.

Z budynku fabryki Meyera wyszła młoda dziewczyna w jasnej sukience i z błękitną wstążką we włosach. Mock przyjrzał się jej, a potem fotografii, którą wyjął z portfela. Przez jego głowę przebiegły dwie myśli. Pierwsza to brak całkowitej pewności, czy dziewczyna na zdjęciu to ta sama, która zgrabnie przebiegała teraz ulicę; druga myśl była pełna zrozumienia dla pastora - on sam niedługo by się wahał, czy zostać deprawatorem tej praktykantki. Ruszyła w stronę pomnika starego pruskiego generała. Minęła obojętnie Mocka i poszła w stronę pasażu Riemberga. Kiedy już tam zniknęła, nadwachmistrz ciężko wstał z ławki i szybkim krokiem podążył za nią. Z daleka podziwiał jej zgrabne pośladki, wyraźnie odznaczające się pod cienkim materiałem sukienki. Najwyraźniej nie nosiła halki, co mocno podnieciło Mocka. Mięśnie łydek napinały się delikatnie nad obcasami pantofli. Obserwując gibkie ruchy szczupłego ciała, Mock zapomniał o falach



potu, które uruchomił tym pościgiem.

Tymczasem dziewczyna przeszła przez Karlsplatz, obdarzona uśmiechem przez zgrzanego policjanta kierującego ruchem. Stróż prawa nie był już tak miły i pogroził palcem Mockowi, który nieco się spóźnił i ciężkim truchtem przebiegł tuż przed dyszlem wozu dostawczego z beczkami piwa „Kulmbacher”. Graupenstrasse prowadziła na południe i wyglądała jak pusty, wypalony słońcem kanion. Rolety okien były zaciągnięte, w sklepie z konfiturami jedynymi istotami oprócz subiekta były osy, w sklepie z materiałami włókienniczymi nikt nie rozwijał bel tkanin. Większość mieszkańców miasta przeczekiwała upał w domu.

Dziewczyna weszła do sklepu z pończochami. Mijały minuty. Kwadrans. Dwadzieścia minut. Śledzona nie wychodziła ze sklepu już dobre pół godziny. Mock stał przed sklepem i zdawał sobie sprawę, że był on w to gorące południe jednym z niewielu przechodniów na Graupenstrasse, jest zatem bardzo mało prawdopodobne, aby dziewczyna po wyjściu nie zwróciła na niego uwagi, co uniemożliwiłoby mu dalszą inwigilację. Najpierw obejrzeć wystawę, a potem schować się do jakiejś bramy, pomyślał tak wolno, jakby jego mózg był materiałem piśmiennym, na którym zapisywał atramentem to polecenie *ad se ipsum*. Kiedy już obejrzał zegarki, pończochy i konfitury, wszedł do bramy, która chroniła przed upałem w takim samym stopniu, jak pół szklanki piwa przed objawami kaca. Wtedy nagle pojawiło się na ulicy dwóch umundurowanych policjantów. Szli z przeciwnych stron ku sobie. Jeden był widoczny na tle masywnego gmachu Nowej Giełdy, drugi na tle ceglasterkowej wieży Biblioteki Miejskiej. Mock

wyszedł z bramy i z zaciekawieniem przyglądał się poczynaniom policjantów. Interesowało go to tym bardziej, że obaj zbliżali się najwyraźniej ku niemu. Kiedy obu dzieliło od niego tylko kilka kroków, ze sklepu galanteryjnego wypadła dziewczyna i wymierzyła w Mocka oskarżycielski palec. Za nią pojawił się subiekt typu „glancpomada”. Subiekt nerwowo wsuwał koszulę w spodnie.

- To on, panowie! - krzyknęła. - To ten typ wciąż za mną chodzi! Chciałam sprawdzić, czy minie mnie na Graupenstrasse, kiedy wejdę do sklepu, ale zatrzymał się przed sklepem i na mnie czekał! Boję się go! Może to jakiś przestępca?! Może zboczeniec? To widać po jego gębie!

- Dobrze, że panna zadzwoniła z tego sklepu. - Ten, który nadszedł od strony fosy miejskiej, uśmiechnął się do dziewczyny, po czym odwrócił się do Mocka ze srogą miną. - A wy co? Czemu nękanie panny Meyer? Wiecie, kim ona jest? To córka właściciela Fabryki Uniformów i Ubrań Męskich! A wy kim jesteście? Dokumenty!

Mock sięgnął po legitymację policyjną. Pokazując ją stróżom prawa, przeklinał swoje łędwie, które reagowały tak samo na wszystkie młode kobiety, przeklinał swój mózg, który wszystkie młode kobiety redukował do ud, pośladków i piersi, a najbardziej przeklinał upał, w którego rozdygotanych falach pyzata i prostacka twarz dziewczyny na zdjęciu z policyjnego archiwum uległa takiemu odkształceniu, że stała się pociągła i miła.

Upał narastał. Prawie pustą ulicą przejechał wóz ze smołą. Gryzący dym wypełnił spieczony kanion ulicy. W tym gorącym obłoku wszystkie odgłosy uległy wytłumieniu. Przeprosiny policjantów, okrzyki zdumienia wydawane przez pannę Meyer, a nawet komentarze

właściciela sklepu z konfiturami, pana Pohla, który postanowił przy okazji zareklamować swój towar i polecał policjantom oraz pannie Meyer wyroby wytwórni „Abrama”. Mock w czarnym dymie smoły wpatrywał się w wieżycę Sądu Krajowego, która wykwiłała za gmachem Muzeum Rzemiosła Artystycznego i Starożytności. Nie słuchał, co do niego mówią, bo nagle dotkliwie uderzył go bolesny kontrast między tym, co teraz robi, a tym, co powinien robić. Uświadomiła mu to wieżycza sądu, a - ściśle mówiąc - więzienie śledcze, którego była ozdobą. Tam powinien teraz być. Powinien słuchać opowieści o ludzkiej krzywdzie, o upodleniu i o zemście. Ważne jest właśnie to, nie zaś wytropienie, czy rozpustna pannica trafi do łóżka z subiektem, czy też z pastorem.

Breslau, piątek 6 lipca 1923 roku,  
pierwsza po południu

Mock stał koło drzwi do aresztu i przypatrywał się swoim letnim trzewikom z jasnej cielejącej skóry. Szpic prawego został starannie zapastowany jasnobrązową pastą „Kiwi”. Jednak nawet najgrubsza warstwa pasty nie mogła pokryć odarcia skóry. Była to pamiątka po ostatniej wizycie w tym gmachu, kiedy Mock wściekłym kopaniem wywołał strażnika. Teraz, opanowany, nie pozwalał wściekłości zawładnąć sobą, teraz tylko uparcie stukał kostką środkowego palca w grubą szybę judasza. Nikt nie otwierał. Pewnie jest w kiblu, pomyślał Mock. Tak jak wtedy. Rozejrzył się dookoła. Wszystko było tak jak wtedy. Nieprzewiewny upał ciążył nad miastem. Niektórych ludzi otepiało, innych- napawało wściekłością. Ci, którzy otaczali Mocka, w

większości należeli do tej drugiej kategorii. Stali tu od rana, żeby odwiedzić swoich bliskich. Mocno obejmowali kartonowe pudła. Unosił się z nich zapach kielbas, tytoniu i świeżego drożdżowego ciasta. Wiedzieli, że nie wszyscy wejdą za mur, a jeśli już, to zostaną poddani - pojedynczo, powoli i metodycznie - upokarzającej rewizji. Zostanie im tylko kilkanaście minut na rozmowę. Każdy zatem intruz, który wchodził bez kolejki, wzbudzał w nich zdławioną wściekłość.

Mock zachwiał się, gdy silnie pchnięto go w ramię. Stracił równowagę i uderzył tułowiem o bramę. Odwrócił się w stronę odwiedzających, którzy teraz otaczali go ciasnym kręgiem.

- Kolejka dla wszystkich! - krzyknął łysy, wąsaty mężczyzna.

Napastnik zmarszczył brwi i wpatrywał się w Mocka nieruchomym spojrzeniem. Był gotowy do ataku. Zgrzytał zębami. Policjant przesunął wzrok po twarzach innych ludzi. Byli jak psy, którym podcięto struny głosowe. Bez warkotu, bez charczenia odsłaniali zęby. Żółte, czarne, nadgniłe, ostre. Chcieli go zaatakować. Bez ostrzeżenia. Bez szczekania. Mógł ich powstrzymać jednym gestem, wyciągnięciem ręki z otwartą legitymacją mógł zbić tych ludzi w skamlającą i strachliwą sforę. Byłoby to jednak skuteczne tylko połowicznie, bo. za chwilę pojawiłaby się kolejna bariera do pokonania. Złe oko kaprała Ottona Oschewalli w wizjerze bramy więziennej. Mock musiałby długo stukać w bramę, może trzeba by nawet kilka razy w nią kopnąć, ryzykując kolejne rysy na trzewiku. I co by to w końcu dało? Wszedłby na teren więzienia i znów spotkałby się ze zhańbionym Hansem

Priesslem. On ze wstydu nie pisnąłby słowa o swoim upokorzeniu, lecz jedynie prosiłby Mocka, aby porozmawiał z jego młodą żoną Luise. Mock wysłuchiwałby płaczliwych zakłęk i wdychałby smród ciała pokrytego miękką, gnijącą skorupą brudu. A potem - rozwścieczony - może nawet poszedłby do celi Priessla i przesłuchałby jego współwięźniów, aby odkryć, którzy go naznaczyli piętnem pariasa. I co? Niczego by się nie dowiedział. Spotkałoby go pogardliwe milczenie. Na takich ludzi Mock nie miał imadła. Należałoby ich zabić, lecz on nie miał takiej władzy.

Spojrzał na trzewik z jasnej skóry. Jego szpic był starannie zapastowany jasnobrazową pastą „Kiwi”. Jednak nawet najgrubsza warstwa pasty nie mogła pokryć odarcia skóry. Była to pamiątka po ostatniej wizycie Mocka w tym ponurym gmachu. Nie chciał mieć już więcej takich pamiątek. Hans Priessl przegrał z butami Mocka.

Nieoczekiwanie i bardzo mocno uderzył w piersi tysego, wąsatego mężczyznę. Ten stracił równowagę. Jego muskularne ciało cofnęło się i uczyniło dużą wyrwę w zbitym tłumie. Mock wsadził w tę wyrwę ramiona i silnymi ruchami - jakby płynął w gęstej wodzie - wyrąbał sobie przejście i oddalił się szybkim, zdecydowanym krokiem. Zbyt szybkim, aby wzbudzić strach i zaskarbić sobie szacunek.

Breslau, sobota 18 sierpnia 1923 roku,  
południe

Pani Elsa Woermann wróciła właśnie z Poczty Paczkowej przy Breitestrasse, gdzie wynajmowała skrytkę na listy, i usiadła ciężko w holu, naprzeciwko tremo w złoconej ramie. Patrzyła przez chwilę na

swe odbicie i po raz pierwszy w życiu własna fizjonomia wydała się jej odpychająca, czarna wdowia woalka - brudna i poszarpana, a sukienka - niemodna i źle uszyta. Pani Woermann postrzegła dziś świat w czarnych barwach. Dotychczas była osobą pogodną i nadzwyczaj wyrozumiałą dla bliźnich, a zwłaszcza dla ich „słabostek podbrzusza”. Nic jej nie dziwiło i cieszyła się, iż pomaga ludziom spełniać ich najskrytsze marzenia. Swoją pracę uważała za potrzebną i pożyteczną, a niebagatelne zarobki - za uzasadnione. Sumiennie płaciła od nich wysokie podatki i dziwiła się, kiedy urzędnicy ze śląskiego Nadprezydium Finansowego wzywali ją co jakiś czas na rozmowy wyjaśniające. Byli to jedyni ludzie - oprócz nadwachmistrza Mocka i jego współpracowników - do których czuła niechęć i pogardę. Bo tylko urzędnicy skarbowi oraz policjanci z decernatu IV stawali na ludzkiej drodze do szczęścia, prześladowując „pośredniczkę dobrego losu” - jak sama siebie nazywała.

Zauważyła, że te prześladowania niebezpiecznie się spotęgowały w ciągu ostatnich tygodni. Nie mogła się nigdzie ruszyć, aby nie ciągnąć za sobą rudego, ordynarnego pomocnika Mocka lub też jego samego, nie mniej gruboskórnego, nawiasem mówiąc. Ona jednak wciąż polegała na swojej fotograficznej pamięci, paliła wiadomości natychmiast po ich przeczytaniu i zapamiętaniu, a potem śmiała się w nos swoim prześladowcom.

Dobry nastrój nie opuszczał jej do dzisiaj, kiedy nagle podczas codziennej wizyty na Poczcie Paczkowej wezwał ją do siebie kierownik działu doręczeń, pan Heinrich Reich. Ten skromny urzędnik, który zresztą

korzystał kilkakrotnie z jej dyskrecji, poprosił ją do gabinetu i poinformował konfidencjonalnym szeptem, że dyrektor kazał mu dzisiaj dorobić kluczyk do jej skrytki, a następnie przekazać go mężczyźnie, który wylegitymuje się jako nadwachmistrz Eberhard Mock. Pani Woermann zrobiło się słabo. Wydała panu Reichowi dyspozycję zlikwidowania skrytki, mimo iż opłacona była do końca sierpnia. Na jego ręce złożyła ponadto pisemną decyzję, aby listy przesyłano na jej adres domowy. Następnie bardzo szybko wyjęła ze skrytki dwa listy, równie szybko nauczyła się na pamięć ich treści, a potem - dzięki służbowemu kluczowi zaprzyjaźnionego urzędnika - otworzyła toaletę dla personelu i oba te listy spaliła. Potem wyszła z urzędu i - gryząc się niewesołymi myślami - czekała na tramwaj numer 4, który miał ją zawieźć na Königsplatz, gdzie miała się przesiąść na 26. Mimo przesiadki była po dwóch kwadransach w swoim mieszkaniu na Wilhelmsufer, siedziała osowiała w holu i patrzyła na swoje niewesołe odbicie w lustrze.

- Mam tylko jedno wyjście - powiedziała do siebie - muszę polegać na własnej pamięci i zrezygnować ze skrytki. Trzeba obmyślić jakiś mniej kłopotliwy sposób nadawania wiadomości i telegramów... Najwyżej ograniczę się do ogłoszeń w „Schlesische Zeitung”. Ta skrytka pocztowa wcale nie była konieczna. Po prostu będę miała w domu więcej wizyt. Poza tym trzeba podnieść stawki za usługi. Przecież nie jestem filantropką.

Pani Woermann odetchnęła i uśmiechnęła się do swojego odbicia. Zdjęła kapelusz i powiesiła go na wieszaku, układając woalkę w misterne fałdy. Wtedy usłyszała wolne kroki na trzeszczących schodach.

Ktoś mocno zapukał. Podeszła bezszelestnie do drzwi i przez chwilę przyglądała się przez wizjer zamaskowanemu mężczyźnie w kapeluszu. Otworzyła. Jej klient ubrany był w spodnie do połowy łydki i sportową marynarkę. Usta i nos ukryte były za białą jedwabną maską, mokrą od śliny i potu. Głowę zaś i czoło szczelnie osłaniał biały letni kapelusz. Mężczyzna podał jej bez słowa kartkę i wszedł do przedpokoju z taką pewnością, jakby nieraz tu gościł.

- „Proszę dać w poniedziałkowej «Schlesische Zeitung» ogłoszenie następującej treści - pani Woermann czytała na głos kartkę, zamknąwszy drzwi. - Najszczęsze kondolencje dla państwa Hader z powodu śmierci córki Emmy Hader oraz dla państwa Menzel z powodu śmierci córki Klary Menzel. Reguiescant in pacem. Właśnie tak, in pacem, nie in pace. Ma być niegramatycznie”.

Pani Woermann przyglądała się przez chwilę kartce, po czym oddała ją swojemu klientowi.

- Proszę to spalić, zapamiętałam - powiedziała - trzy miliony marek to moje honorarium.

- O! - zdziwił się mężczyzna, lecz otworzył pugilares. - Podrożała pani.

Powinien powiedzieć, pomyślała Woermann, „podrożały pani usługi”, nie „podrożała pani”. Wyraził się nielogicznie, a może nawet niegramatycznie. Tak jak niegdyś jego towarzysz, który powiedział: „Dwie lesbijki na orgię do mnie”. Pośredniczka miała znakomitą pamięć i zapamiętywała od razu wszelkie wypowiedzi lub teksty pisane. Jednak teraz wcale nie błąd logiczny, a może gramatyczny, był źródłem przypomnienia. Tym razem stał się nim zapach. Mężczyzna, otwierając usta, wypuścił woń miętowych cukierków.



Pani Woermann przypomiała sobie powiedzenie, które często powtarzał jej jeden wyjątkowo gadatliwy klient. „Czego nie możesz pokonać, to powinieneś wykorzystać”. Pomyślała, że mogłaby dziś wykorzystać swoją pamięć. Mogłaby obłaskawić swojego największego wroga, nadwachmistrza Mocka, i sprawić, że przestanie ją prześladować. Wystarczy, że do niego pójdzie i wszystko mu powie. O tym, że przed kilkoma tygodniami był u niej Pan Mięta - jak nazwała w myślach swojego dzisiejszego klienta - w towarzystwie innego pana. Ten drugi pan zamówił „dwie lesbijki na orgię”. O tym, że przekazała to zlecenie Maksowi Niegschowi, który następnie został zaatakowany i porwany spod jej domu, kiedy szedł po swoje pieniądze za usługę. O tym, że przeczytała w gazecie artykuł o zamordowaniu dwóch prostytutek, a kilka dni później prośbę podpisaną przez szefa wydziału kryminalnego Heinricha Mühlhausa, żeby zgłosili się na przesłuchanie do Prezydium Policji wszyscy, którzy znali dwie zamordowane prostytutki, Klarę Menzel i Emmę Hader. O tym, że prawie dwa miesiące później znów zjawił się u niej Pan Mięta i nadał za jej pośrednictwem bardzo spóźnione kondolencje dla rodzin zmarłych kobiet. Tej prostej i jakże naturalnej czynności nie wykonuje sam, lecz zleca ją komuś w najściślejszej tajemnicy!

Przez chwilę Elsa Woermann walczyła z sobą. Wyobraziła sobie ironiczny uśmiech Mocka, jego zielonobrazowe oczy - cyniczne, okrutne, pełne nadziei - i zrozumiała, że nigdy nie przestanie jej prześladować, mimo że sam postępuje niemoralnie, jak wszyscy jej klienci. Tę nienawiść potrafiła sobie wytłumaczyć jedynie jakimś ślepym instynktem, który nakazuje mu ścigać kogokolwiek, bo bez ścigania

byłby nikim. A z instynktem nie można walczyć. „Czego nie możesz pokonać, to powinieneś wykorzystać”. Człowiek nie może wykorzystać czegoś, czego się panicznie boi. Poza tym dyskrekcja była jej dewizą.

- Podrożały moje usługi - rzekła. - Czy jest pan nimi dalej zainteresowany?

Klient nic tym razem nie powiedział i - szukając potrzebnej kwoty - palcami przebierał banknoty w pugilaresie.

Breslau, poniedziałek 20 sierpnia 1923 roku,  
godzina jedenasta przed południem

Fiakier Wilhelm Zeisberger siedział w budzie dorożki i wachlował się zdjętą z głowy czapką, nad której daszkiem widniał połączony herb Breslau o czterech polach. Zeisberger przyglądał się obciętej głowie Jana Chrzciciela na jednym z pól i zastanawiał się, o ile letnie upały w Breslau ustępują tej spiekocie, której przed wiekami patron miasta doświadczał na Pustyni Judzkiej, gdzie - jak głosi Biblia - modlił się i żywił miodem i szarańczą. Zeisberger długo nie wiedział, co to jest „szarańcza”, i to nie dawało mu spokoju, ilekroć zdjął czapkę i przyglądał się herbowi Breslau. Zdarzało się, że pytał o to klientów, zwłaszcza tych, którzy wyglądali na pastorów lub księży. Jak dotąd, nie uzyskał zadowalającego wyjaśnienia. Kiedyś pewien pijany profesor gimnazjalny wytłumaczył mu, że szarańcza jest to rodzaj robactwa. To nie zaspokoilo pasji poznawczej Zeisbergera, która budziła się zawsze wtedy, gdy ściągał z głowy przepoconą czapkę.

Nie sądził, aby jego nowy pasażer zbliżający się od zboru Lutra cokolwiek mu wyjaśnił. Nie wyglądał na człowieka uczonego, ci nigdy, nawet w najbardziej upalne lato, nie włożyliby spodni za kolana. Oprócz pump, jego nowy pasażer miał na sobie jasnobeżową marynarkę, białą koszulę, biały krawat. Na głowie sterczał mu jasnobeżowy kaszkiet z cienkiego materiału. Właściwy ubiór na letnią porę, pomyślał fiakier.

Pasażer wgramolił się pod budę. Zeisberger usiadł na koźle i spojrzął pytająco.

- Ogród Zoologiczny - mruknął pasażer, owiewając Zeisbergera miętowym oddechem.

Spojrzał na niego mało przychylnie. Wczorajszy czy dziś rano się zaprawił? - pomyślał fiakier i zaciął konia. Likier miętowy na taki upał? To może nawet niezłe, pod warunkiem, że dobrze schłodzony. Lepsze od miodu i szarańczy, uśmiechnął się pod wąsem. Dorożka ruszyła wolno przez Tiergartenstrasse. Kiedy mijali konsulat meksykański, pojawiły się pierwsze krople deszczu. Rozpryskiwały się na rozpalonym bruku i natychmiast parowały, wpadały pomiędzy kostki i natychmiast się ulatniały, odbijały się od wyprężonej budy dorożki i niknęły w powietrzu jak mgła. Przejechał przez Passbrücke i zatrzymał dorożkę. Zdjął czapkę i spojrzął ku niebu. Z radością wchłaniał ciepłą wodę. Jego koń zatrzymał się i - podobnie jak jego pan - rozkoszował się deszczem, który spadł na miasto po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni.

Po chwili fiakier przypomniał sobie, że wiezie pasażera. Odwrócił się, aby go przeprosić za postój. W budzie nie było nikogo. Na siedzeniu leżał jedynie banknot tysiącmarkowy i „Schlesische Zeitung”,

otwarta na stronie z ogłoszeniami. Jedno z nich było zakreślone.

- „Wszystkim, którzy złożyli nam kondolencje - powoli czytał zakreślony anons - po śmierci Emmy i Klary, serdecznie dziękujemy. Modlitwa za ich dusze odbędzie się dnia 22 sierpnia o godzinie drugiej po południu w Giersdorf pod Hirschbergiem na cmentarzu ewangelickim, kwatery 23”.

Zeisberger nie mógł się nadziwić, że jego pasażer wyskoczył w takim deszczu na ulicę. Pijanego nigdy nie zrozumiesz, pokiwał głową i sam wlał pod budę, aby osłonić się nieco przed nawałnicą. Z nudów zaczął przeglądać gazetę. Nagle krzyknął triumfalnie. Już miał odpowiedź, której tak długo szukał. W krzyżówce dostrzegł wpisany kulfonami wyraz „szarańcza”. Spojrzał na hasło. „Latający owad z rzędu prostoskrzydłych” - brzmiało pytanie.

Giersdorf, środa 22 sierpnia 1923 roku,  
wpół do trzeciej po południu

Mężczyzna zapalił papierosa i po raz setny odczytał daty śmierci i narodzin członków rodziny Haderów. Wszystkie te dane wykute były na granitowej płycie ogromnego grobu w kwaterze 23 na cmentarzu ewangelickim w Giersdorf. Oprócz grobu rodziny Haderów w kwaterze znajdowały się dwa tuziny innych grobów, które mężczyzna zdążył już dokładnie zlustrować. Od trzech kwadransów przebywał na tym cmentarzu i usiłował czymś się zająć. Stał pod starymi dębami, ledwie przepuszczającymi niewielką, lecz upartą mżawkę, palił papierosa za papierosem i uzyskiwał genealogiczną wiedzę na temat kilku

rodzin z Giersdorf. Jak się okazało, w kwaterze 23 spoczywali przedstawiciele wszystkich grup społecznych. Wśród nich nie brakowało miejscowych pastorów, nauczycieli, sędziów okręgowych oraz robotników, rzemieślników, a nawet chłopów. Nie brakowało też młodzianków powalonych pewnie przez gruźlicę, dzieci zmarłych w niemowlęctwie oraz młodych matek, którym potomek przyniósł śmierć tego samego dnia, kiedy ujrzał świat.

Znudzony historią familijną, zdeptał papierosa i wsunął do ust miętowego dropsa, aby wytłumić woń tytoniu. Ukryty pod skrzydłem parasola, oparł jedną nogę na pniu starego dębu i manewrując sprytnie wolną ręką, wyjął z teczki cienką broszurę. Teczkę zamknął i położył na mokrej ławce przy grobie Haderów. Otworzył broszurkę w miejscu zaznaczonym widokówką z rysunkiem stawu w Südpark w Breslau. Po raz kolejny, chroniąc broszurkę przed rzadkimi kroplami, które wiatr strząsał z liści, odczytał passus, który prawie znał na pamięć - jak genealogię pochowanych tutaj rodzin.

- „Po dokonaniu zabójstwa - czytał - morderca zamieszcza w miejscowej prasie ogłoszenie kondolencyjne. W ogłoszeniu musi być jakieś zdanie łacińskie z błędem gramatycznym w jednym z wyrazów, np. zamiast poprawnego *Non omnis moriar* w ogłoszeniu powinno być *Non ommis moriur*. Błąd jest bardzo ważny, w przeciwnym razie nikt nie zwróci na ogłoszenie najmniejszej uwagi i kontakt nie zostanie nawiązany. Po kilku dniach pojawia się w tej samej gazecie odpowiedź na ogłoszenie. Jest tam podana data i miejsce spotkania. Nigdy nie dochodzi do niego za pierwszym razem. Kandydat raz na jakiś czas otrzymuje informacje w kolejnych ogłoszeniach, gdzie jest następną datą

i następne miejsce spotkania. Podkreślam, że wyznaczają oni miejsca wyłącznie na cmentarzach. Jeśli kandydat chce rzeczywiście przystąpić do tego zbrodniczego bractwa, musi być cierpliwy. Jak widać, przyjmowani są mordercy pozbawieni skrupułów, ludzie bestialsko bezwzględni i nieludzko cierpliwi. Któż by bowiem wytrzymał nieustanną huśtawkę nadziei i zwątpienia, kiedy na przykład czternaste spotkanie nie dochodzi do skutku? Kandydat nie wie, kiedy ich w końcu spotka. Wydaje mi się, że kandydat jest obserwowany w każdym miejscu, które zostanie mu wyznaczone, na każdym cmentarzu jest jakiś ukryty obserwator. Nie jestem jednak tego pewien. Alexander Geiger nie zdążył mi tego szczegółowo opowiedzieć, zanim popełnił samobójstwo lub... zanim go do tego zmuszono”.

Mężczyzna rozejrzał się dokoła. Nikogo nie było. Tak, pomyślał, to dopiero pierwsze spotkanie. Zamknął książkę, wsunął ją do teczki, otrzepał parasol z ostatnich kropel wody i ruszył żwirową alejką. Po wyjściu z cmentarza udał się w stronę świeżo postawionego przystanku tramwaju, który łączył Giersdorf z Hirschbergiem. W wagonie wyciągnął z teczki tę samą książkę, którą czytał na cmentarzu. Zanim zaczął ją studiować, uważnie przyglądał się stronie tytułowej. Anton Freiherr von Mayrhofer, *Zbrodnicze bractwo mizantropów*. Nakładem autora, Naumburg 1903. Zaczął czytać od początku. Nie musiał. Wszystkie rozdziały tej książki znał na pamięć.

Tramwaj przystanął. Po chwili motorniczy dał znać dzwonkiem, iż rusza. Jakiś mężczyzna podbiegł ku wyjściu. Wyskakując, rzucił na otwartą broszurę von Mayrhofera kulkę zgniecionego papieru. Mężczyzna

ssący miętowego dropsa spojrział z widoczną konsternacją na sylwetkę znikającą za rogiem, po czym rozprostował kartkę. Naklejono na nią rząd liter wyciętych z gazety. Tworzyły one zdanie: „Bądź jutro w południe na przystani gondoli w Breslau, przy Holteihöhe”.

Strehlen, środa 17 października 1923 roku,  
kwadrans na piątą rano

Willego Stauba obudziło złe przeczucie. To zawsze potrafiło go wyrwać z najgłębszego nawet snu. Nie budziło go ani gruchanie gołębi na strychu, gdzie spał, ani swędzenie ran, zadawanych mu przez wszy i pluskwy, ani nawet szczekanie psów, które szarpały często jego łachmany w czasie wędrówek po dolnośląskich wsiach. Od dwóch miesięcy, czyli od czasu, kiedy Staub zamieszkał na strychu cmentarnego magazynu, wydawało mu się, że jego intuicja została uśpiona i przestała wysyłać ostrzegawcze sygnały. Zdawał sobie jednak sprawę, że oskarżanie swych niezawodnych dotąd przeczuc byłoby niesprawiedliwe. Niczego złego się nie spodziewał, nie było najmniejszego powodu do ostrzegawczych lęków. Zebrał, jak zwykle, pod kościołami i po wsiach, a kiedy nadchodził zmierzch, zbierał do tobołka wybrane jado - suchy chleb, miskę mąki, czasami jajko - po czym oddalał się na cmentarz, gdzie miał wygodne pomieszkanko na strychu magazynu, w którym przechowywano łopaty grabarzy, nożyce do przycinania żywopłotów oraz różnego rodzaju szpargały. Staub wsuwał się między dwa snopki słomy, okrywał szmatami i zasypiał

spokojnym snem. Spokojnym, ponieważ nie obawiał się, że ktoś odważy się przyjść na cmentarz w nocy i zrobi mu krzywdę. Z umarłymi żył w wielkiej zgodzie. Podobnie jak ze szczurami - swoimi współlokatorami na strychu. Z jednym z nich - Pyszcziem - dzielił nawet łóżko.

Dzisiaj poczuł ukłucie niepokoju i otworzył oczy. Pyszczek też się przebudził. Było bardzo ciemno. Ta ciemność miała jakąś wyjątkową zdolność przewodzenia dźwięków. Do uszu Stauba doszły szepty i szelest sztywnych płaszczy, jakie nosili grabarze, gdy padał deszcz. Najpierw myślał, że do kaplicy wtargnęli jacyś nocni kochankowie, którzy zrzucają przeciwdeszczowe okrycia, ale prędko porzucił tę myśl. Po pierwsze, schadzki w magazynie cmentarnym były mało prawdopodobne w drugiej połowie października, po wtóre - w ciemności nikt nie sapał, nikt nie dyszał, słowem, nikt nie wydawał miłosnych lub przedmiłosnych odgłosów. Słysząc było tylko jakieś gardłowe polecenia i podejrzone szmery. Staub zastygł, aby najłżejszym nawet hałasem nie wzbudzić zainteresowania ludzi znajdujących się w pomieszczeniu gospodarczym.

Nagle poczuł łaskotanie w krtani, które uparcie pchało się do gardła. Nie mógł kaszlnąć. Poczul, że twarz mu nabrzmięwa i łzy napływają do oczu. Nie mógł nie kaszlnąć. Wtulił twarz w słomę i zrobił to. Wydawało mu się, że kasznięcie było głośne jak wystrzał z armaty. Lekko odwrócił głowę. Oczy Pyszcza jarzyły się w ciemności. I wtedy usłyszał kroki na drabinie. Ktoś wspinał się na stryszek. Stropowe belki się rozjaśniały. Staub ujrzał w prostokątnym otworze najpierw świecę, a potem wyłonił się z niego kapelusz z szerokim rondem - taki,



jak nosili grabarze. Staub przycisnął lekko Pyszczka do piersi. Zdrętwiał. Jego palce powoli zaciskały się na futerku zwierzęcia. To, co pojawiło się pod rondem kapelusza, sprawiło, że ścisnął szczura bardzo mocno. Nie czuł bolesnego kłusania, którym bronił się jego mały przyjaciel. Wpatrywał się w wystający spod kapelusza ptasi profil. Skórzana maska z długim dziobem i z dwiema okrągłymi szybkami, za którymi błyskały oczy. Staub wziął zamach i rzucił swoim przyjacielem w stronę upiora w masce. Widmo schowało się, a Pyszczek uciekł gdzieś w kąt.

- To szczury - usłyszał cichy głos.

Z dołu doszedł go dźwięk zamykanych drzwi i kilka szybkich urywanych oddechów. Staub usłyszał znowu głos ducha.

- Przyszliśmy po ciebie. Wejź do trumny. Zabierzemy cię do miejsca, gdzie dziś wieczorem poznasz prawdę o wszystkim.

Zapadła cisza. Staub zaczął drżeć ze strachu. Odgłos opadającego wieka trumny. Szelest płaszczy. Uderzenie odrzwi. Głuchy stukot trumny na wozie. Parskanie konia. Szurgot kopyt na mokrym żwirze. Cisza. Do Staubą podbiegł Pyszczek, przyjaciel, który uratował go przed zjawą, upiorem, wysłannikiem piekiel. Przed posłańcem dżumy. Włóczęga przecierał oczy kułakiem. Nie mógł odpędzić widziadła. Nie mógł również wytłumić omamów słuchowych. W jego uszach grzmiał głos księdza Pfeffera ze Strehlen. Było to w czasie rekolekcji wielkopostnych, kiedy Staub żebrał w przedsionku kościoła. „W piętnastym wieku - grzmiał ksiądz - nasze miasto zostało nawiedzone przez dżumę! Piekło otworzyło bramy i wypuściło swych wysłanników!

Były to demony o ptasich dziobach! Wychodziły z grobów i do grobów wciągały innych”. Staub zacisnął powieki. Wierzył jak dziecko, że wraz z zamknięciem oczu niebezpieczeństwo staje się niewidzialne, a zatem znika. Że nie ma demonów dżumy, które ożyły na cmentarzu. Że wcale nie musi poszukać sobie innego mieszkania. Że zmarli wciąż są wobec niego przyjaźni. Staub usnął niespokojnym snem. Wnet się obudził. Było to najgorsze jego przebudzenie.

Buchwald pod Breslau, środa 17 października 1923 roku,  
wpół do dziewiątej wieczór

Siedział w zupełnej ciemności i wypalał ostatniego papierosa z papierośnicy. Zaciągnął się głęboko i namacał ręką krawędź muszli klozetowej. Rzucił tam niedopałek, a potem zsunął spodnie, położył deskę, usiadł na niej i oddał mocz w pozycji siedzącej. Uczynił to już dwu- albo trzykrotnie od momentu, kiedy wniesiono go w trumnie do tej dość przestronnej, lecz pozbawionej okna łaźni. Błądząc palcami po ścianach, wyczuwał gdzieś gładkie kafelki, w innych miejscach zaś - chropawe nieotynkowane cegły. Jedna z nich była lepka od jakiejś cieczy. Nie przemógł się, aby sprawdzić węchem lub smakiem, co to jest. Poczul jedynie dreszcz obrzydzenia i paniczny strach - taki sam, jaki ogarnął go dzisiaj późną nocą na cmentarzu w Strehlen, podczas pierwszego spotkania z mizantropami.

Zgodnie z instrukcją zawartą w kolejnym, piętnastym już chyba ogłoszeniu w „Schlesische Zeitung”, zjawił się o północy na cmentarzu w Strehlen. Nie zdziwiła go ani pora, ani miejsce. U von Mayrhofera

czytał przecież, że mizantropi poddają kandydatów ciężkim próbom inicjacyjnym. W ostatnim anonsie-instrukcji ograniczono - już raz tak zresztą było - ramy czasowe spotkania. Tekst głosił: „Msza gregoriańska i całonocne czuwanie w intencji tragicznie zmarłych Klary i Emmy odbędzie się w kaplicy cmentarnej w Strehlen dnia 16 października bieżącego roku o północy”. Jak zwykle - na cmentarzu, jak zwykle - wielka próba dla jego cierpliwości. Bez najmniejszego zdziwienia czekał na dalszy rozwój zdarzeń, choć wiedział, że wszystko będzie jak zawsze - śmiertelnie nudne. Jak zawsze, w miejscu wyznaczonym w gazecie czekały na niego dalsze instrukcje. Były to - jak zawsze - kartki z wyciętymi i naklejonymi literami z gazety. Człowiek dostarczył mu taką kartkę tylko raz - w tramwaju z Giersdorf do Hirschbergu. We wszystkich innych wypadkach były one wetknięte w jakąś szczelinę. Instrukcje wyznaczały kolejne miejsce następnego dnia. Kiedy postępował zgodnie z wytycznymi i przychodził we wskazane miejsca, spotykało go to samo. Czyli nic. Nikt się nie zjawiał, nie było żadnej wiadomości. Wracał wtedy do domu i następnego dnia kupował „Schlesische Zeitung”. Powtarzał tę czynność codziennie. Wyczytywał w gazecie kolejne ogłoszenie ze wskazówką topograficzną, o właściwej porze szedł tam i znajdował nowy trop, następnego dnia udawał się pod adres z kartki i znowu nic. Pusty cykl. Miał za sobą piętnaście pustych cykli i zaczynał powoli mieć dosyć.

Wczoraj, kiedy zjawił się o północy w kaplicy cmentarnej w Strehlen, poczuł przypływ nadziei. Za rynną znalazł bowiem kartkę z zupełnie innym niż do tej pory komunikatem. Nikt nie kazał mu się

stawiać nazajutrz w jakimś innym miejscu. „Nie wolno ci się stąd ruszyć. Czekaj tutaj, aż ktoś przyjdzie po ciebie. Cały czas jesteś obserwowany” - w takie właśnie polecenie układały się krzywo wycięte gazetowe litery. Czekał, palił, gryzł miętowe dropsy, marzył i co chwila otrzepywał parasol. Około czwartej nad ranem nie słyszał niczego poza przeraźliwym szczekaniem własnych zębów. Nie dosłyszał zatem kroków stawianych w rozmięklej glinie. Drgnął, kiedy poczuł obecność jakichś osób. Zapalił zapalniczkę i serceomal nie rozsadziło mu gardła. Stali przed nim. Czterej mężczyźni w długich płaszczach ociekających deszczem. Na głowach mieli kapelusze, na twarzach skórzane maski przeciwigazowe. Zamiast rur czy wystających filtrów zaopatrzone były w zakrzywione ptasie dzioby. Widział już kiedyś takie postaci na obrazie. Nie pamiętał nazwiska malarza. Pamiętał tytuł obrazu. **Pieńko**.

Bez słowa poszedł za diabłami. Znalazł się najpierw w śmierdzącym odchodami magazynie jakiejś kaplicy, gdzie polecono mu położyć się w trumnie. A potem ciężko wzdychał i klął, kiedy jego ciało uderzało o źle oheblowane brzegi trumny, która przesuwiała się podczas jazdy - najpierw konnym wozem, potem automobilem. Środki lokomocji rozpoznawał po prychaniu konia i warkocie silnika. W końcu najgłośniejszy zaklął, kiedy trumna uderzyła o posadzkę. Minęły minuty, może nawet kwadrans, kiedy podniósł wieko trumny i rozprostował ramiona. Wieko upadło z głuchym hukiem, a on wciągnął w płuca woń pleśni i wilgoci. Wygramolił się i starał się rozpoznać miejsce. Namacał prysznice pod niskim sufitem i - ku swojej wielkiej radości - muszlę klozetową. Był prawdopodobnie w jakiejś łaźni. Wiedział,

gdzie jest, ale nie wiedział, co się z nim stanie.

Wtedy zazgrzytały łańcuchy i otworzyły się drzwi. Do pomieszczenia wtargnęło zielone światło. W tej trupiej poświacie dostrzegł trumnę, klozet i kratki w podłodze. Był w łaźni, gdzie mogło się kąpać wielu ludzi jednocześnie. Może to byli robotnicy albo parobkowie? Może łaźnia jest częścią folwarku albo fabryki?

Mężczyzna o ptasim profilu wcisnął kapelusz głęboko na głowę i dał mu znak ręką. Wstał i poszedł za nim. Szedł kamiennym korytarzem, z sufitu sterczały pomalowane na zielono żarówki. Dawały one tak niewiele światła, że widział jedynie plecy idącego przed nim oraz fugi cementu pomiędzy kamiennymi płytami, którymi wyłożony był korytarz. Kilka razy - z prawej i lewej strony korytarza - mignęły mu skąpo oświetlone schody, które pięły się ku górze. Do jednej z takich wąskich klatek schodowych teraz weszli. Po chwili stopnie się skończyły. Przewodnik pchnął wielkie, okute drzwi i znaleźli się w dużym pomieszczeniu, oświetlonym na środku snopem białego światła. Przewodnik popchnął go lekko w jasny krąg i zniknął.

Najpierw mrużył oczy, a potem otwierał je coraz szerzej. Był otoczony ludźmi o ostrych ptasich profilach. Ich długie peleryny i wielkie kapelusze poruszały się, jakby ludzie ci toczyli ze sobą jakieś spory i gorączkowo gestykulowali. W okrągłych oszklonych otworach masek błyskały zniecierpliwione, poirytowane spojrzenia.

- Twoja cierpliwość została nagrodzona - powiedział tubalnym głosem jeden z nich. - A teraz powiedz, czego od nas pragniesz?

- Wy, mizantropi, w odróżnieniu od filantropów - cedził słowa bardzo wolno, cytując znane prawie na pamięć frazy z książki von Mayrhofera - nienawidzicie ludzi i wierzycie, że strach jest spoiwem najmocniejszym. Boicie się siebie nawzajem. Każdy z was kogoś zabił. Jakiegoś wyrzutka społeczeństwa. Każdy z was popełnił zbrodnię i przedstawił innym mizantropom dowód swojej zbrodni. Każdy mizantrop może w każdej chwili pójść na policję i okazać dowody zbrodni popełnionej przez każdego innego mizantropa. Dlatego nie kłóćcie się, żyjecie w absolutnej zgodzie i jesteście gotowi do każdego czynu - najpodlejszego i najszlachetniejszego - aby pomóc jednemu z was. Nie z miłości to robicie, lecz ze strachu. Nie pijecie alkoholu i nie odurzacie się morfiną, aby w upojeniu nie wyjawić zbrodni innego. Każdy każdego trzyma w szachu. Spoiwem waszej organizacji jest lęk. Wy nie wierzycie w szlachetność ludzi, wy wierzycie w ludzką podłość. Każdego można skorumpować strachem. A wy wszyscy jesteście skorumpowani. Pesymiści, którzy nie wierzą w człowieka, i zbrodniarze, którzy popełniają zbrodnie doskonałe. Doskonałe, bo wszyscy inni o nich wiedzą; doskonałe, bo nikt o nich nie powie policji. Wasze zbrodnie na zawsze pozostają nieodkryte...

- Dobrze opanowałeś von Mayrhofera...

- Był on dla mnie od dawna drugą Biblią... Pamiętam nawet wszystko, co mówi on o pochodzeniu nazwy waszego bractwa. Ma ona sens grecki, nie Molierowski, i oznacza dokładnie „nieprzyjaciele człowieka”. Ale z pozostałych passusów von Mayrhofera wynika, że jesteście przede wszystkim nieprzyjaciółmi wyrzutków społecznych.

- Dlaczego zabijamy ludzi z marginesu?
- Bo zajmujecie ważne stanowiska w społeczeństwie. Nie zabijacie nikogo z waszego gatunku, nikogo wam podobnego, nie niszczyacie ludzi wykształconych i zamożnych, którzy są ostoją społeczeństwa, bo to tak, jakbyście zabijali samych siebie.
- A ty jesteś ostoją społeczeństwa?
- Wiecie, gdzie pracuję...
- Tak... W wymiarze sprawiedliwości... Dlaczego chcesz przystąpić do naszego bractwa?
- Wzajemnie się popieracie, robicie kariery, umożliwiacie sobie zaspokojenie wszelkich potrzeb, choćby były one najbardziej wymyślne i osobliwe. Chcę być bogaty, chcę zrobić karierę, chcę zaspokajać nieskrępowanie potrzeby moje - przełknął ślinę i powiedział to bardzo głośno: - chcę sprzedać duszę diabłu.

Zapadło milczenie. Mizantropi poruszali pod pelerynami rękami i nogami. Niektórzy kręcili się w kółko. Wyglądali jak chór demonów, bezgłośnie wykonujących jakieś taneczne ewolucje. A może to wszystko był sen? Może to tylko mu się zdawało w ciemnościach?

- Są nam potrzebni nowi członkowie, a ludzie muszą wiedzieć, jak z nami nawiązać kontakt zepsutą łaciną - powiedział rozmawiający z nim mizantrop. - Von Mayrhofer nie istnieje i nie istniał. Jeden z nas napisał tę broszurkę. Wielu rzeczy w niej nie ma. Sam nawet nie wiesz, jak trudne jeszcze przed tobą obrzędy inicjacyjne. Sam nie wiesz, kogo ponadto będziesz musiał zabić, jakich obrzydliwości się dopuścić... Ponieważ von Mayrhofer o tym nie pisał, masz prawo teraz się jeszcze wycofać. Możesz powiedzieć „nie”. Wtedy zawiążemy ci oczy i zawieziemy cię z powrotem na cmentarz w Strehlen. Jaka

jest twoja odpowiedź?

- Odpowiedź brzmi: „Zanim odpowiem, czy mogę zadać pytanie?”

- Masz prawo do jednego pytania.

- Dziękuję. - Przełknął ślinę, chciało mu się pić. - Przecież policja mogła czytać waszą broszurkę rekrutacyjną. Kto wie, czy nie zastawia pułapek na morderców, którzy chcą być z wami. Wy wszystko o mnie wiecie, ja o was nie wiem nic...

- To nie było pytanie! - tubalny głos zagrział gdzieś pod niskim stropem. - Zadaj pytanie!

- Zadam. Czy jesteście z policji?

Zgasio światło i uchyliły się drzwi, wpuszczając przez moment zimną, zieloną poświatę. Dwóch ludzi wypadło na korytarz. Potem zaległa ciemność. Ktoś go pchnął tak mocno, że usiadł. Ktoś go chwycił za kołnierz i przyciągnął do ściany. W miękkiej ciszy słyszał ich przyspieszone oddechy. Minęły chyba dwa kwadransy. Czas się dłużył niemiłosiernie. Nagle wszystko nabrało szaleńczego tempa. Stuk drzwi, światło zielone, dwaj ludzie z trumną, snop białego światła, huk trumny padającej na posadzkę.

- Mam tam wejść i odwiezicie mnie z powrotem na cmentarz? - zapytał drżącym głosem, wskazując na trumnę. - Wszystko na nic? Za dużo pytań? Za dużo wątpliwości z mojej strony?

- Nie zmieścisz się tam - powiedział powoli mizantrop - i nie chcesz tam być.

Po tych słowach otworzył wieko trumny. Buchnął smród ludzkich wydzielin i coś się wewnątrz poruszyło. Brodata twarz pokryta wysypką uniosła się nad brzeg skrzyni. Nagle wypadł stamtąd szczur i



zniknął w ciemnościach. Mizantrop chwycił głowę za skołtunione włosy. Drugą ręką wyjął z fałd peleryny duży nóż i zaczął powoli podryzać gardło związanemu człowiekowi.

- Pyszczek, nie uciekaj - wybąkał człowiek przez czerwone pęcherze krwi, które pękały mu na wargach.

- Nadal sądzisz, że jesteśmy z policji? - zapytał mizantrop, wciskając ostrze w chrząstki krtani włóczęgi.

Breslau, czwartek 18 października 1923 roku,  
dziesiąta rano

Na cmentarzu parafii Świętego Henryka wokół świeżo wykopanego i zasypanego grobu Hansa Priessla stało niewielu żałobników. Wśród nich było kilka sprzedajnych dziewcząt z kasyna, które nawet pod czarnymi woalkami nie mogły ukryć ironicznych uśmiechów i taksujących zawodowych spojrzeń. Były bardzo uważne i teraz, kiedy wbijały się w zrozpaczoną twarz Eberharda Mocka, i wcześniej - kiedy taksowały zawartość pugilaresu, gdy policjant płacił księdzu za jego smutną posługę. W żałobnika wpatrywał się też pewien stary handlarz, który podczas wojny prowadził punkt rozdziału żywności i dorobił się nadzwyczajnie na tym procederze. Nie spuszczała z niego wzroku również zawodowi kieszonkowcy, których wyróżniały latające nerwowe spojrzenia i wciąż powtarzany ruch - gest dłoni. Wszystkich tych ludzi ciekawiły - oprócz zawartości Mockowego pugilaresu - powody, dla których ten dobrze im znany, brutalny policjant wyglądał dzisiaj jak żałobnik, który stracił najbliższą rodzinę. Wszyscy wiedzieli, że Mocka łączył jakiś rodzaj przyjaźni ze zmarłym, która

kazała mu zapłacić za pogrzeb i sobie znanymi sposobami wpłynąć na księdza, aby ten zechciał pochować samobójcę w centrum cmentarza, a nie za jego murem. Nie było to dziwne, że Mock przyszedł na pogrzeb, skoro widzieli go przecież na ślubie Priessla przed rokiem, co - nawiasem mówiąc - pozwoliło im wtedy snuć podejrzenia, że mały kieszonkowiec jest policyjnym szpiclem. Ale musiało ich obu łączyć coś więcej - sądzili - skoro policjant nie był w stanie ukryć łez podczas ceremonii. Może byli krewnymi? To zachowanie Mocka nie uspiło jednak czujności większości żałobników, których modus vivendi stał w jaskrawej sprzeczności z zawodem płaczącego. Starali się nie patrzeć na przepitą twarz Mocka. Oni, a zwłaszcza sprzedajne kobiety, wiedzieli, że słabość nadwachmistrza może być chwilowa, że niezwykle widok jego zapłakanej twarzy może zwiastować niezwykle reakcje wobec nich samych. Również te niepożądane.

- *Salve regina, mater misericordiae...* - śpiewał ksiądz.

Złodzieje i dziwki nie mylili się. W Mocku narastał gniew. To destrukcyjne i nieopanowane uczucie pchało go zwykle do czynów gwałtownych. Wiedząc o tym, zawsze uspokajał się przypomnianiem sobie wierszy łacińskich, których wyuczał się na pamięć w wałbrzyskim gimnazjum klasycznym. Często bywało, że kiedy stawał oko w oko z jakimś człowiekiem, który naciągnął jego nerwy, musiał zatrudnić swój mózg dźwięcznymi frazami starożytnych Rzymian, które miały cudowną właściwość wytłumiania i absorbowania agresji. Dzisiaj jednak nie pomogłaby ani Horacjańska Sorakte, ani Wergiliańska leśna fujarka Tytyrusa, ani kościelne inkantacje księdza. Dzisiaj nie

chciał się uspokajać. Dzisiaj, gdyby tylko mógł, rzuciłby się do gardła dwóm ludziom. Nie był jednak w stanie tego zrobić, ponieważ ci ludzie siedzieli za kratkami więzienia na Freiburger Strasse. Gdyby nie oni, nie byłoby tej całej uroczystości, a on sam leczyłby zimnym piwem niedyspozycję, jaką zgotował mu wypity wczoraj kieliszek; ten, który był nazywany „o jeden za dużo”, chociaż Mock wiedział doskonale, że tym mianem powinien być określony każdy pierwszy, który trafia do ust pijaka. Ci dwaj ludzie - Schmidtke i Dziallas - pozbawili go tej cudownej łaski porannego klina, zmuszając do uczestnictwa w ponurej ceremonii, do wystawiania się na tępe, bezmyślne spojrzenia dziwek i złodziei, a nade wszystko do przeżywania gryzącej frustracji. Tak, był sfrustrowany, bo nie mógł dopaść dwóch ludzi, którzy zmusili Priessla do samobójstwa. Więzienie na Freiburger Strasse było dla Mocka niedostępne. Mock nie opłakiwał śmierci swojego dawnego informatora, on opłakiwał własną bezsilność.

- *Ad te clamamus, exules filii Hevae. Ad te suspiramus gementes et flentes* - śpiewał ksiądz.

Mock nie słuchał. Opierał się o karawan i czytał pożegnalny list, jaki mu na początku pogrzebu przekazała zapłakana wdowa, pani Priessl, trzymająca na ręku rocznego chłopczyka, równie zapłakanego, choć z zupełnie innych powodów. Do listu dołączony był mały obrazek, przedstawiający kobiecą postać. „Święta Jadwiga” - napis pod wizerunkiem identyfikował osobę. Mock patrzył tępo, jak krople deszczu rozmazują krótki tekst pożegnania i padają na oblicze śląskiej świętej.

„Szanowny Panie Nadwachmistrzu! Więźniowie Dieter Schmidtke i Konrad Dziallas zhańbili mnie w więzieniu. Błagam pana, niech pan ich zabije. Jak pan to zrobi, mój synek Klaus nigdy się nie dowie, dlaczego się zabiłem. Tylko oni wiedzą. To jest moja ostatnia prośba. Jeśli pan to przyrzeknie, niech pan rzuci ten obrazek na mój grób. Z wyrazami najwyższego szacunku, Pański Hans Priessl”.

Mock otarł kułakiem oczy i spojrział w szybę karawanu. Zobaczył swoje oblicze. Oczy napuchnięte od łez i alkoholu. Skóra szara i pomarszczona. Jak gotowana wołowina, pomyślał, jestem jak rozgotowane mięso.

- O clemens, o pia, o dulcis Virgo Maria – ksiądz kończył antyfonę.

Mock przełknął ślinę, która była tak gęsta, że z bólem otarła się o suchy przelyk. Kto jest winny tej śmierci? Odpowiedź jest prosta, pomyślał, ja zawiniłem. Priessl nie żyje, bo mnie się nie chciało wyświadczyć mu przysługi. Nie chciało mi się stać w palącym słońcu na trotuarze pod więzieniem i narażać się na wrogie spojrzenia ludzi. On czekał na moje odwiedziny, a ja zostawiłem go samemu sobie. On czekał na moją obietnicę, że zaopiekuję się Luise, a ja w swoim kalendarzu przepisywałem z tygodnia na tydzień termin wizyty w więzieniu. Brzydziła mnie jego woń. Odszedłem w ten ciężki od upału dzień i nie dałem mu nawet szansy, by mógł choć na chwilę opuścić celę i by choć przez moment nie widzieć swoich oprawców. To nie Dieter Schmidtke i Konrad Dziallas byli winni. To ja jestem winny. To ja go zabiłem.

- I zmażę tę winę! - powiedział do księdza, który właśnie rzucił grudę ziemi na trumnę.

On sam nie rzucił grudy ziemi. Wykonał gwałtowny ruch ręką i - ku zgorszeniu duchownego - na skromną trumnę pofrunął kołyszącym się lotem tandetny odpustowy obrazek, jeden z tych, które wypełniają kieszenie księdza, kiedy odwiedza swoich parafian, albo kapelana w areszcie, kiedy niesie pocieszenie, w które nikt nie wierzy. Święta Jadwiga spoczęła na wieku trumny.

Mock odwrócił się i ruszył w stronę cmentarnej bramy. Jeszcze raz spojrzął w szybę karawanu. Jego twarz nie przypominała już gotowanej wołowiny. Teraz była podobna do befsztyka. Bardzo krwistego.

Breslau, czwartek 25 października 1923 roku,  
ósmą wieczór

Hotel „Warszawski Dwór” przy Antonienstrasse 16 był bardzo dobrze znany Mockowi i ludziom z decernatu IV Potrafili oni scharakteryzować każdy z licznych zacieków na ścianach, znaleźć każdą papierosową dziurę wypaloną w kołdrze lub w materacu, wymienić liczbę obtłuczeń każdej miednicy, w której córy Koryntu obmywały swoje sfatygowane pudenda. Ileż to razy Mock, Smolorz czy Domagalla zaglądali do tego hotelu, aby przyłapać na gorącym uczynku prostytutki uparcie unikające rejestracji! Ileż to razy zaśmiewali się do rozpuku, kiedy jakiś szanowany obywatel, przydybany z dziewczyną z tingel-tangla, usiłował tłumaczyć, że ta pani udzielała mu prywatnych lekcji shimmy!

Nic dziwnego, że Eberhard Mock czuł się w tym przybytku jak u siebie i nie musiał liczyć stopni, które prowadziły do poszczególnych pokoi - nierzadko będących widownią prawdziwych tragedii

mażeńskich - lub do znajdujących się na półpiętrach ubikacji, skąd często dochodziły westchnienia ulgi morfinistów. Mock z zamkniętymi oczami trafiłby w każdy zakątek „Warszawskiego Dworu”. Nie mogli tego powiedzieć o sobie jego dwaj towarzysze i taka wiedza nie była im zresztą do niczego potrzebna. Oni wiedzieli jedno. Że mają wykonywać polecenia Mocka, służyć mu informacjami i poskramiać własną ciekawość. Za to mogli liczyć na jego pomoc, czyli przymykanie oczu na ich przemytnicze poczynania. Mock wyświadczał im jeszcze jedną ważną przysługę. Różnymi sposobami przekonywał właścicieli drogich domów publicznych, aby nabywali towary właśnie od firmy prowadzonej przez jego dzisiejszych towarzyszy. Jeden z nich - szczupły, niewysoki i gadatliwy - był mózgiem szmuglerskiego procederu, polegającego na nielegalnym handlu wyrobami luksusowymi. I tak, dzięki jego obrotności, zaopatrywane były - drogą rzeczną i oczywiście bez zbędnego cła - domy towarowe Breslau, Sterana i Berlina w turecki tytoń, etiopską kawę, francuskie koniaki, afgańskie futra, rosyjski kawior i syryjskie perfumy. Część tych dóbr - dzięki protekcji Mocka - trafiała do burdeli dla najbogatszych obywateli wschodniej części „dzikiej i zepsutej Republiki Weimarskiej”. Drugi towarzysz Mocka - potężny, kłocowaty niemowa - był obstawą pierwszego, człowiekiem dbającym o cielesną nienaruszalność swojego patrona. Pierwszy nazywał się Cornelius Wirth, drugi - Heinrich Zupitza.

Mock, ciężko sapiąc, wszedł po schodach na czwarte piętro, gdzie były najtańsze pokoje. Stał przy oknie wychodzącym na wąską ulicę. Zapalił papierosa i strzepnął popiół do flakonu na parapecie.

Obserwował przez chwilę scenkę w kamienicy naprzeciwko. Mężczyzna w kamizelce i w podkoszulku siedział przy stole, na którym stała waza z zupą. Nie jadł jednak, lecz tylko walił pięścią w stół. Po drugiej stronie stołu stał dziesięcioletni może chłopiec, który kulił się w drgawkach, jakby każde uderzenie w blat było bolesnym ciosem. Pewnie przyniósł dziś ze szkoły najgorszą notę. Przy kuchni, w której płonął ogień, stała ze spuszczonego wzrokiem kobieta i wycierała dłonie o fartuch tak często, że pewnie już były one czyste i gładkie jak kafelki pieca. Do chłopca łąsił się duży, kudłaty pies, który nie przyjmował do wiadomości szkolnej tragedii. Mock rzucił papierosa i ze złością zauważył, że potoczył się on w szparę między deskami podłogi, skąd za chwilę wystrzelił zakrecony słupek dymu.

- Róbcie to, co wam mówiłem - powiedział cicho do swoich towarzyszy - a ja spróbuję ocalić ten burdel przed pożarem. Szkoda by było, gdyby spłonął. Gdzie by sobie poruchał nasz inspektor sanitarny? W swoim gabinecie w więzieniu? Pokój numer 28. Macie klucz. - Wyciągnął do nich rękę.

- Idziemy - rzekł Wirth do Zupitzy.

Mock najpierw odsunął butem sznurkowy dywan, którego brunatny kolor rozjaśniały tu i ówdzie jasne plamy, wyżarte przez jakieś substancje. Potem ciężko opadł na jedno kolano i dysząc, włożył palec w dziurę pomiędzy rozeschniętymi deskami. Opuszki palców wyczuły żar niedopałka, nie mógł go jednak uchwycić. Jego palce były zbyt grube i krótkie, a złoty sygnet na jednym też nie ułatwiał zadania. Spróbował drugą dłońią i syknął z bólu. Poparzył się. Wstał z kolan, otrząpał spodnie z ziarenek piasku i zrolowanych kłębow kurzu, zdjął

melonik i rozpiął palto. Rozwścieczony patrzył na brud za paznokciami, który dostał się tam w czasie jego strażackich działań. Z kieszeni wyjął małe, płaskie skórzane etui, a z niego pilnik do paznokci. Czubek wsunął za paznokieć i wykonał okrągły ruch. Niestety, brud był jakiś tłusty i nie pozwolił się usunąć. Przykleił się do wewnętrznej strony paznokcia. Mock powachlował się melonikiem i długo patrzył na Wirtha i Zupitzę, którzy - wbrew zapowiedzi - wcale nie ruszyli z miejsca i z pewnym rozbawieniem go obserwowali. Z podłogi unosił się coraz gęstszy słup dymu. Mock znał swoich towarzyszy od pięciu lat. Bywało, że ich lubił. Bywało, że uważał ich nawet za swoich przyjaciół. Teraz nie.

- Śmiesz was to, skurwysyny? - powiedział powoli. - No to ja z was się pośmieję. Gasić to, ale już! Możecie się nawet na to odlać. No już! Co powiedziałem?

Obaj spojrzeli na Mocka z niechęcią, lecz zabrali się do roboty. Zupitza wsadził palce między deski i szarpnął mocno. Wirth sięgnął po flakon stojący na oknie, w którym pływały się w mętnej wodzie gałązki asparagusa, i chlusnął w szparę. Mock wiedział, że taka postawa wobec Wirtha i Zupitzy wzmocni jego autorytet. Ci ludzie byli przecież zwykłymi bandytami, w Amsterdamie i Hamburgu mordującymi tych, którzy nie płacili im haraczu. I pewnie skończyliby na szubienicy, gdyby pewnego dnia nie spotkali na swej drodze Eberharda Mocka, który - bynajmniej nie gratis - okazał im wspaniałomyślność i postanowił ich wykorzystać. Tacy bandyci jak oni niedługo doceniali pomoc i wielkoduszne przysługi. Trzeba im było co chwilę wskazywać ich miejsce i na ich oczach być brutalnym wobec innych. Inaczej



w kontaktach pomiędzy nadużywającym swej władzy policjantem a pomagającymi mu przestępcami nic nie działało należycie. Ci bandyci nie znali pojęcia wzajemności.

- Zagasiliście? - zapytał cicho, a oni kiwnęli zgodnie głowami. - No to patrzcie, jak się chwyta w imadło różne kanalie, patrzcie, jak będą błagać i skomleć o litość. A potem zrobią wszystko, co im każę, i będą pokornie prosić o dalsze polecenia. Tylko patrzcie i uczcie się! Klucz!

Wirth, patrząc na mętną kałużę wody z flakonu na podłodze, podał Mockowi klucz. Ten zdjął palto i melonik, rzucił je Zupitzy podszedł do pokoju numer 28 i włożył klucz do dziurki, jak mógł najciszej. Potem już nie był cicho. Gwałtownie przekreślił klucz, kopnął w drzwi i wpadł do środka. Wydał przy tym potężny nieartykułowany ryk, który miał porazić strachem jego ofiary.

Jedno spojrzenie wystarczyło, aby skonstatować, że osiągnął zamierzony cel. Przerazenie rozszerzało oczy kobiety, która skuliła się u wezłowia i naciągała na siebie pierzynę bez poszwy. Chudy mężczyzna został w ten sposób całkowicie obnażony i wykonał ruch, który dobrze świadczył o jego obyczajności. Obiema dłońmi objął bowiem genitalia i ukrył je przed oczami Mocka. Choć ten w najmniejszym stopniu nie był ciekaw ich widoku, to przyjął ten wstydlivy gest ze zrozumieniem, a nawet z radością. Umożliwił on bowiem dalsze działania. Z dzikim okrzykiem - jak Indianin spadający ze skały na przerażonych osadników - wskoczył na łóżko i oboma kolanami przycisnął mężczyznę do materaca. Zanim ten zdołał strząsnąć z siebie dziewięćdziesięciokilogramowy ciężar, miał już przegub dłoni przykuty do

jednego z metalowych prętów wezglowia.

W kobiecie w tym czasie nastąpiła zmiana. Z łękliwej owieczki zamieniła się w harpię. Rozcapierzyła palce i skierowała je ku twarzy Mocka. Nie udało mu się uniknąć dwóch jej paznokci, które wydarły kawałek naskórka w kącie oka i za uchem. Zeskoczył z łóżka i ocenił sytuację. Chudy mężczyzna, przykuty kajdankami, szarpał się u wezglowia, wprawiając w ruch całe łóżko, kobieta zaś - nie przejmując się własną nagością - syczała jak żmija i powoli ruszyła na kolanach w stronę Mocka. Ten poczuł strumyk krwi, który wpływał mu za kołnierz.

- Krew pobrudziła mi kołnierz? - zapytał Wirtha.

- Tak... - odparł zapytany.

- Pobrudziłaś mi kołnierz, kurwo! - Szczęki Mocka zacisnęły się mocno. - Tak? Tak właśnie zrobiłaś? Wiesz, kurwo, co to znaczy pobrudzić mi kołnierz albo powalać błotem moje buty? To znaczy rozzłościć mnie. Bardzo rozzłościć...

Kobieta została nazwana przez Mocka dosadnie, ale chyba nietrafnie. Jak na prostytutkę, była za stara i za brzydka. Miała suche, obwisłe piersi, a zarost podbrzusza rozprzestrzenił się aż na pachwiny i uda. Pod jej skórą nierównomiernie, jak ziarna piasku, rozkładały się grudki tłuszczu. Obrzydzenie, które Mock poczuł na jej widok, i wściekłość z powodu pobrudzonego sztywnego kołnierzyka nie uśpiły jednak instynktu obronnego, którym się musiał natychmiast wykazać. Kobieta bowiem postanowiła działać inaczej. Nie atakowała już Mocka pazurami. Były jej potrzebne, aby przepędzić napastnika z łóżka. Kiedy już dopięła swego i Mock zeskoczył z posłania, skupiając się na

swoim pobrudzonym kołnierzyku, sięgnęła pod prześcieradło i wyjęła mały rewolwer. Nacisnęła spust, kiedy chwycił ją za przedramię. Poczul, że zapiekła go skóra na łokciu. Szarpnął jej rękę z taką siłą, że poczul jakiś chrzęst. Zaparł się nogą o krawędź łóżka i wykonał półobrót - jak starożytny dyskobol. Ciało kobiety uderzyło o metalowe szczeble tak mocno, że łóżko się zawaliło. Zapadła cisza. Mock spozjrzał na mebel, który przypominał mu teraz jakieś zwierzę o podciętych przednich łapach, potem na leżącą bez ruchu kobietę, a na koniec na przetrzelony rękaw swojej marynarki, którą szył u Leo Nathana z najlepszych bielskich materiałów. Klnąc, podszedł do nieprzytomnej kobiety i pociągnął ją w stronę wezglowia.

- Leż i nie ruszaj się - powiedział do mężczyzny.

Wirth i Zupitza stali w drzwiach i patrzyli, jak Mock otwiera kajdanki, a następnie przeciąga je przez szczebelki i zaciska na przegubie kobiety. Kochankowie leżeli teraz skuci jedną parą kajdanek. Mock oglądał rozerwany rękaw i ciężko sapał.

- Patrzcie dalej - powiedział wolno, sapiąc w przerwach między wyrazami - zaraz będzie jadł mi z ręki.

Wirth i Zupitza usiedli i zapalili papierosy. Zaniepokojony portier, odwieczny policyjny informator, przybiegł z dołu, spojrzął na rozgardiasz w pokoju, a potem na spoconego Mocka. Ten kiwnął mu uspokajająco głową. Portier wyszedł, a Mock zamknął drzwi i podszedł do mężczyzny, który teraz tylko jedną dłońią zakrywał swoje genitalia.

- Przedstawiam wam, moi drodzy - rzekł donośnie do Wirtha i Zupitzy - pana doktora Theodora Goldmanna, radcę sanitarnego w więzieniu śledczym przy Freiburger Strasse. Lat trzydzieści, żonaty.

Damy, która mu towarzyszy, nie znam. Ale jej wiek mogę określić na plus minus lat pięćdziesiąt. Czytał pan Lukrecjusza, doktorze? - zwrócił się nieoczekiwanie do skutego mężczyzny.

- Nie czytałem - powiedział Goldmann ostrym i stanowczym głosem, jakby użycie jego tytułu przez Mocka dodało mu pewności siebie - a teraz proszę albo mnie rozkuć, albo dać mi coś do okrycia. A nade wszystko gadaj pan, o co tu chodzi i kim pan jest! I skąd pan mnie w ogóle zna?

- Wstyd - uśmiechnął się Mock, usiadł na brzegu łóżka i otworzył papierosnicę - jaki wstyd! Człowiek z wyższym wykształceniem nie zna jednego z najważniejszych filozofów rzymskich... Doprawdy wstyd...

- Nie czytaliśmy go w gimnazjum, a zresztą nie mam zamiaru się usprawiedliwiać. - Goldmann odmówił przyjęcia papierosa i patrząc na Mocka z wyższością, wrzasnął: - No rozkuj mnie, chamie, ale już!

- Patrzcie no, nie zna Lukrecjusza. - Mock pokręcił głową z niedowierzaniem. - A gdyby znał, oszczędziłby mi sporo czasu, co nie, chłopaki?

Wirth i Zupitza, nazwani „chłopakami”, patrzyli na Mocka z otwartymi ustami, kiedy krążył w ciasnocie pokoju jak dzikie zwierzę - pomiędzy łóżkiem, krzesłami i oknem. Przybierał przy tym pozę profesorską, modulował głos i wznosił ku górze oczy i wskazujący palec.

- U Lukrecjusza, na samym początku jego poematu *De rerum natura* - Mock wpadł w stan bliski zachwytowi - jest scena miłosna pomiędzy Marsem a Wenerą. Poeta pisze, że bóg wojny odchyła swój tęgi, kształtny kark, a jego oddech zawisa u ust bogini. Piękne, nieprawdaż?

Wirth i Zupitza przytaknęli, choć nie bardzo rozumieli frazę „oddech zawisa u ust”. Niewysoki przemytnik skupił całą uwagę na małym browningu M 1910, z którego skuta kobieta usiłowała postrzelić Mocka, a jego niemy towarzysz - na ruchach, jakie wykonywała.

- Lukrecjusz nie opisuje dalej całej historii - ciągnął Mock, dotykając ręki kobiety i stwierdzając z zadowoleniem, że kończyła nie została złamana. - A dalej było tak. Tę historię znamy z Homera, a zatem będę używał greckich imion bóstw. Kiedy Ares i Afrodyta, wspomniani kochankowie, leżeli w uścisku, zjawił się nagle mąż Afrodyty Hefajstos i zarzucił na nich sieć, którą już wcześniej przygotował. Potem wezwał wszystkich bogów z Olimpu, aby unaocznić zdradę, jakiej dopuściła się jego żona. Posłuchajcie uważnie.

Teraz cały mit uwspółcześnię...

Mock patrzył na nagą parę. Kobieta usiłowała zakryć twarz włosami. Były przetłuszczone i niestarannie pofarbowane. Spod czerni wychodziły siwe odrosty. Mężczyzna zaczął dygotać.

- Patrzcie - Mock znów zwrócił się do swoich kompanów - on się już boi. A czego się boi? Właśnie mitu. Bo mit jest wiecznie żywy. On jest Aresem, naga starsza dama - Afrodytą, a ja - Hefajstosem. Pojawia się jedynie pytanie: a komu ja, jako kulawy bóg kowal, pokażę złapanych w sieć kochanków? No komu, doktorze? Komu unaocznę pańską hańbę? Może pańskiej żonie? Jest tu w pobliżu...

Mock podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Bardzo wąska Antonienstrasse była obwieszona szyldami różnych instytucji i lokali. W końcu ulicy, na tle monumentalnego gmachu Biblioteki Miejskiej,

rysował się ciemny kształt dorożki i jakiejś masywnej postaci. Mock wsadził do ust kciuk i palec wskazujący skrzyżowany w pierścieni i głośno gwizdnął - jak podwórkowy łobuz. Masywna postać uniosła rękę. Pojedynczy błysk latarki. Mock ciepło pomyślał o Kurcie Smolorzu i odwrócił się do doktora, a dygot i szczęknięcie zębami można było teraz usprawiedliwić zimnym, przegniłym od deszczu powietrzem, wpadającym do pokoju.

- Mój człowiek siedzi czterdzieści metrów stąd, w dorożce - uśmiechnął się Mock. - Nie jest sam. On bardzo lubi damskie towarzystwo. Jest z nim pańska żona. Wystarczy, że dam mu znak, a będziemy tutaj mieli odwiedziny.

Goldmann zaczął łkać. Szloch targnął nim jak atak epilepsji. Zwijął się na łóżku i rzucił. Już nie starał się ukryć swojego pomarszczonego *membrum virile*. Kobieta spojrzała na niego z pogardą, a potem zwróciła się do Mocka słodkim głosem:

- Lubię prawdziwych mężczyzn jak pan, a nie takie flaki jak ten - wskazała głową swojego kochanka. - Pańscy koledzy też wyglądają mi na chłopów na schwał. Może nam być bardzo przyjemnie. Wszystkim. Niech pan tylko nie kompromituje tego słabeusza. Jego żona to niezła jędza. Zadręczy nieboraka. A ja sporo widziałam w swoim życiu i naprawdę sporo umiem...

- Nie jest pani w moim typie, moja droga. - Mock spojrzał na ludzi mieszkających naprzeciwko, których strzał z pistoletu przywabił do okna. Zapomnieli na chwilę o szkolnych problemach. Nawet pies wspinał się łapami na parapet. - On jest w moim typie - wskazał głową na jej kochanka. - Tak, tak, doktorze, tylko pan sam może sobie pomóc...

- W jaki sposób? - zapytała kobieta.
- A on nie umie mówić? - Mock odpowiedział pytaniem na pytanie.
- On zrobi to, co ja mu każę - kobieta bezwstydnie wpatrywała się w Mocka.
- To prawda, doktorze Goldmann? - Policjant unikał jej spojrzenia, lepkiego jak zawartość kloaki.
- Błagam, niech mnie pan wypuści, żeby żona tego nie widziała - załkał radca sanitarny. - Wszystko zrobię dla pana...
- Widzicie - Mock zwrócił się do Wirtha i Zupitzy, którzy najwyraźniej mieli dość tego gadania i chętnie by przystąpili do użycia swoich metod. - On już jest mój, już jest miękki... Odwszawienie, mój drogi doktorze. To jest klucz do wyjścia z tej smutnej, kompromitującej sytuacji. Odwszawienie. Dwaj więźniowie nazwiskiem Schmidtke i Dziallas. Odkryje pan u nich wszy, które mogą przenosić tyfus. Wezwie ich pan do siebie. Usiądą u pana w gabinecie, skuci kajdankami, a pan na chwilę wyjdzie. Wtedy ja wejdę do gabinetu. Wyjdę po dwóch kwadransach. To wszystko, czego chcę od pana.
- I co będzie pan robił z nimi przez te dwa kwadransy?
- Porozmawiam, i to wszystko.
- Nie wierz mu! - zasyczała kobieta do kochanka. - Widzisz, że to jakiś bandyta... To mogą być jakieś gangsterskie porachunki... A ty stracisz stanowisko, a może nawet trafisz do więzienia...
- Nic z tego - zaszlochał mężczyzna - wszystko, tylko nie to!
- Lekcji imadła ciąg dalszy - powiedział Mock do swoich ludzi. - Poczekajcie na mnie, zaraz wrócę.

Wyszedł z pokoju i zbiegł po schodach. W „Warszawskim Dworze” było zupełnie pusto. Potajemni kochankowie nie lubią strzałów z pistoletu. Na ulicy było ciemno i wilgotno. Spojrzał ku górze, skąd spadały krople rozsypujące się w świetle gazowej latarni. Dobięły go tubalne okrzyki. Widocznie człowiek w kamizelce postanowił nadal udzielać lekcji swojemu synowi. Mock wyjął latarkę i dał znak Smolorzowi. Ten prędko zbliżył się i zanurzył w cień ulicy.

- Już dłużej nie da rady - rzekł Smolorz - cholernie zimno. Matka i córka wrzeszczą. Wściekłość. To co? Kiedy? Do domu czy do hotelu?

- Przeprowadź je obie pod okno „Warszawskiego Dworu”. Krzyknij głośno na małą, żeby się uspokoiła. Niech jej matka zdenerwuje się na ciebie, niech wrzeszczy, niech mówi coś głośno! Tak, żeby było słychać na górze. Zrobisz to, Kurt?

- Tak jest - mruknął Smolorz i ruszył w stronę dorożki.

Mock wrócił do hotelu. Wbiegł na górę, wpadł do pokoju i zostawił otwarte drzwi. W numerze śmierdziało potem i było ciemno od dymu z papierosów. Zapach taniego burdelu, taniego, podłego chędożenia.

- A teraz uważajcie - powiedział Mock, obserwując reakcję skutych kochanków na swoje słowa. – Teraz nastąpi zmiana tonu, zmiana wizerunku. Już nie będę uprzejmym akademikiem, który mówi o Homerze, lecz stanę się brutalem. Za chwilę będzie mi jadł z ręki.

Mock podszedł do doktora Goldmanna i obniżył głos.

- Jak długo jeszcze, konowale, będziesz słuchał tej starej szmaty? Odswawienie, albo twoja żona będzie tutaj za chwilę!



- Tylko nie to, błagam! Wszystko, tylko nie to - doktorem Goldmannem szarpały spazmy rozpaczy, jego głos wzniósł się niczym zaśpiew kantora.

Mock podszedł do okna i otworzył je na oścież.

- Pod oknem jest twoja żona i córka, rozumiesz? To co, robimy odswszawienie?

- Nie!!! - wrzasnął doktor. - Nie mogę!!!

Mock wystawił głowę za okno i łapał rozpryski deszczu. Potem schował się z powrotem do pokoju, wyjął z kieszeni kościany grzebyk i przycesał gęste, wilgotne fale włosów. Wtedy to usłyszał. Szybkie kroki na schodach. Wtedy to zobaczył. Dziesięcioletnia dziewczynka w berecie i w jasnym lamowanym płaszczku. Zupitza zakręcił rękami jak skrzydłami wiatraka, lecz dziewczynka jednym skokiem minęła niezgrabnego kloca i znalazła się w pokoju.

- Tatusiu, usłyszałam twój głos - krzyknęła dziewczynka - już mam dość stania na zimnie z tym panem. Co robisz, tatusiu?!

Mock rzucił na łóżko pierzynę tak, że zakryła oba nagie ciała. Nie zakryła zaś twarzy. Mężczyźni w pokoju znieruchomieli. Kobieta na łóżku poruszyła szybko głowę, a jej przethuszczone włosy spadły, zasłaniając twarz.

- Tatusiu - zawołała dziewczynka - czemu jesteś goły? Czemu babcia jest goła?

Doktor Goldmann cicho płakał, kobieta rzucała głową na prawo i lewo, uderzając skrońmi o szczeble wezgłowia, a Wirth i Zupitza wpatrywali się tępo w Smolorza i dziewczynkę, będącą młodszą kopią tej, która usiłowała teraz schować głowę pod pierzynę bez poszwy.

- To się nazywa jedzenie z ręki? - zapytał Wirth, dał znak Zupitzy i obaj opuścili pokój.

Mock uwolnił teściową oraz zięcia i również wyszedł, prowadząc bezwonną i osłupiałą dziewczynkę. Nie chciał swoją obecnością burzyć rodzinnej atmosfery.

Breslau, czwartek 25 października 1923 roku,  
dziesiąta wieczór

Obok „Warszawskiego Dworu” było wiele knajp. O jednej z nich Mock nie miał najmniejszego pojęcia, a jednak do niej trafił. Kierowany niezawodnym instynktem poszukiwacza ukojenia, nie pożegnawszy się nawet ze swoimi ludźmi, nacisnął pierwszą lepszą klamkę jakiejś bramy i - zamiast na klatce schodowej - znalazł się w niskim, ciemnym królestwie prostych zachowań i nieskomplikowanych rozmów, gdzie kac nie istnieje. Szarpiąc się z grubą kotarą, która miała nie dopuszczać zimnej i wilgotnej jesieni do ciasnego wnętrza, dławiącego gęstym dymem, doskonale wiedział, że za chwilę zapomni o szantażu w śmierdzącym hoteliku i o pogardliwych spojrzeniach Wirtha i Zupitzy. Po kilku głębokich łykach zapomni o upodleniu radcy sanitarnego, doktora Goldmanna, i o narażeniu jego córki na widok chudych pośladek ojca i rozpaczliwych prób, jakie podejmowała jej babcia, by ukryć się za rzadkimi, śliskimi od tłuszczu włosami. Za chwilę napije się wody z rzeki zapomnienia, którą rozlano do ciemnozielonych zakorkowanych butelek z wytłoczonymi nazwami różnych gorzelnii, znanych bardzo dobrze samotnym alkoholowym wędrowcom.

Takim właśnie słowem Mock określił samego siebie, kiedy usiadł przy jedynym wolnym stoliku w korytarzyku prowadzącym na podwórze, gdzie znajdował się pisuar i ustęp. Zamówił u uśmiechniętego kelnera dwie butelki piwa od Haasego i cztery kieliszki wódki czystej, która - jak podsumował usłużny ober - nigdy nie plami honoru ani munduru. Kieliszki ustawił przed sobą w równym rzędzie, odpiął zegarek od kamizelki i położył go na stole. Z czasomierzem przed oczyma chciał udać się w szybką podróż do kraju spirytusowych uniesień. Co kwadrans wypijał kieliszek i zapalał papierosa. W przerwach popijał piwo małymi łykami i przypatrywał się innym gościom lokalu. Z ich oczu i gestów biła tłumiona niechęć. Były - jak sądził - dwa powody tego stanu rzeczy. Albo stali goście nie lubili nikogo obcego w swej knajpie, która - pozbawiona szyldu - była sama w sobie dość tajemniczym lokalem, przeznaczonym chyba dla wybrańców, albo obecne na sali prostytutki już przekazały wszystkim informację, jaki zawód uprawia ten ponury, masywnie zbudowany elegant w marynarce z porwanym rękawem. Mock najpierw pragnął samotności, ale po wypiciu w ciągu dwóch kwadransów setki wódki i jednego piwa naszła go chęć porozmawiania z kimkolwiek. Nie chciał się nikomu zwierzać. Chciał pogawędzić o wybuchu komunistycznego powstania w Hamburgu lub o powołaniu republiki reńskiej w Akwizgranie, bo po prostu znudziło mu się towarzystwo wiklinowego parawanu, który stał koło jego stolika, przesłaniając wyjście na podwórze, skąd zimne powietrze wlatywało mu pod spodnie. Rozejrzał się po korytarzyku i po tej części sali, którą widział. Lamy elektryczne jarzyły się bardzo słabo, nie oświetlając wystarczająco baru.

Nie miały zresztą czego oświetlać. Na pustej półce za ladą widniały tylko trzy zwiędłe róże w blaszanym pudełku po czekoladkach „Frankonia”. Najwidoczniej informacji o trunkach i jadłe udzielał personel, składający się z kelnera i barmana, którego tępą mordę i porośnięty gęstą szczeciną łeb Mock skądś znał. Ci dwaj nie stanowili towarzystwa, za jakim tęsknił. Spojrzał na najbliższych sąsiadów i zaczął przysłuchiwać się ich rozmowie. Dwaj mężczyźni w średnim wieku przesunęli meloniki na potylice i wypijali liczne kufle piwa, czym zyskali na moment sympatię Mocka. Zarazem jednak przedmiot ich rozmów zrobił na nim wrażenie wręcz przeciwne. Najpierw bowiem wymieniali uwagi o omnibusach w Breslau, a potem o jakości cementu ze znanej fabryki Gogolin-Gorasdze. Ani wywody jednego z nich, który opowiadał, jak to trudno zapanować nad firmą, w której pracuje ponad dwieście koni, sześćdziesięciu dwóch konduktorów i stu dwóch stangretów, ani zachwyty drugiego nad sypkością śląskiego cementu nie wydały się Mockowi interesujące. Toteż siedział w milczeniu i - bacznie obserwując ruchy wskazówek zegarka - spożywał regularnie - co do sekundy! - wódkę i piwo oraz dostarczał swemu organizmowi kolejnych dawek nikotyny. Jego myśli już nie były przyjazne wobec świata. Koncentrowały się teraz wokół problemu niewykorzystanych szans i jego konsekwencji.

Kiedy minęły trzy kwadransy i szkło stojące przed nim było puste, wstał, schował zegarek do kamizelki i lekko się kołysząc, podszedł do baru. Zamówił kolejne cztery kieliszki wódki czystej i kolejne dwie butelki piwa. Dowiedziawszy się, że jedynym daniem jest w tym lokalu sznycel cielecy na zimno, zamówił ten specjał, żądając, aby koniecznie

posadzono mu nań jajko. Potem wziął klucz do ustępu i udał się w stronę wiklinowego parawanu. Minał go i znalazł się na małym podwórku, na które wychodziły opryskane deszczem i błotem witryny kilku warsztatów rzemieślniczych. Kierując się węchem i przeskakując pamiątkę pozostawioną przez jakiegoś konia, bezbłędnie trafił do ustępu. Otworzył drzwi i poczuł ciężar na swojej szyi. Ciężar był tak wielki, że Mock opadł na kolana. Gdyby nie przeszkody anatomiczne, jego grdyka zostałaby prawie wepchnięta w gardło. Zaczął się krztusić. W ustach poczuł kwas wymiotów. Melonik gdzieś się potoczył. Zdał sobie sprawę, że ktoś wisi mu na karku. A potem oślepiający ból. Wydawało mu się, że słyszy trzask pękającej czaszki. Ostatnie doznanie, jakie pojawiło się w jego umyśle, to była silna irytacja z powodu zabrudzeń na meloniku i podejrzenie, że potoczył się on albo w głąb ustępu, albo w owsiany koński kał na podwórku.

Dziesięć kilometrów na południe od Breslau,  
piątek 26 października 1923 roku, druga w nocy

Pojazd sunął szybko po jakichś wyboistych drogach. Z jego gwałtownych przechyłów wywnioskował, że najprawdopodobniej znajduje się w trójkołowym automobilu. Takich dostawczych trójkołowców nie brakowało na ulicach Breslau. Kiedyś nawet sam kierował jednym z nich. Nie był jednak stuprocentowo pewien, czy dobrze rozpoznał maszynę, ponieważ kilka minut wcześniej, zanim się w niej znalazł, stracił wzrokowy kontakt ze światem z powodu szorstkiego filcowego

kaptura bez otworów na oczy, jaki spoczywał na jego głowie. Ten ślepy kaptur leżał dziś na ławce w Ostpark o umówionej godzinie jedenastej wieczór, a dołączono do niego dwa polecenia. Oba natychmiast wykonał. Włożył kaptur, powstrzymał się od palenia i cierpliwie czekał. Po długiej chwili ktoś do niego podszedł, ujął pod ramię i bez słowa dokądś poprowadził. Najpierw pod podeszwami butów czuł ziarenka żwiru, a po kilku chwilach - gładkie kamienie jezdni. Ktoś pomógł mu wejść do szoferki. Trzasnęła blacha drzwi. Kierowca poprosił o zdjęjowanie kaptura i ruszył.

Nagle zatrzymali się. Głęboko westchnął. Jechali już długo, a pojazd się kołysał i podskakiwał. Kilkakrotnie zwalniali, a raz nawet się zatrzymali. Nie oczekiwał zatem, że ten najbliższy postój będzie ostatni. Tak jednak było. Silnik zgasł, szofer wysiadł i otworzył drzwi. Wtedy poczuł zapach wilgotnego leśnego powietrza. Ktoś wziął go pod łokieć. Ruszyli. Buty zazgrzytały na żwirze, potem poślizgały się na kamieniach, a w końcu zastukały na deskach podłogi. W nozdrza wciągnął zapach lasu, a potem woń świec. Najpierw było zimno, teraz ogarniało go przyjemne ciepło.

- Zdejmij kaptur - powiedział tubalny głos.

Uczył to, co mu polecono. W pierwszej chwili pomyślał, że to *deja vu*. Ludzie w ptasich maskach pochylali się ku sobie i wykonywali różne gesty. Teraz zrozumiał, że nie są to żadne taneczne ewolucje, lecz raczej rodzaj języka migowego. Świece stały na podłodze i pod ścianami, które były wybite ciemnozielonym materiałem. Kontury postaci były wielokrotnione i rozszerzały się ku górze.

- Prawie dwa tygodnie temu przeszedłeś pierwszą próbę - huczał głos - z zimną krwią wytrzymałeś widok człowieka-śmiecia, któremu

poderznąłem gardło. Kiedy odwożono cię z powrotem na cmentarz w Strehlen, rozmawialiśmy o tobie. Twoja obecność w tym miejscu, dzisiaj, jest dowodem, że pomyślnie przeszedłeś przez pierwszy krąg piekła.

Zapadła cisza, a potem zgromadzeni wybuchnęli śmiechem. Okrągłe okulary błyskały rozbawieniem, a ptasie dzioby uderzały o siebie. On również się uśmiechnął.

- Przed tobą kolejna próba - w głosie prowadzącego pobrzmiwały jeszcze nuty śmiechu. - Chcesz do nas przystąpić, tak?

- Tak.

- Wiesz, jaki jest warunek przystąpienia do bractwa mizantropów?

- Wiem. Należy zabić jakiegoś wyrzutka społeczeństwa, kogoś, po kim nikt nie zapłaci. Jak to pan powiedział, „człowieka-śmiecia”...

- Kogo zabiłeś? - zadudnił głos.

- Dwie występne kobiety i ich alfonsa. Dziwki zżarte przez syfilis i rozpustnego pederastę - odpowiedział wolno.

- Przedstaw nam dowód, że to zrobiłeś!

Sięgnął do kieszeni marynarki. Pod opuszkami palców wyczuł małą pergaminową torebeczkę. Wyjął ją i otworzył.

- Przepraszam - rzekł - to są cukierki miętowe, a to, co chcę wam pokazać, mam w innej tytce.

Z drugiej kieszeni wyjął identyczny zwoik, otworzył go, a zawartość wysypał na dłoń. Wyprostował palce. Na naciągniętej skórze dłoni leżały trzy płaskie zęby i jeden większy okruch kości.

- Jesteś dentystą? - zapytał mizantrop.

- Ułamałem zęby tym ladacznicom - rzekł po chwili milczenia. - Oto dowód.

- To nie jest dowód. Niczego nam nie udowodniłeś. Dowód to rozwiązanie równania matematycznego. Lewa strona równa się prawej. Musisz zestawzić obie strony. Ty jedynie pokazałeś nam lewą. A gdzie jest prawa?

- Od pół roku obie gniją pod ziemią - odpowiedział, choć nie miał pewności, czy dobrze zrozumiał ten matematyczny wywód. - Czyż mogę wobec tego zestawzić obie strony?

- Możesz!

- Jak?

- Pojedziemy na cmentarz, gdzie je pochowano. Odkopimy trumny. Wtedy ty zdejmiesz wieka, otworzysz im usta i pokażesz nam, czy ułamane zęby pasują do tego, co zostało w szczęce. A potem krzykniesz: *Quod erat demonstrandum!* Wyjdiesz z dołu i oddasz nam te zęby. A później będą one u nas przechowywane. Każdy z nas oddał bractwu takie pamiątki, które jednocześnie stanowią dowód. Tylko ja wiem, gdzie one są. I to jest nasz strach, to jest nasze spoiwo!

- Nie mogę tego uczynić! Nie potrafię! Zemdleję! Na wojnie nie mogłem znieść trupiej woni. Pokażę wam, w którym miejscu wrzuciłem do Odry alfonsa. Oplacę nurka...

- Milcz, neofito! - mimo dudnienia potężnego głosu można było w tym napomnieniu usłyszeć nuty wesołości. - I uważnie słuchaj!

Mizantrop kiwnął ptasią głową jednemu z zebranych. Ktoś wznosił świecę, ktoś w jej świetle zaczął przemawiać piskliwym, świdrującym głosem. Głos był jednostajny i pełen wysokich modulacyj, jakby na



świętym zgromadzeniu odczytywano świętą księgę. Jednak wiele nieartykułowanych przerywników świadczyło bardzo wyraźnie, że nikt niczego nie czytał, lecz odtwarzał tekst z pamięci.

- Na trzy sposoby można znaleźć się w naszym bractwie. Oto pierwszy. Zabić jakiegoś nędznika, zabrać coś - nazwijmy to *pars pro toto* - z jego ciała, a potem go ekshumować i udowodnić, że *pars pro toto* pochodzi właśnie od tego zmarłego. Ta metoda nazywa się *Quod erat demonstrandum*. Drugi sposób to również morderstwo jakiejś nędznej kreatury, ale morderstwo jawne i jednocześnie bezkarne. Wszyscy wiedzą, kto zabił, ale sprawca cieszy się wolnością. W naszej krótkiej historii był tylko jeden taki wypadek. Zarządca majątku ziemskiego z Bawarii własnymi rękami zamordował parobka, który zgwałcił jego żonę w stajni. Udzielał wywiadów w gazetach i wszędzie mówił: „To ja zabiłem i jeszcze raz bym to uczynił”. Sąd go uniewinnił, a następnego dnia po rozprawie zjawiliśmy się u niego z petycją, aby był z nami. Najpierw odmówił, no to zostawiliśmy mu w prezencie książkę Mayrhofera. Po miesiącu znów go odwiedziliśmy i wtedy nie odmówił. Gdyby ten człowiek był bardziej wykształcony, zostałby naszym przywódcą. Ktoś, kto oznajmia całemu światu: „Zabiłem i nic nikt mi nie zrobił”, jest godzien być naszym przywódcą. Ta metoda nazywa się *Impune interfecit*. Jest jeszcze trzecia droga do nas. Zmusić kogoś do samobójstwa. Nazywa się to *Coactus mana se ipsa interfecit*.

- Masz zatem trzy wyjścia - powiedział huczący głos do zdezorientowanego kandydata. - *Quod erat demonstrandum* albo *Impune interfecit*, albo *Coactus manu se ipsa interfecit*. Co wybierasz? Udowodnienie, bezkarne zabójstwo czy zmuszenie do samobójstwa?

Breslau, sobota 27 października 1923 roku,  
czwarta nad ranem

Na małym cmentarzu przy An der Gucke wiatr targał koronami drzew i sypał suchymi liśćmi na ludzi stojących wokół rozkopanego grobu. Nie czyniło im to większej szkody, ponieważ wszyscy mieli na twarzy ptasie maski. Z ramion spływały im długie do ziemi, czarne ceratowe peleryny, po których stukał żwir porywany przez wicher. W rękach postaci kołysały się lampy naftowe, które były jedynymi jasnymi punktami w ciężkiej ciemności cmentarza, jeśli nie liczyć kilku dogasających lampek na grobach.

Ludzie w maskach podskakiwali i tupali, aby odpędzić dotkliwie zimno, potęgowane przez wiatr. Nie przeszkadzało ono spoconemu człowiekowi, który kolejnymi pociągnięciami łopaty wyrzucał z dołu kupy wilgotnego piasku. Kiedy łopata zastukała o drewniane wieko trumny, kopiący przerwał pracę, zapalił papierosa i oparł się o stylisko. Jeden z zamaskowanych ludzi podał mu młotek ciesielski. Mężczyzna w dole spokojnie wypalił papierosa, potem wysoko odrzucił niedopałek i sięgnął po narzędzie. Jego wąska, rozdwojona końcówka weszła pod wieko trumny i natychmiast posłużyła jako dźwignia. Rozległ się cichy zgrzyt i z krawędzi trumny wyszły długie gwoździe. Wieko zostało przesunięte na bok i oczom zebranych ukazała się napuchnięta, zielonosina twarz z fioletowymi plamami opadowymi na uszach. Mężczyzna w dole włożył rękawiczki i jeszcze raz użył młotka -

tym razem, aby rozsunąć usta i zęby trupa. Potem podciągnął górną wargę i odsłonił pokryte brunatnymi plamami dziąsło. Stojący nad grobem prawie zawiesili lampy nad ciałem. Dały one tyle światła, iż wszyscy wyraźnie ujrzeni dwa ułamane trupie zęby - jedynki.

- To za mało! - zadudnił głos jednego z zamaskowanych. - Pokaż, czy zęby pasują!

Ekshumator zdjął ręce z głowy zmarłej, wytarł je o szmatę i sięgnął do kieszeni, skąd po sekundzie wyjął chustkę do nosa, wypełnioną zębami. Położył ją na odsuniętym wieku trumny i pochylił się nad ułamanymi kawałkami kości. Wtedy zadudnił piach na trumnie. Człowiek w dole podniósł głowę ku górze i otworzył usta z przerażenia. Wilgotna zbity bryła uderzyła go w głowę. Chciał coś krzyknąć, ale ziemia dostała mu się do gardła. Wstrząsnął nim dreszcz, kiedy wzdłuż kręgosłupa, pod koszulą, posypały się mokre ziarenka. W słabym blasku lamp naftowych widział, jak nad jego głową szaleje piaskowy tajfun. Nagle wszystko się uspokoiło i znów wisiało nad nim ciche, rozgwieżdżone niebo.

- Pogrzebiemy cię żywcem - szeptał mężczyzny w masce zdradzał jego potężne możliwości głosowe. - Wiemy, że jesteś policyjnym agentem. Udawałeś protokolanta sądowego. Ale my nie damy się oszukać. Wśród nas jest ktoś, kto zajmuje wysokie, ale to bardzo wysokie stanowisko w wymiarze sprawiedliwości. Przejrzał dokładnie twoje akta. Masz teraz ostatnią szansę się przyznać. Jeśli tego nie uczynisz, zostaniesz zasypany żywcem bez żadnej litości. Po kilku godzinach ścierwojady i robaki porzucą rozłożone ciało tej kurwy i

zaczną się wgryzać w twoje świeże mięso. A ty nie będziesz mógł się ruszyć. Resztkę tlenu wciągniesz do płuc wraz z ziemią. Jeśli się przyznasz, unikniesz tego.

I znów rozpętała się nad nim burza wilgotnego piasku. Rzucił się ku górze i zaczął się wydrapywać na powierzchnię. Wskoczył na trumnę i odbił się od niej. Wtedy poczuł, że coś rozsadza mu oczodół. Nie zobaczył, co to było, ponieważ jego oczy zostały zalane krwią i zasypane piaskiem. Dojrzał jedynie zamglone szklane otwory na oczy, ostre dzioby masek i ręce wystające spod ceratowych peleryn. Ręce te machały łopatami, które były ostre i błyszcząły na końcach jak noże.

- Przyznajesz się - zahuczał głos nad nim, przekrzykując szczęk łopat - to zostajesz ułaskawiony. Nie przyznajesz się, będziesz zasypany żywcem.

- Tak! - wrzasnął z dołu i otarł z krwi policzek. - Jestem policyjnym agentem. Proszę o miłosierdzie!

Zapadła cisza. Mężczyźni wbili łopaty w ziemię i oparli się na nich. Przez szklane otwory, na których skropił się ich pot, patrzyli na człowieka w dole.

- Jeszcze nigdy policja nie była tak blisko nas - usłyszał policyjny agent - i już nigdy nie będzie. A oto twoje ułaskawienie.

O deski trumny coś zastukało. Człowiek w dole schylił się i podniósł blaszane pudełko. Znał je doskonale. Pastyłki odświeżające Neumanna. Nad sobą usłyszał szum. Zadźwięczały łopaty i dół zaczął się wypełniać ziemią. Człowiek odbił się znowu od trumny i wbił palce w gliniasty pagórek usypany obok otwartego grobu. Wtedy poczuł, jak naostrzony metal zgrzyta o jego kości dłoni. Wpadł do dołu, a z jego przetrąconych palców trysnęła krew. Mały palec zwiślał na nitce

skóry, inne były wyraźnie przepełnione i jakby przesunięte.

- Błagam zmiłowania! - krzyknął.

Sypiące się z góry kupy piachu czyniły gęsty szum. Nie był on jednak na tyle duży, żeby mu umknęły ostatnie słowa, jakie usłyszał na tym świecie.

- Tam są kapsułki cyjankali. Żeby ci było przyjemnie umierać, zmieszaliśmy je z twoimi ulubionymi pastylkami miętowymi. Chyba najbardziej lubisz te od Neumanna, prawda? Takie ci kupiliśmy. Docień naszą szlachetność! Oto twoja mizerykordia!

Breslau, sobota 27 października 1923 roku,  
południe

Mock doznał po przebudzeniu trzech gwałtownych uczuć - wszystkie bez wyjątku były przykre. Jego nagim ciałem, przykrytym czymś szorstkim, targnął spazm zimna, jego nozdrza wykrzywiły się od mocnego smrodu wymiocin i moczu, a jego oczy zostały porażone przez oślepiający elektryczny blask. Do pełni szczęścia brakowało mu jedynie cygańskiego akordeonisty wygrywającego czardasze. Podniósł się z twardego posłania i otworzył szeroko oczy. Po pierwszej chwili świetlnego porażenia wszystko zobaczył we właściwych kolorach i proporcjach. Prycza, na której siedział, przykryta była szarym, szorstkim kocem, wiadro wypełnione wydzielinami nie było dostatecznie szczelnie zamknięte, a nad jego głową potężna żarówka zalewała białym światłem aresztancką celę bez okna. Tak, znajdował się w areszcie, i to - na pierwszy rzut oka - w policyjnym areszcie rewirowym.

Na pryczy naprzeciwko chrapał jakiś człowiek. Jego łysa głowa, wystająca spod koca, pokryta była siniakami i strupami zaschniętej krwi.

Mock przesunął językiem po podniebieniu i ze zdziwieniem stwierdził, że nie jest suche i nie wydziela woni wędzarni, co zwykle mu się zdarzało po przepiciu. Przełknął ślinę, nie było żadnego drapania w gardle. Sprawnie odtworzył ilość wypitego wczoraj alkoholu. Wszystko pamiętał. Dwie setki wódki i dwa piwa. A potem wyjście do toalety na podwórze... i tutaj następowała całkowita ciemność i gęsta niepamięć. Poruszył głową i wtedy poraził go oślepiający ból. Dotknął czaszki i niechcący natrafił palcem na lepką, miękką ranę. Zawył i poczuł, że traci przytomność. Zanim to się jednak stało, przez jego pamięć przeleciało ostre, białe światło przypomnienia. Atak w ustępie, uderzenie w potylicę. Upadając na twardą pryczę, w obronnym geście wykręcił głowę. Dzięki temu z pokrytą drzazgami i zadziorami powierzchnią pryczy zetknęła się jego głowa, lecz policzek. Zobaczył łuny pod zamkniętymi powiekami, lecz nie zapadł w mrok. Po kilku minutach otworzył oczy. Kolega z celi wbijał w niego tępy wzrok. W odróżnieniu od Mocka był skacowany i obolały. Nadwachmistrz mógł o sobie powiedzieć jedynie to drugie.

Trzask otwieranych drzwi. Staął w nich niewysoki, krępy policjant. Minęło wiele lat od momentu, kiedy uszyto mu mundur. Zatknięte na czubku głowy czako też pamiętało lepsze czasy.

- Ty - wskazał palcem na Mocka i podkręcił wąsa. - Na przesłuchanie. No, ruszaj się!

Mock wstał z wielkim trudem i chwycił się ściany. Kiedy minął pierwszy zawrót głowy, owinał się dość szczelnie brudnym, śmierdzącym kocem i wyszedł przed celę. Rewirowy zamknął pomieszczenie i popchnął Mocka przed siebie.

- No, dalej, pijaku - krzyknął - na wprost, do mojego gabinetu!

Popchnięty Mock poleciał do przodu i ledwie zdążył się uchronić przed zderzeniem z drzwiami. Jedną ręką przytrzymał na wysokości piersi brudną szatę, drugą nacisnął klamkę. Znalazł się w znanym otoczeniu, które niemal w każdym komisariacie wyglądało tak samo. Siadając na twardym stołku o regulowanej wysokości, patrzył na ściany z żółtą lamperią, na podłogę szczelnie pokrytą grubym linoleum, na puste biurka, kraty w oknach, blaszany dzbanek z wodą i miednicę na wysokim stojaku. To z takim otoczeniem Mock był oswojony i nawet je lubił. Było czyste, sterylne i nieludzkie.

Targały nim teraz przeróżne uczucia, lecz najważniejszy i najbardziej wyrazisty był gniew. Policjant zdjął czako i ocierał twarz z potu. Mock wiedział, że ten policjant ma prawo nazwać go pijakiem i - zgodnie z taką identyfikacją - może go poszturchiwać oraz traktować z pogardą i podejrzliwie. Patrząc na surowe czerwone oblicze stróża prawa, który wyglądał kartkę i ostrzył ołówek, szybko opracował plan postępowania. Nie zamierzał udowadniać, że wczoraj wcale nie nadużył alkoholu i że pracuje w Prezydium Policji, mimo iż ujawnienie tego faktu ułatwiłoby mu kilka najbliższych godzin. W dalszej perspektywie było jednak nieopłacalne. Musiałby tłumaczyć się przed Ilsheimerem, a nie daj Boże, przed prezydentem Kleibömerem i tym

samym ugruntować ich opinię o sobie jako o nieodpowiedzialnym alkoholiku i awanturniku. To na pewno by mu nie pomogło w przeniesieniu do policji kryminalnej. Poza tym, gdyby wziął „górną C” i obsobaczył zażywnego rewirowego, mógłby go poważnie nastraszyć. A ten - nastraszony i zdeorientowany - mógłby napisać bardzo uładzony raport, czego Mock bynajmniej nie chciał. On chciał dokładnie wiedzieć, co się z nim działo od momentu, kiedy wszedł do ustępu na tyłach ledwie widocznej knajpy na Antonienstrasse, przy tym niczego tak bardzo teraz nie pragnął, jak złapania bandyty, który go wczoraj napadł. O niczym innym teraz nie marzył, tylko o tym, żeby zanurzyć łeb tego bydlaka w kloace. Gniew targał nim dotkliwie. Ale nie był on skierowany przeciwko siedzącemu przed nim człowiekowi.

Ten naostrzył w końcu ołówkę i przyjrzał się protokołowi przesłuchań, na którym wcześniej mozolnie i bardzo dokładnie zapisał swe pytania.

- Nazwisko? - zadał pierwsze z nich.
- Udo Dziallas - powiedział pierwsze, jakie mu przyszło do głowy.
- Zawód?
- Szewc.
- Data i miejsce urodzenia?
- 18 września 1883 roku, Waldenburg.
- Miejsce zamieszkania?
- Breslau, Gartenstrasse 77, mieszkanie 18 - podał adres radcy Scholza.
- Imiona rodziców?
- Hermann i Dorothea.



Kiedy rewirowy wpisał to wszystko w odpowiednie rubryki, otarł czoło, wstał, założył ręce do tyłu i z wypiętym brzuchem zaczął powoli krążyć wokół Mocka.

- Gadaj, co wczoraj robiłeś.

- Wypiłem dwie setki wódki i dwa piwa w jakiejś knajpie na Antonienstrasse. Wyszedłem do ustępu w podwórku i tam zostałem zaatakowany. Straciłem przytomność.

- Ty penerze! - wrzasnął rewirowy i wziął zamach. - Chcesz mi wmówić, że nic nie pamiętasz, żeby uniknąć odpowiedzialności za napad, tak?! Już ja cię oduczę kłamać! Nazwisko?!

- Uwe Dziallas.

Policjant powstrzymał uderzenie i okrążył biurko. Spojrzał do protokołu i aż podskoczył.

- Widzisz, ty obesrańcu?! - wrzasnął. - Już cię złapałem na kłamstwie! Przedtem mówiłeś „Udo”! I myślisz, że jestem taki głupi i nie wiem, co to jest „Hermann i Dorothea”?!

- Każdemu może się pomylić - warknął Mock, patrząc, jak szyja i twarz rewirowego puchnie w więzach ciasnego mundurowego kołnierza.

Tym razem Mock rozgniewał się na siebie i na swoje głupie przejęzyczenie. Widząc, jak tęgi rewirowy zaciska dłoń w pięść i zbliża się do niego, poczuł pulsowanie rany na głowie i ciepły strumyk krwi za uchem. Przypomniawszy sobie pazury teściowej doktora Goldmanna. Wściekłość napłynęła jak śliski, zimny i śmierdzący pot. Napiął mięśnie i czekał. W tym momencie na biurku podskoczył telefon i rozdzwonił się blaszanym terkotem. Mundurowy wygładził uniform na brzuchu i podniósł słuchawkę.

- Naczelnik rewiru, nadkomisarz Schulz - powiedział i słuchał przez chwilę czyjeś ostrego głosu. - Tak, zgadza się, panie radco - spojrzał szybko na Mocka. - Podał fałszywe nazwisko i był... Tak, tak, rozumiem. Nadwachmistrz Eberhard Mohr, nie, nie... Mock. - Spojrzał krzywo na przesłuchiwanego. - Rozumiem, tak właśnie zrobię... Przekażę mu... Tak, dopilnuję tego... Czekam...

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Mocka przeciągle.

- Dlaczego nie powiedział pan, kim jest, panie nadwachmistrzu? - zapytał, wciągając brzuch.

- Chciałem zobaczyć, jak pan sobie radzi, naczelniku - odparł Mock i jednym tchem dodał: - Przepraszam, nie chciałem, aby pan się dowiedział, kim jestem, bo chcę, by pan zrelacjonował mi wszystko, co się ze mną działo. Najdokładniej, najzwężlej i najdosadniej. Może pan to zrobić?

- Nie lubię, jak ktoś się ze mną bawi w kotka i myszkę - mruknął Schulz. - Gdybym wiedział, kim pan jest, to co niby z tego? Nie powiedziałbym tego, co się z panem działo?

- No to co? Powie mi pan czy nie?

- Opowiem krótko i dosadnie. - Schulz usiadł i podał Mockowi papierosa. - O północy zadzwonił telefon. Ktoś anonimowo powiadomił mojego posterunkowego, że przy Brauergasschen koło knajpy „Pod Wesołą Godziną” leżą dwaj zakrwawieni ludzie. Jeden trzyma w ręku nóż i jest ranny w głowę. Drugi ma kilka niegroźnych ran. Ten pierwszy to pan. Ten drugi to facet z pańskiej celi. Rozebraliśmy was i chlust wiadrem wody. Ten drugi był tak pijany, że nic. A pan leciał przez ręce. Był pan nieprzytomny. Nie można było pana docucić. To wszystko.

- Proszę mi wybaczyć protekcyjny ton - powiedział Mock, zaciągając się głęboko - ale dobrze się pan spisał.

- Dziękuję - mruknął niechętnie Schulz - po prostu zawsze stosuję się do instrukcji.

- No to wszystko - Mock zduł papierosa i wstał. - Poproszę o ubranie. Idę.

- Niestety, nie mogę pana puścić - Schulz również wstał i zastawił drzwi swoim masywnym, choć niewysokim ciałem. - Instrukcja przede wszystkim. Wszyscy wiedzą, że stary Schulz przestrzega regulaminu. A w ostatnim dodatku do regulaminu wyraźnie stoi, że człowiekowi niezidentyfikowanemu należy pobrać odciski palców i niezwłocznie dostarczyć je do prezydium. Zawsze tak robię. Pobieram odciski palców każdemu podejrzanemu, jak również - nie daj Boże! - nieboszczykowi. I tak zrobiłem w pana przypadku. Odesłałem odciski przez gońca dziś wczesnym rankiem.

- No to dobrze - Mock zaczął się niecierpliwić. - Ale instrukcja nie zabrania chyba panu dostarczenia mi moich własnych kałesonów, co?

- Widzi pan... - Schulz nie odchodził od drzwi. - Podczas rozmowy telefonicznej dostałem inną instrukcję. Mamy czekać na ludzi z prezydium. Oni już jadą po pana.

Na schodach rozległo się donośne stukanie podkutych butów. Ktoś gwałtownie zapukał do drzwi i po głośnym „wejść!” w gabinecie Schulza pojawił się umundurowany posterunkowy.

- Melduję posłusznie, Herr Reviervorsteher - krzyczał posterunkowy, w wojskowym stylu mocno skracając wyrazy - że przyjechali z Prezydium Policji.

Do pokoju weszło trzech mężczyzn. Mock nie znał ich nawet z widzenia. Bardzo dziwna była nie tylko ich wyjątkowo duża liczba. Jeszcze dziwniejsze były ich legitymacje. Policjanci ze służby więziennej. A najdziwniejsze było zachowanie jednego z nich. Podszedł on do Mocka i wyciągnął do niego rękę. Mock podał mu machinalnie dłoń na powitanie i skamieniał. Na jego przegubie zamknęła się stalowa bransoleta kajdanek.

Breslau, sobota 27 października 1923 roku,  
wpół do pierwszej po południu

Mimo południa w Breslau panował półmrok. Winę za to ponosił niespodziewany i pierwszy w tym roku śnieg z deszczem. Na omnibusach, tramwajach i powozach osiadała gęsta, kleista maź, która spływała później brudnymi płachtami z zamglonych oddechami okien i z ciepłych końskich grzbietów. W wodnistej zawieszynie nad brukami przemykali ludzie, którzy przytrzymywali dłońmi uciekające meloniki i fruujące parasole. Między zakładem mechaniki precyzyjnej na Schuhbrücke a schroniskiem dla bezdomnych stali dwaj ludzie, nazywani „chodzącymi reklamami”. Na ich ramionach spoczywały puste kartonowe sześciiany, na których ściankach widniały wielkie rysunki maszyn do pisania. Te „żywe reklamy” miały chyba skusić wykładowców uniwersyteckich, których w tym miejscu nie brakowało. W tej chwili ci dwaj nie zajmowali się reklamowaniem wyrobów producenta maszyn H. Wagnera, lecz paleniem papierosów, które chronili przed śniegiem daszkami swoich dłoni. Z knajpy Pudelki wytoczyli się

dwaj studenci, którzy mieli tu coś lepszego do roboty niż w sali seminaryjnej.

Śnieg pokrywał ich mundury, śnieg spływał po oknie gabinetu szefa policji kryminalnej Heinricha Mühlhausa. Oderwał wzrok od studentów i palaczy. Spojrzał na siedzącego przy jego biurku Mocka, który rozcierał przeguby. Mühlhaus pochylił się nad Mockiem i lustrował wzrokiem każdą zmarszczkę jego zmęczonego oblicza, każdą czerwoną żyłkę w gałkach ocznych, każdą wystającą skórkę na suchych i poznaczonych zębami wargach. Mimo tej dokładnej obserwacji radca kryminalny nie mógł niczego wywnioskować o dzisiejszym nastroju nadwachmistrza. Zaciętą twarz, wysuniętą dolną szczękę i półprzymknięte oczy miał on zawsze, niezależnie od dnia, humoru i ilości wypitego alkoholu. Jedynie zabandażowana głowa odbiegała zdecydowanie od jego normalnej aparycji.

- Długo tak będziemy milczeć, panie radco? - zapytał Mock, patrząc na olbrzymią mapę Breslau nad biurkiem. - Nie dziwi chyba pana, że mam jedno ważne pytanie, o kajdanki, prawda? Nie chciałbym być jednak niegrzeczny... Starsi mają pierwszeństwo... No to co, panie radco? Ma pan do mnie jakieś pytania?

- Pan jest nierozsądny, Mock - powiedział wolno Mühlhaus i otworzył blaszane puzderko z duńskim tytoniem. - Zabawia się pan retorycznymi sztuczkami... Zadaje pan pytanie, niby nie pytając... A sytuacja jest poważna... Nie ma czasu na sztuczki, Mock... Nadszedł czas na kajdanki.

- A pan to niby nie stosuje retorycznych sztuczek? - Mock pochylił się i chusteczką do nosa starł lepkie błoto ze szpica swojego buta. - Opóźnienie, retardację znał już Homer...

- Chce pan coś zjeść? - zapytał nieoczekiwane Mühlhaus. - Może pajdę chleba z wędzonym łososiem z „Altony” i z marynowaną cebulką? Dzisiaj kupiłem w drodze do prezydium... Wiem, że nadzwyczajnie lubi pan ryby.

- O co chodzi? - zapytał Mock bardzo powoli, nawet nie patrząc na chleb kminkowy, przełożony jasnoróżowymi plastrami łososia. - Dlaczego zostałem skuty kajdankami? O co jestem oskarżony?

- Spodziewałem się innej pańskiej reakcji, Mock. - Mühlhaus zapalił zapalną i wetknął ją do główki fajki. - Wściekłości, wrzasku, a przynajmniej irytacji... A pan jest bardzo spokojny... Nie wiem, co o tym myśleć... Mam dwa wyjścia. Mogę zapytać, dlaczego je zabiłeś, Mock? Dlaczego zamordowałeś Klarę Menzel i Emmę Hader? Dlaczego otworzyłeś im usta i wyrwałeś zęby? Tak mógłbym zacząć to przesłuchanie. Mógłbym też zacząć inaczej i opowiedzieć ci wszystko od początku... O tym, że dzisiaj wczesnym rankiem w moim biurze zjawił się posterunkowy z XII rewiru i obwieścił dyżurnemu Kleinfeldowi, że u nich w areszcie siedzą dwaj niezidentyfikowani, poranieni i pijani w sztok ludzie, którzy najprawdopodobniej brali udział w jakiejś poważnej nocnej bójce. Szef rewiru, nadkomisarz Schulz, który jest wielkim służbistą, przysłał nam odciski palców obu z prośbą o ewentualną identyfikację. Kleinfeld nie miał nic do roboty dziś rano i zajął się tymi odciskami. Zgodnie z instrukcją najpierw porównał je z kartoteką spraw niewyjaśnionych. I wiesz, co się okazało? Że jeden z tych pijaków ma odciski palców identyczne ze znalezionymi na pasku, którym uduszono Klarę Menzel i Emmę Hader. A ja podjąłem decyzję. Kazałem natychmiast aresztować tego pijaka o odciskach palców

jak morderca obu ladacznic i dostarczyć go do mojego gabinetu. I tak się stało. I wiesz, kogo ujrzałem, Mock? Wiesz, kogo mi przyprowadzono? Ciebie.

Mühlhaus patrzył na Mocka i teraz już widział, co się dzieje w jego umyśle. Nadwachmistrz nagle stał się mokry. Jego gładko uczesane włosy zaczęły się skręcać od wilgoci, zza bandaża wypłynęła strużka potu, a czoło zaszklilo się grubymi kroplami. Zdjął marynarkę i kamizelkę i rzucił je na oparcie krzesła. Podwinął rękawy pozbawione spinek i gwałtownie rozpiął sztywny kołnierzyk. Jego rogi wystrzeliły w górę i sięgały aż do brody. Mühlhaus już wiedział, że słowa były jak celne pociski.

- Powiedz coś, Mock - poprosił Mühlhaus - daj mi przekonujący powód, abym nie musiał cię odsyłać w kajdankach do więzienia śledczego. Powiedz coś, co pozwoli mi uznać dzisiejszy dzień za koszmarny sen! No, słucham, Mock.

- Latem... - Mock wciąż nie panował nad swoim potem. - Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było... Tak, tak, już wiem... To było tego dnia, kiedy znaleziono te dwie dziewczyny... Klarę Menzel i Emmę Hader. Dzień wcześniej za dużo wypilem... Upilem się do nieprzytomności. Obudziłem się za Deutsch Lissa, na leśnej polanie. Ktoś mnie rozebrał do naga i zostawił mi jedynie jakąś starą kapotę. Moje palce były umazane różową farbą. To tak, jakby ktoś chciał mnie w coś zrobić...

- Kiedy do mnie przyszedłeś na miejsce zbrodni, jako ekspert od identyfikacji prostytutek - Mühlhaus wypuścił ze skołtunionej brody długą smugę dymu - nie miałeś różowych palców...

- Umyłem je rozpuszczalnikiem.  
- Kiedy?  
- Kilka godzin wcześniej.  
- Kiedy byłeś w burdelu, tak? - Mühlhaus zastukał długimi paznokciami po zielonym blacie biurka. - U madame Zimpel. Tam cię znalazł mój człowiek, kiedy chędożyłeś jak buhaj... Ten adres podał mu Illsheimer. Lubisz chędożyć dziwki, co Mock? Jeśli nie miały forsę dla ciebie, odbierałeś w naturze, co?

- Lubię kobiety. - Mock już się nie pocił, lecz cały dygotał. - Uwielbiam kobiety, niezależnie od ich zawodu...

- I lubisz czerpać zyski z nierządu. - Mühlhaus odłożył na bok wygasłą fajkę. - Niedawno zamknąłeś wszystkich alfonsów u nas na dole. I w upale torturowałeś ich w zamkniętej celi. Rzygali jak koty. Nie pytaj, skąd to wiem. Ja wiem wszystko, Mock. Jeden z alfonsów zeznał, że chciałeś ich zastraszyć, bo nie dzielili się z tobą zyskami... Nie pytać, skąd to wiem! Milczeć, Mock, bo każę zakuć! - wrzasnął Mühlhaus, widząc, iż przesłuchiwany wstaje gwałtownie z krzesła. - Siadaj! Milczeć i słuchać! Mały Maksio Niegsch nie chciał się z tobą dzielić kasą. Chciałeś go nastraszyć i oszpecić jego dziewczynki, zużyte dziwki Menzel i Hader. Chciałeś wyrwać im zęby. Ale wszystko wymknęło ci się spod kontroli. Byłeś zdenerwowany, na ciężkim kacu... Był upalny dzień, a wszyscy wiedzą, że nie lubisz upałów... Nie wytrzymałeś... Jedna zaczęła ci się stawiać. Udusiłeś wrzeszczącą, hardą kurwę! A druga to widziała... No to udusiłeś drugą. Tak było, Mock? Właśnie tak było?

- A kiedy im niby wyrwałem zęby? Po śmierci? I niby po co, kiedy już je zabiłem? Na pamiątkę?



- Mockowi dygotała już tylko jedna noga, która - oparta czubkiem buta o podłogę - podskakiwała teraz w szybkim tempie.

- Ty mnie o to nie pytaj, człowieku! - zasyczał Mühlhaus, rozciągając po śląsku ostatnie słowo. - Ty mi to powiedz!

- Ktoś mnie wrobił, rozumie pan? Ktoś latem, wtedy w czerwcu, mnie schlał, pobrał odciski palców i zabrał mi pasek! Chciał mieć moje odciski jak najbardziej rzeczywiste, widoczne bez tej całej techniki daktyloskopijnej, dlatego umazał mi rękę farbą... Przecież nie musiał tego robić. Odciski już i tak miał... Na pasku... Potem zamordował obie dziewczyny i zostawił na narzędziu zbrodni moje odciski. Wczoraj też ktoś mnie napadł po wyjściu z jakiejś knajpy...

- Z jakiej knajpy?

- Knajpa bez szyldu na Antonienstrasse. Kiedy wyszedłem odlać się na podwórko, ktoś mnie ogłuszył i podrzucił do komisariatu, gdzie urzęduje wyjątkowo akuratny służbista, naczelnik rewiru Schulz. Ten ktoś ukradł mi dokumenty, wiedząc, że w ten sposób skłoni Schulza do daktyloskopijnych działań identyfikacyjnych, jak to się fachowo nazywa. Kto mógł wiedzieć tyle o identyfikacji i o bardzo obowiązkowym naczelniku rewiru XII? To musi być jakiś bandyta, który kiedyś miał do czynienia z Schulzem i ze mną. Pewnie siedział na tym posterunku w areszcie. Teraz mści się na mnie za coś, nie rozumie pan? To wszystko trzeba sprawdzić. Ja to sprawdzę. To w końcu sprawa *pro domo mea!*

- Najpierw mi powiedz, czy ktoś widział te twoje palce pokryte różową farbą. Czy ktoś może potwierdzić twoją opowieść o nich? Jak

się dostałeś z Deutsch Lissa? Przecież byłeś nagi i pijany!

- Zamknął mnie na miejscowym posterunku tamtejszy wachmistrz policyjny. Nie wiem, jak się nazywa. Powiedziałem mu, że jestem z Prezydium Policji. Przyjechał po mnie Smolorz i odwiózł do domu.

- Czy ten policjant z Deutsch Lissa albo Kurt Smolorz może potwierdzić różową farbę na twoich palcach?

Mock znów zaczął się mocniej pocić, a jego kolano podskakiwać. Schował twarz w dłoniach. Pod pachami rozlewały się mokre plamy.

- Nikt nie może tego potwierdzić - odpowiedział - chowałem rękę, wstydzilem się tej różowej farby.

- Dlaczego?

- Jeszcze by Smolorz pomyślał, że jestem odmieńcem, co maluje paznokcie... Że schlałem się gdzieś w towarzystwie odmieńców poprzebieranych za kobiety...

Mühlhaus wstał z krzesła i okrążył biurko. Podeszedł do dużej szafy, w której stały czarno-białe segregatory. Na ich grzbietach widniały starannie wykaligrafowane cyfry. Przesunął palcami po tych tajemniczych numerach.

- Posłuchaj, Mock - powiedział cicho - uczestniczyłem w rozwiązaniu większości zawartych tu spraw. W wielu z nich były sprzeczne, wykluczające się wersje wydarzeń. Tak samo jest w twojej sprawie, na którą czeka już miejsce tutaj. - Stuknął fajką w grzbiet jednego z segregatorów. - O, tutaj! Tu będzie sprawa Eberharda Mocka. A zatem posłuchaj. Mam dwie wersje wydarzeń. Moja jest następująca. Zabiłeś je, Mock. Przypadkiem, niechcący, w ataku wściekłości, pod wpływem kaca, upału... Nieważne, czy wyrwałeś im zęby wcześniej,

czy też później... Zabiłeś je, bo chciałeś postraszyć małego Maksia, który nie dzielił się z tobą swoimi zarobkami. Potem Maksio zniknął. Podejrzewam, że ty pomogłeś mu w zniknięciu. Może dlatego, że wiedział o twoim spotkaniu z dziewczynami. Potem pod pretekstem identyfikacji dwóch denatek zgromadziłeś u nas na dole wszystkich alfonsów z Breslau. A tak naprawdę zastraszyłeś ich. Tak zeznał jeden z nich. Nieważne, który. Być może zobaczysz go na swoim procesie. To moja wersja, Mock.

Mühlhaus szarpnął węzłem krawata i sięgnął po obsadkę. Spojrzał pod światło na stalówkę, wyciągnął czystą kartkę papieru i przyłożył do niej pióro.

- Moją wersję zapiszę na tej kartce, a twoją na innej - powiedział - moja wersja będzie krótka i logiczna, twoje zeznanie natomiast będzie się roić od słów nieokreślonych. „Ktoś mnie nienawidzi”, „jakaś knajpa bez szyldu”, „gdzieś się upiłem do nieprzytomności”, „nikt nie widział moich pomazanych palców”. Pokażę te kartki dowolnie wybranym policjantom i prawnikom. Jak myślisz, która wersja wyda im się bardziej prawdopodobna? Strażnik, wejść! - nagle wrzasnął.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich strażnik więzienny Otto Oschewalla. Spojrzał obojętnie na Mocka. Mühlhaus podpisał jakiś dokument i wręczył go Oschewalli. Potem wstał, stanął koło Mocka i oparł rękę na jego ramieniu.

- Masz cztery dni - powiedział - cztery dni w pojedynczej celi, gdzie nie będziesz narażony, jako gliniarz, na wściekłość i nienawiść złych urków. Po czterech dniach przyjdę do ciebie i usłyszę coś, co mnie przekona, że to nie ty zabiłeś. Mock, do stu piorunów! - Pochylił się

nad przesłuchiwanym i owiał go tytoniowym oddechem. - Ja bardzo, ale to bardzo chcę to usłyszeć. Zabrać go! - krzyknął do strażnika.

Oschewalla zakuł Mocka w kajdanki i ujął delikatnie pod łokieć. Na plecy narzucił mu kamizelkę i marynarkę. Obaj policjanci nie patrzyli na siebie, kiedy jeden z nich opuszczał gabinet. Mock szedł, lekko popychany przez Oschewallę, i wbijał wzrok w posadzkę. Gdyby rozejrzał się wokół siebie, zobaczyłby smutek lub pogardę w nieruchomych spojrzeniach kolegów. Gdyby podniósł głowę, ujrzałby małomównego Kurta Smolorza, wstrząśniętego praktykanta Isidora Blümmela, który stał bezradnie z wyciągniętą na pożegnanie ręką, czerwonego ze zdenerwowania Herberta Domagallę, który trzymał w rękę kilka paczek ulubionych przez Mocka mocnych papierosów „Ihra”. Nikogo z nich nie widział. Przy wyjściu stał Achim Buhrack. Kiedy Mock go mijał, Buhrack zdjął czapkę.

Na dziedzińcu był furgon aresztancki. Z nieba sypał wilgotny śnieg. Nogi Mocka i eskortującego go strażnika Oschewalli ślizgały się w gęstej, brudnej pianie. Strażnik otworzył drzwi furgonu i lekko popchnął więźnia. Mock wszedł po schodkach i usiadł na twardej ławce. Oschewalla stał przez chwilę w otwartych drzwiach i patrzył na Mocka z uśmiechem.

- Pamiętasz mnie, rycerzu, obrońco kryminalisty Priessla? Pamiętasz, jak mnie pół roku temu sponiewierałeś? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Masz nadzieję, że znajdziesz się w jednoosobowej celi, bo szef policji kryminalnej tak powiedział? Ale to niemożliwe, wiesz? Bo o tym, do jakiej celi trafisz, to ja decyduję. Tylko ja! A ja wiem, że nasze cele są bardzo przeładowane. Tylko w jednej

jest dość luźno. Tam właśnie cię umieszczę. Będzie ci dobrze i słodko. Będziesz miał miłe towarzystwo. Dwóch ludzi. Chcesz wiedzieć, jak się nazywają?

Oschewalla powiedział i zatrzasnął drzwi z całej siły. W studni policyjnego dziedzińca rozległ się potężny huk. Do obklejonych śniegiem okien podbiegli koledzy Mocka. Smolorz patrzył na ruszający furgon aresztancki z wściekłością, Blümmel z żalem, a Domagalla i Buhrack - z niedowierzaniem. W uszach dźwięczał im potężny łomot drzwi furgonu. Był on bardzo głośny, lecz nie na tyle, aby zagłuszyć dwa nazwiska, które wykrzyczał Oschewalla. „Dziallas i Schmidtke” - dudniło w uszach Mocka.

Breslau, sobota 27 października 1923 roku,  
trzecia po południu

Mock stał w drzwiach celi i przyzwyczajają oczy do panującego tu półmroku. Przez uchylone okno wpadały nasiąknięte wodą brudnoszare płatki śniegu. Ściany celi pokryte były tynkiem, który od wilgoci napęczniał, a jego wybrzuszenia tworzyły nawet osobliwe linie i grzbiety - jak miniaturowe górskie łańcuchy. Niekiedy szczyty tych gór pękały, odsłaniając kratery o poszarpanych brzegach. Mock, wzdrygnąwszy się, zadał sobie w myślach pytanie, czy w tych kraterach mieszkają pluskwy. Po sekundzie odpowiedział na nie twierdząco. Ujrzał bowiem wypełnione wodą puszkę po konserwach, w których stały nogi dwóch pryczy. Trzecia była przymocowana do ściany.

W jego uszach wciąż boleśnie dźwięczał szcęk zasuw i śmiech strażnika Oschewalli, który przed chwilą, kiedy szli po metalowej

kładce wzdłuż cel, odmalowywał wulgarne i nieprzyzwoite praktyki, jakim zostaje poddany każdy nowy więzień, który na wolności był policjantem. Te opowieści doprowadziły Mocka do gwałtownych skurczów żołądka, które uzewnętrzniały się w suchej, szarpającej czkawce. I teraz czknął głośno, kiedy stał w drzwiach celi i trzymał w wyciągniętych ramionach dwa koce, poobijaną miskę i równie sfatygowany kubek, z którego wystawała poobgryzana drewniana łyżka. Para jego oddechu rozwiewała się szybko w zimnym powietrzu celi.

W celi rozsnuwał się jeszcze jeden oddech. Z pryczy pod oknem podniósł się wysoki mężczyzna. Światło padało na niego z tyłu, zatapiając twarz w cieniu. Mock widział tylko kontury. Były toporne i grubo ciosane. Po chwili ujrzał ją bardzo dokładnie. To oblicze miał wprost przed sobą. Blisko osadzone oczy i rybia cofnięta szczeka. Przedziałek na środku głowy oddzielający dwie fale błyszczących tłuszczem włosów. Tatuaze wylewające się na szyję zza kołnierza niedbale zapiętej więziennej kurtki. Blizna rozcinająca policzek i wargi, ginąca w rzadkim zarostcie brody. Błada cera, podpuchnięte oczy. Na twarzy i rękach guzy pokryte ciemnymi strupami. Potężne, zdeformowane pięści. Długie, zakrzywione paznokcie, czarne od brudu i pomarańczowe od nikotyny.

- Dzień dobry - powiedział Mock i położył swoje rzeczy na porysowanym stole. - Która prycza jest moja?

Mężczyzna uderzył od dołu. Mock słyszał kiedyś na jednym z policyjnych szkoleń, że w ludzkim podbródku splatają się liczne nerwy twarzy. Teraz to boleśnie odczuł. Nagle w celi zrobiło się całkowicie

ciemno. Rozjaśniać zaczęło się dopiero po chwili. W tej jasności Mock ujrzał sufit celi i wiadro z deklek stojące tuż za jego głową. Poruszył się i wtedy otrzymał drugi cios. Nogą. Drewniana podeszwa uderzyła go w grdykę. Zaczął się dusić. Powróciła czkawka, która rozrywała mu przeponę. Wtedy nastąpił cios z góry. Na Mocka opadło żelazne łóżko, które tuż nad posadzką było przytwierdzone do żelaznych pierścieni w ścianie. Zakrztusił się i otworzył usta. Oddał ustami trochę krwi na nierówną kamienną posadzkę. Następne krztuszenie było bezkrawe, lecz bardzo gwałtowne. Nie mógł oddychać, nie mógł zrzucić z siebie ogromnego ciężaru. Wykręcił nieco głowę i już wiedział, co się stało. Był przyciśnięty do posadzki pryczą, na której siedział więzień.

- To jest twoje spanie! - krzyknął więzień. – Tu będziesz spał, koło kibla, ty policyjna macioro! Na ziemi, pod tą pryczą.

Wstał i podszedł do stolika, a potem znów zbliżył się do Mocka. W jednej ręce trzymał drewnianą łyżkę, która miała służyć Mockowi do jedzenia. Podniósł dekiel od wiadra i zanurzył w nim łyżkę. Buchnął smród ekskrementów. Więzień przykrył z powrotem wiadro i obrysował brunatną cuchnącą mazią powierzchnię pod pryczą. Potem podniósł ruchome łóżko i kilka razy machnął nad Mockiem łyżką.

- Gównem cię ochrzciłem, macioro, i gównem narysowałem twój chlew - głos więźnia był zgrzytliwy i zdradzał braki w uzębieniu. - Od dziś masz na imię „maciora”. Nie wolno ci wychodzić poza twój gówniany chlew. Chyba że wtedy, kiedy pozwolę ci mnie lizać, macioro.

Usiadł na swojej pryczy, zapalił smrodliwą machorkę i spoglądał z krzywym uśmiechem na Mocka, który gramolił się spod łóżka i w końcu wstał, krótkim rzemieniem przywiązał łóżko do żelaznego pierścienia, oparł się o mur i chwycił rękami za głowę, próbując zatrzymać skrzydła wentylatora, które stukwały mu w czaszce. Nadając się do szpitala, pomyślał, dawno tak mocno nie oberwałem w tak krótkim czasie. Przepelniał go żal do całego świata. Ten żal obezwładniał i paraliżował. Mock nie panował nad twarzą i nad łzami wypływającymi z kącików oczu. Dostrzegł uśmiech satysfakcji na rozciętych wargach swojego oprawcy. Wiedział, dlaczego ten się śmieje. Bandyta szydził z płacziwej maciory, która nie opuszcza kręgu zarysowanego odchodami. Mock stał pod ścianą i błogosławił nakaz, który nie pozwalał więźniom ściągać czapek. Gdyby nie to, współwięźniów dostrzegłby ranę na jego głowie. I wtedy wystarczyłoby, aby wraził swój sękaty palec w ranę. Płaczliwa maciora stałaby się posłuszna jak owieczka. Mocka paraliżował nie tyle strach przed współwięźniem, ile raczej bezsiła wobec własnego ciała i umysłu. Nie potrafił podjąć żadnej decyzji i żadnego działania. Był miękkim zwojem nerwów.

- Jestem Dziallas - zasyczał więzień przez dwie dziury w górnym szeregu zębów. - Dla ciebie „jaśnie wielmożny pan hrabia von Dziallas”, rozumiesz? Powtórz to!

- Jaśnie wielmożny pan hrabia Dziallas! - Mock pociągnął nosem.

- Jeszcze raz! - wrzasnął Dziallas i zerwał się z łóżka. - Było bez „von”! Powtórz to, ty gruba macioro! Wszystko!



- Jaśnie wielmożny pan hrabia von Dziallas - powtórzył Mock i przysunął się do ściany.

- Zasady są takie - zadowolony więzień rozparł się wygodnie na pryczy i oparł ręce na kolanach. - Bez mojego pozwolenstwa nie wolno ci wyjść z chlewu, nie wolno ci się wysrać ani wyszczać, ani zapalić, ani położyć się pod pryczą i na pryczy. Nie wolno ci dotykać mnie i mojego żarła. Masz sprzątać celę i prać moje gacie oraz onuce. Wszystkie paczki oddajesz mnie. I tytułujesz mnie „jaśnie wielmożnym panem hrabią von Dziallas”. Od dziś jesteś moim niewolnikiem. A jak pojawi się z odwszawiania mój wspólnik Schmidtkę, będziesz i jemu usługiwał. Wróci najdalej za godzinę. Jest tu nas trzech. Masz jakieś pytania?

- Czy mogę się położyć na pryczy, jaśnie wielmożny panie hrabio von Dziallas? - zapytał Mock.

- Nie zasłużyłaś jeszcze, macioro. - Wargi Dziallasa wygięły się ku dołowi tak mocno, że rozciągnęła się znacznie różowa blizna między nimi. - Nie pytasz, jak się zasłużyć?

- Nie, jaśnie wielmożny panie hrabio von Dziallas.

- No to won pod pryczę i milcz, bo tera idę kimać po obiedzie. - Powiedziawszy to Dziallas położył się na swojej pryczy i odwrócił do ściany. Nagle podskoczył i wrzasnął do Mocka: - Chodź tu, dziuro w dupie! Do mnie, ale już! Biegiem do mnie!

Mock, nie śpiesząc się, podszedł do Dziallasa. Wtedy ten podskoczył na pryczy, oparł się rękami o ścianę i wypiął w stronę Mocka pośladki. Zimne powietrze celi zostało rozdarte przez donośne pierdnięcie.

- Dobrze poszło! - zaśmiewał się Dziallas. - Uuuuuuu, nieźle było!

Mock wrócił pod swoją ścianę, rozłożył pryczę i usiadł na niej. Nie patrzył na Dziallasa, choć wiedział, że ten nie spuszcza z niego wzroku. Wpatrywał się w wilgotną ścianę, w kratery popekanej farby, w paciorki odchodów pluskiew i karaluchów.

- Macioro, macioro - zawołał słodkim głosem Dziallas i nadał mu melodyjny zaśpiew. – Odeszłaś bez pytania... Kto ci pozwolił odejść? Kto ci pozwolił rozłożyć pryczę? Złamałaś zasady... Zaraz będziesz kwiczeć, oj, będziesz kwiczeć... Ale nie tera, dopiro za chwilę, jak przyjdzie mój kompan...

Mock położył się na pryczy tyłem do celi. Wiedział, że w nocy wychodzą. Ze wszystkich możliwych szpar i dziur. Że światło księżycy osiada srebrnym całunem na ich czulkach i pokrytych włoskami odnóżach. Pluskwy są wolniejsze. Nie przebierają tak sprawnie kończynami. Za to wbijają szczęki w pory skóry i wciągają z sykiem ludzkie płyny, a potem zostawiają po sobie swędzące strupy i pęcherzyki. Wszy są za to w kocach, w ich załamaniach. Mieszkania mają w zaszewkach, stamtąd wychodzą miękkie gnidy.

- Lubisz się ruchać, policyjna świnio? – ciągnął Dziallas tym samym słodkim tonem. - Tak jak to lubiła ta mała kurwa Priessl, ten szpicel. Oj, lubiła, lubiła... Sama chwytła nas rano za jajca... Lubisz, lubisz... Sama zobaczysz, kiedy przyjdzie mój kumpel... Poczekamy do nocy... On usiądzie ci na plecach, a ja zacznę... Polubisz to, macioro... Będziesz kwiczeć, a jutro sama poprosisz o pozwolenstwo... A ja powiem: „Jak tak bardzo chcesz, macioro, no to już, wykręć się do mnie swoim rozepchanym dupskiem!”

Niektóre karaluchy są niezdarne, myślał Mock. Są czarne. Nie wejdą wyżej niż na parter. Tutaj się nie dostaną. Na to ostatnie piętro.

Do tego piekła sodomitów. Za to tutaj będą inne. Te rude. Blatta Germanica. Swoją nazwę wzięły od nas, Niemców. Te to mają przylepne odnóża. Mogą biegać po szkle. W nocy będą nas łaskotać po szyi, a potem wchodzić do nosa i uszu.

Dziallas zasnął. Leżał na brzuchu na odsuniętej od ściany pryczy. Dłonie zwieszały się po obu jej stronach. Był bezbronny. Bez swojego współnika, który siedział kiedyś na plecach Priesslowi. Czy Priessl leżał na tym samym łóżku, co dzisiaj on sam? I też nie wolno mu było się nigdzie ruszać „bez pozwolenstwa”? Niewolnik Hans Priessl pewnie musiał pytać swoich panów, czy może włożyć sobie pieluchę do spodni, kiedy krew płynęła mu po nogach. Co się śniło Hansowi Priesslowi, kiedy karaluchy łaskotały go za uchem, kiedy pluskwy i wszy wpijały się w skórę? Czy śnił mu się jego mały synek Klaus? A o czym myślał przed zarzuceniem sobie powroza na szyję?

Mock usłyszał bębnienie kropli deszczu po trumnie Priessla. „Szanowny Panie Nadwachmistrzu! Więźniowie Dieter Schmidtke i Konrad Dziallas zhańbili mnie w więzieniu. Błagam pana, niech pan ich zabije. Jak pan to robi, mój synek Klaus nigdy się nie dowie, dlaczego się zabiłem. Tylko oni wiedzą. To jest moja ostatnia prośba. Jeśli pan to przyrzeknie, niech pan rzuci ten obrazek na mój grób. Z wyrazami najwyższego szacunku, Pański Hans Priessl”. Mock usłyszał zdziwione okrzyki dziwek z kasyna, które patrzyły, jak rzuca obrazek ze świętą Jadwigą na wieko trumny Priessla. A potem zobaczył swoje puste, samotne, dobrze odpucowane mieszkanie na Plessenstrasse. Od kilku lat bez ojca. W powiewach wiatru od okna kołysz się przybity do

framugi ojcowski pas do ostrzenia brzytwy. Muchy odrywają się od ceraty. Na stole szklanka wódki, napełniona pedantycznie i równo do poziomej kreski, którą kiedyś wyźłobił. Mock podjął decyzję.

Wstał i zawahał się. A może ten Schmidtke jest mały i słaby? Może nawet razem nie dadzą mi rady? W końcu dzisiaj jestem kiepski i dlatego tak się dałem sponiewierać temu skurwysynowi!

Wtedy otworzyły się drzwi. Stał w nich strażnik Oschewalla. Rozejrzał się po celi, a potem zwrócił się do kogoś na korytarzu.

- Wchodzić po odwzawieniu!

Do celi wszedł ogromny mężczyzna atletycznej budowy. Mock w mgnieniu oka zarejestrował jego tatuaże, wysuniętą szczękę, małe, przymknięte oczy i uśmiech. Tak, olbrzym się uśmiechał do Mocka. Wystawiał szczerbate, spróchniałe zęby. Mock podjął decyzję.

Kiedy później pytano Mocka, jak mu się to udało w tak krótkim czasie, nie potrafił odpowiedzieć. Kiedy policja przesłuchiwała Schmidtkiego, ten jękał się i w kółko powtarzał, że niczego nie widział. Podobnie niczego nie widział strażnik Oschewalla, który tydzień później przestał wykonywać swoją funkcję za niewypełnianie obowiązków. Nikt nic nie mówił, ale wszyscy to widzieli. Jak Mock skacze na plecy przebudzonego Dziallasa, prycza przesuwa się po celi, a woda wychlapuje się z puszek, na których była ustawiona. Jak wbija mu kolana w łopatki. Jak chwyta go obiema rękami za brodę. Jak jednym gwałtownym ruchem szarpie jego głowę do góry. Słyszeli, jak Dziallas wrzeszczy: „Zapłacił mi, Oschewalla zapłacił mi za twoje pohańbienie!” Słyszeli, jak z jakimś mokrym trzaskiem pęka mu krąg

szyjny. A także słyszeli wrzask Mocka:

- Zabiłem go i nikt mi nic nie zrobi! - wymachiwał rękami, na które chlusnęła krew z ust Dziallasasa. - Zabiłem go i jestem tutaj bogiem! Każdego zabiję, kto mnie tknie! W nocy złamię mu kark, tak jak temu!

- Bez oddechu - powiedział wolno Schmidtke i odwrócił się do Oschewalli: - Ja tu nie zostanę.

Breslau, piątek 18 stycznia 1924 roku,  
trzecia w nocy

Mock obudził się w środku nocy i gwałtownie usiadł na pryczy. Przenikał go chłód. Otulił się kocem i spoglądał na światło księżyca padające przez kraty. W jasnej, zimnej poświacie dojrzał małe cienie owadów poruszające się po podłodze. Wydawało mu się, że słyszy szelest ich pokrytych włoskami odnóży. Podrapał się pod pachą i doznał lekkiego ukłucia bólu. To pękł mały pęcherzyk, pamiątka po pluskwie. Opadł z powrotem na twardą pryczę i, przepelniony taką radością, zapragnął sięgnąć ręką pod posłanie i poczuć na skórze łaskotanie nóżek swoich małych przyjaciół. Tej radości doświadczył prawie trzy miesiące temu, kiedy złamał kręgosłup Dziallasowi i kiedy usłyszał słowa Schmidtkego: „Ja tu nie zostanę”. Już wtedy, kiedy ocierał zakrwawione ręce o drelichowe spodnie, wiedział, że znalazł receptę na strach i upodlenie, które mu zagrażało w więzieniu. Był jak żywy granat, jak wynalazca gazu bojowego, noszący przy sobie jego próbki. Tej radości nie zatracił nawet w karczerze. Wtedy to bowiem wyrobił w sobie franciszkańską miłość wobec stworzeń, które pojawiały się w

jego wąskiej i niskiej ciemnicy. Polubił je jak wypróbowanych przyjaciół, ich ukąszenia traktował jak nieco gruboskórne powitania, a ich łaskotanie - jak wyszukane pieszczoty. Dotyk szczurzych wąsów był jak konsolacja.

Nie wstając z pryczy, dotknął ręką pieca, który ogrzewał jednocześnie dwie cele. Był letni, bo oszczędzano opał. On sam nie wiedział, ile go trzeba. Nigdy w nim nie palił. Czynił to zawsze sąsiad z celi obok. Mock w tym więzieniu, zwłaszcza po wyjściu z karceru, nie robił nic, nie wykonywał nawet najprostszych czynności. Wielu chciało mu służyć. Ze strachu i z podziwu. Kiedy strażnik prowadził go na przesłuchanie, w celach szeptało: „Bez oddechu”. Kiedy wracał z przesłuchań, na których zresztą nie odzywał się nigdy ani słowem, więźniowie stukali łyżkami w miski. Była to muzyka zwycięstwa, kakofoniczny panegiryk na cześć triumfatora.

Dobrze ułożył sobie życie w więzieniu śledczym przy Freiburger Strasse. Jako urodzony pedant doceniał regularny rytm dnia. Trzy takie same posiłki w ciągu dnia uważał za oczywistość. Dawny smakosz i sybaryta instynktownie nauczył się filtrować wonie i smaki. Jego podniebienie i węch wysyłały do mózgu tylko te bodźce, które zostały przez nie zaakceptowane. Dlatego - w odróżnieniu od więźniów, strażników, prawników w sądzie, a nawet mieszkańców okolicznych kamienic - nigdy nie czuł dławiącego odoru, kiedy o dziewiątej rano wynoszono wiadra z fekaliami i zlewano je do dużego beczkowitzu na dziedzińcu. Z rozgotowanej kaszy starał się wysssać, a raczej stworzyć, to wszystko, co uwielbiał: jakąś daleką i nieokreśloną woń wędzonki i przysmażonej cebuli, jakiś utajony zapach peklowanej

golonki. Nauczył się zresztą prostej sztuczki, która pozwalała każdemu więźniowi jakoś zniwelować ohydny smak rozgotowanej marchwi oraz sosu z brukwi i selera, w którym pływały żyły i cienkie płatki najpodlejszych mięs. Przy jedzeniu zatykał po prostu nos. Wtedy znikał smak aktualny, a zmysły reagowały na smak potencjalny. Czasem filtr przestawał działać. Nie denerwował się wtedy, nie narzekał i nie złorzeczył. Przywoływał z pamięci scenę swojej ostatniej rozmowy z Hansem Priesslem. Widział jego błagające oczy i mówił sam do siebie z łagodnym, księżym uśmiechem: „To twoja pokuta, Eberhardzie, za Priessla. Chwal łaskawego Boga, że ci nie zadał gorszej. A gdyby Mu spodobało się doświadczyć cię czymś bardziej wyrazistym, na przykład ciągłym bólem lub nieuleczalną chorobą, to przyjmiesz to z pokorą. Nie jesteś Hiobem, ale możesz nim być”.

Niekiedy Mock wpadał w pychę. Czuł się jak Nietzscheański Übermensch, którego nie obowiązuje mieszczańska moralność. Przed snem układał w głowie krzykliwe manifesty nowej więziennej etyki. Patrząc na swój coraz bardziej wklęsły brzuch, na mięśnie obolałe od codziennych pompek, przypominał sobie starogreckie elegie wzgardzonego niegdyś Teognisa z dychotomicznym i bezwzględnym podziałem na „złe pospólstwo” i „dobrych arystokratów”. W jednym jedynym swoim liście, jaki wysłał z więzienia, poprosił Smolorza o dostarczenie mu tomu elegij tego poety w oryginale. Poprosił też o włożenie czegoś między kartki. Smolorz spełnił obie prośby. Wysłał Mockowi w paczce żadaną książkę z wkładką, a z własnej woli dodał dużą tytę tytoniu „Ihra” i zwitek pięciuset bibulek.

Mock usiadł na pryczy i opuścił bose nogi na kamienie podłogi. Światło księżycyca rzeźbiło w ścianach dziury, kratery oraz wydobywało nieprzyzwoite napisy. Osiadało też na otwartej książce i podkreślało gibkie greckie litery. Spojrzał na nią i zamknął natychmiast oczy. Jego pamięć działała bez zarzutu. Natychmiast odtworzyła grecki dwuwiersz:

oude gar ejdejes andros noon oude gynajkos

prin pejrethejes hosper hypodzygiou

Mock wpatrywał się również w to, co - na jego prośbę - Smolorz włożył między kartki Teognisa. Przedmiot nie wzbudził u strażników najmniejszego zainteresowania, kiedy kartkowali książkę w poszukiwaniu grypsów. Nie wiedzieli, że ten kartonik mimo niewinnego wyglądu jest znakiem dozgonnego przyrzeczenia i nieuniknionej zemsty.

- „Nie sposób przeniknąć zamysłów niewiasty czy męża, zanim nie poddasz ich próbie niby zwierzęta w zaprzęgu” - przetłumaczył Mock słowa arystokraty z Megary i spoglądał przez długą chwilę na obrazek przedstawiający świętą Jadwigę, który - wyjęty spośród kartek i przyklejony do ściany - srebrzył się w świetle Selene.

Breslau, wtorek 12 lutego 1924 roku,  
pięć minut po siódmej wieczór

Szef policji kryminalnej Heinrich Mühlhaus minął nieczynną o tej porze roku fontannę przy Junkernstrasse i od razu zobaczył piwiarnię Kisslinga. Nie musiał nawet sprawdzać, czy nad wejściem do lokalu wisi



numer 15. Na witrynach wypisane było wielkimi literami „Conrad Kissling” w taki sposób, że każde okno witryny zawierało jedną literę. Nieznający piwiarni swojego rodzinnego miasta, zaprzysięgły abstynent Mühlhaus był bardzo zadowolony, że nie musiał daleko szukać miejsca, gdzie miał się dzisiaj spotkać z bardzo ważnymi personami nadodrzańskiej metropolii. Wszedł zatem z uśmiechem do lokalu buchającego ciepłem i śpiewem. To ostatnie niespecjalnie ucieszyło radcę kryminalnego, który z natury nie był może ponurakiem, ale z całą pewnością nie należał do miłośników podpitych mężczyzn, którzy podkrecając węża i kołyszając się miarowo, wyśpiewywali truizmy o tym, że „spotkamy się kiedyś na nadodrzańskim brzegu”. A takich właśnie widział w pierwszej, dużej sali z łukowatymi sklepieniami i okrągłymi zyrandolami.

Kiedy zjawił się przed nim niewysoki sprężysty ober, Mühlhaus zapytał go, czy, jego zdaniem, ci panowie długo jeszcze będą śpiewać. Ironia i irytacja w głosie gościa była całkowicie niewyczuwalna, bo ober uśmiechnął się szeroko i odparł, że chór męski „Polihymnia” zwykle śpiewa tylko godzinę po swoich wtorkowych próbach, ale na życzenie szanownego pana mogą sięgnąć do rzadziej wykonywanego repertuaru. Mühlhaus nie kontynuował tego tematu i już z wyraźną złością zapytał, gdzie tu jest „sala bawarska”, bo właśnie tam ma umówione spotkanie. Ober poprowadził go do mniejszej sali, prawie bez ozdób, jeśli nie liczyć podłużnych belek stropu, z których zwisały klosze lamp, oraz jelenich rogów we wnękach ścian.

Mühlhaus ku wyraźnemu zdziwieniu kelnera zażyczył sobie herbaty Obsta na ischias. Na grzeczną odpowiedź kelnera, że takiej herbaty najlepiej się napić w aptece „Higieja”, zażądał smakowej herbaty

importowanej. Potem przywitał się z trzema mężczyznami, którzy siedzieli w potężnych drewnianych ławach. Powiesił palto i melonik na wieszaku zajmującym całą ścianę sali bawarskiej. Z wyrozumiałym politowaniem stwierdził, że nawet ludzie świecący maluczkiem przykładem nie mogą się obejść bez alkoholu. Naczelnik więzienia śledczego Otto Langer pił kulmbachera, sędzia Ernst Weissig spożywał miejscowego lagera w litrowym kuflu, a przed szefem „Breslauer Neueste Nachrichten”, doktorem Ottonem Tugendhatem, stała butelka winiaku „Stary Szczep” ze słynnych składów Mampago. Mühlhaus nabił fajkę i milczał, w odróżnieniu od swoich kolegów.

- Drogi doktorze - Langer piorunował dziennikarza wzrokiem - naprawdę uważa pan Vatera za człowieka honoru? Kogoś, kto pisał wiernopoddańcze listy do Lenina i obiecywał mu, że Niemcy staną się częścią imperium sowieckiego?

- Tak, uważam - odparł spokojnie Tugendhat, upijając łyżeczek winiaku. - O honorze nie decyduje przynależność partyjna ani poglądy polityczne, ale czyny, mój panie, czyny! Vater, popelniając samobójstwo, okazał się człowiekiem honoru! Każdy samobójca jest człowiekiem honoru.

- Samobójstwo może wynikać również ze strachu. - Sędzia Weissig zapalił cygaro. - Niekoniecznie z poczucia honoru.

- Ale on na pewno się nie bał - uśmiechnął się Tugendhat - przecież nikt nie wybrałby tchórza na prezydenta policji w Magdeburgu... Czy prezydent policji może być tchórzem? Niech nam to powie ktoś, kto to wie najlepiej! No, drogi radco - zwrócił się do Mühlhausa - czy

nasz prezydent policji, jaśnie wielmożny Wilhelm Kleibömer, jest tchórzem?

- Naprawdę Vater był prezydentem policji w Magdeburgu? - Mühlhaus włączył się do rozmowy, odbierając od kelnera szklanke gorącej, pachnącej herbaty.

- Widzą panowie, jak się ożywił nasz radca? - roześmiał się dziennikarz. - Ale niech się pan nie boi, niech się pan nie rozgląda dookoła w poszukiwaniu szpicli, mówże pan krótko, drogi radco: jest Kleibömer tchórzem czy też nie?

- Doktorze Tugendhat - uśmiechnął się zapytany - pozwoli pan, że nie będę się wypowiadał o moim szefie i o jego morale. Nie po to tutaj się spotkaliśmy. Ja wiem, że samobójcza śmierć Vatera, podobnie jak niedawna śmierć Lenina, rozpala panów emocje, zwłaszcza tych zorientowanych na lewo, jak nasz redaktor, ale nie zapominajmy, że spotykamy się tutaj w godnej pożalowania sprawie Eberharda Mocka.

Zapadło milczenie. Wszyscy spoglądali na Mühlhausa, przyznając mu niejako prawo przewodzenia tym nieformalnym obradom w piwiarni Kisslinga.

- Przepraszam panów za spóźnienie - zaczął Mühlhaus. - Dorożkarz, który mnie wiozł, był pijany i pomylił Junkernstrasse z Jahnstrasse. A teraz ad rem. Eberhard Mock jest oskarżony o trzy morderstwa. Dwie ofiary to prostytutki: Klara Menzel i Emma Hader, a trzecia to współwięzień Mocka, sprawca trzech gwałtów na nieletnich chłopcach Konrad Dziallas...

- Wyjątkowy podlec i zбочeniec - wtrącił Langer - miałem z nim same kłopoty. Przez niego popełnił samobójstwo inny więzień... Mock cieszy się w tej chwili ogromnym szacunkiem współosadzonych. Uwielbiają go, bo należy on do kasty wybrańców, którym na

niczym nie zależy, którzy mogą zrobić wszystko...

- Czy pan sugeruje, dyrektorze - przerwał mu sędzia Weissig - że sąd powinien przez to łagodniej potraktować Mocka, bo zabił jakiegoś więziennego łotra?

- Ja niczego nie sugeruję, jedynie...

- Pax, pax, moi panowie! - Mühlhaus dmuchnął w fajkę, dobywając z główki dużą czapę gorzkosłodkiego dymu. - Sugerować cokolwiek będę w tym gronie tylko ja... Przepraszam, nie „sugerować”, ale „prosić”. Mam do panów ogromną prośbę... Chodzi mi o dyskrecję, milczenie, tajemnicę...

- W świetle tych próśb - doktor Tugendhat napełnił winiakiem pusty kieliszek - ja zupełnie nie pasuję do dzisiejszego towarzystwa. Wykonuję zawód, którego istotą jest ujawnianie, a nie dyskrecja. A poza tym ciągle prosi mnie pan o to samo. To dzięki mnie w żadnej gazecie w Niemczech nie ukazała się nawet wzmianka o Mocku w związku z zabójstwem tych dwu prostytutek... Mam ciągle milczeć i milczeć! Radco, mnie już nudzą pańskie próśby!

- Ma pan słuszność, doktorze - powiedział Mühlhaus i milczał przez chwilę, obserwując, jak kelner rozstawia między nimi talerze z bawarskimi białymi kielbaskami i słodką musztardą oraz miseczki z marynowaną rzepą. - Do tej pory zachowywał pan godną podziwu dyskrecję. Wiem, że jest ona sprzeczna z pańskim zawodem. Ale wszystko przed panem. Może pan wybrać czas ujawnienia. Może pan opisać sprawę Mocka, zanim się na dobre zacznie, aby podgrzewać atmosferę, albo może pan ją opisać później... W całości... Pańska gazeta jako jedyna w tym mieście...

Wyobraża pan sobie cykl artykułów po procesie... Gazeciarze krzyczą: „Cała prawda o Eberhardzie Mocku”. Nakład BNN wzrasta... Ludzie nie będą kupować żadnej innej gazety... Będzie pan wiedział wszystko, pańscy konkurenci nic...

- Postępuje pan nietypowo, radco - powiedział Langer - oferuje pan zapłatę, zanim nam pan powiedział, o czym to mamy mianowicie milczeć...

- Wybaczą mi panowie krótki wstęp? - Mühlhaus, widząc, że rozmówcy kiwają głowami, kontynuował: - Nadwachtmistrz Eberhard Mock nie pracował w policji kryminalnej, lecz w decernacie obyczajowym prezydium... Mogliby panowie zapytać, co ja w takim razie tutaj robię. Odpowiedź jest prosta. Reprezentuję prezydenta policji Kleibömera. To właśnie on zlecił mi tę niezwykle delikatną misję. - Odłożył fajkę, splótł dłonie i przesuwając wzrokiem po twarzach swoich rozmówców, powiedział zdecydowanym tonem: - Panowie, powiem bez ogródek. Policja chciałaby uniknąć skandalu. Dlatego prezydent policji w Breslau dzięki swoim stosunkom sprawił, że proces Mocka zostanie utajniony i odbędzie się w Königsbergu. Któregoś dnia przyjadą trzej zaufani ludzie z tamtejszego prezydium. Zameldują się u Kleibömera. Nie będą się legitymować. Podadzą jedynie hasło. Kleibömer osobiście zatelefonuje tylko do dwóch osób. Pierwszą z nich będzie pan, dyrektorze - zwrócił się do Langer - drugą będę ja. Pan otrzyma polecenie, aby osobiście przyjąć königsberczyków, otworzyć im drzwi do celi Mocka i pozwolić im opuścić więzienie wraz z oskarżonym. Moi ludzie będą dyskretnie eskortowali ich wszystkich na Dworzec Główny. Ja mam zadbać o to, aby oni nie wiedzieli, kogo eskortują. W pociągu ostatni wagon będzie należał do

oskarżonego i jego eskorty. Czy zgadza się pan zachować całkowitą dyskrecję na temat tego, co pan teraz usłyszał?

- Tak, zgadzam się - powiedział dyrektor Langer i zagryzł rzepą piwo. - Nikomu nic o tym nie powiem. Prośba prezydenta Kleibömera jest dla mnie rozkazem.

- Dziękuję bardzo za pańską uprzejmą zgodę na bezwarunkową dyskrecję - uśmiechnął się Mühlhaus i ugniótł rzeźbionym ubijakiem tytoń w fajce. - Natomiast pana, doktorze - spojrzał na Tugendhata - właśnie pana prezydent usilnie prosi o dyskrecję warunkową. Dopóki Mock nie stanie w Königsbergu przed trybunałem, będą się pojawiać wśród dziennikarzy różne plotki. Pan będzie te plotki dementował, po dawał sprzeczne informacje na temat miejsca procesu i jego daty... W zamian...

- Ja panu powiem, co w zamian, radco kryminalny. - Doktor Tugendhat zapalił cygaro i dmuchnął dymem w jelenie rogi wiszące nad stołem. - W zamian mój reporter jako jedyny dziennikarz na tym świecie zostanie dopuszczony przed trybunał w Königsbergu i będzie relacjonował każdy dzień tego procesu. To właśnie będzie w zamian.

- Zgadza się - odpowiedział Mühlhaus - wyjął mi to pan z ust...

- Ale mam jeszcze pytanie... - wtrącił się redaktor. - Mówi pan, że mam podawać sprzeczne informacje o dacie procesu. Aby to uczynić, muszę znać prawdziwą... Muszę wiedzieć, kiedy mam wysłać mojego reportera nad morze... To znacznie dłuższa wycieczka niż do Zobten.

- I tutaj jest prośba do czwartego z nas, sędziego Weissiga. - Mühlhaus spojrział na wymienionego przez siebie prawnika, który nakładał na cienką kielbaskę krążki cebuli. - Otóż my wszyscy tutaj zgromadzeni musimy znać ten termin przynajmniej kilka dni przed przybyciem do Breslau trzech tajniaków z Königsbergu. Dyrektor Langer musi to wiedzieć, aby zaplanować dostarczenie Mocka königsberczykom, z zachowaniem wielkiej ostrożności; doktor Tugendhat, ponieważ musi rozsyłać w świecie dziennikarskim fałszywe informacje, a ja muszę znać ten termin wcześniej, po to aby zorganizować właściwą eskortę na dworzec. Niestety, sędzia Mann z Königsbergu, którego wyznaczono na przewodniczącego trybunału w procesie Mocka, nawet nie chce słyszeć o tych argumentach. Twierdzi, że od swoich zwierzchników dostał ścisłe wytyczne, aby zachować całkowitą tajemnicę, i nie ma zamiaru nikogo powiadamiać o terminie rozprawy. A teraz proszę nam powiedzieć, panie sędzio, czy rzeczywiście on nikogo nie musi powiadamiać?

- Wszyscy znamy starego Manna jako tępego, pryncypialnego uparciucha. - Sędzia Weissig przełknął kęs. - Ale nawet najbardziej niedorzecznie uparty sędzia musi, zgodnie z przepisami, wystosować do mnie oficjalne pismo, w którym poprosi o zwolnienie podejrzanego na rozprawę... W tym piśmie będzie też hasło rozpoznawcze...

- Już wie pan, o co pana uprzejmie prosi pana prezydent Kleibömer? - zapytał Mühlhaus.

- Wiem. Chce wiedzieć, kiedy pojawią się königsberczycy...

- I chce znać hasło...

Weissig podniósł dłoń i przykrył nią dłoń Mühlhausa leżącą na stole. Na ich dłoniach położył swoją dyrektor Langer, a po chwili wahania doktor Tugendhat. Potem z rozmachem klaskali wolnymi dłońmi o grzbiet tych, które już leżały jedna na drugiej.

Kelner, myśląc, że ktoś w sali bawarskiej strzela na niego palcami, wbiegł tam prędko. Ujrzał czterech mężczyzn, którzy ze swych na przemian ułożonych dłoni stworzyli piramidę i wpatrywali się w siebie poprzez tytoniową mgłę. Jeden z nich machnął na kelnera cygarem.

- Herr Ober, pije się coś w tym lokalu czy nic się tu nie pije? - krzyknął z uśmiechem, odwrócił się do kolegów i powiedział, nie zwracając już uwagi na kelnera: - Panowie, w Breslau wie o tym nas czterech, plus prezydent policji. I tak ma zostać!

Breslau, niedziela 2 marca 1924 roku,  
piąta nad ranem

Pociąg z Königsbergu via Berlin przyjechał punktualnie i donośnym gwizdem oraz prychaniem pary obudził wszystkich na peronie czwartym. Bagażowy przestał drzemać nad swoim dwukołowym i dwudyszlowym wózkiem, sprzedawca gazet i tytoniu, licząc na wczesnoporanny głód pasażerów, wystawił na ladę kiosku kilka świeżych bułek z szynką, zawiniętych w pergamin z reklamą rzeźni „Carnis”, ożywiła się nawet zobojętniała na cały świat stara pijaczka, którą szef dworcowego posterunku policji nie wiedzieć dlaczego nie tylko tolerował, ale nawet czasami obdarowywał butelczyną żytniówki. Peronowy, który wyszedł właśnie ze swej budki, aby włożyć tablicę



informującą o przybyciu ekspresu, był przekonany, że stara pijaczka dostarcza szefowi służb porządkowych informacji na temat prostytutek i kieszonkowców, którzy byli przez niego tępieni z całą zaciekłością. Oprócz zwykłych bywalców kolejowych czekało na nocny ekspres z Königsbergu i Berlina trzech młodych mężczyzn, ubranych - z powodu nieskorej do odejścia zimy - w długie ciepłe płaszcze, białe szaliki i modne sportowe kapelusze. Wszyscy trzej nerwowo postukiwali laskami o płytki peronu, co nawet nieco irytowało sprzedawcę gazet.

Oprócz trzech mężczyzn z laskami wszyscy ludzie przebywający na peronie czwartym liczyli na to, że z nocnego ekspresu wysypie się kilka osób, które pozwolą im dzisiaj zarobić parę groszy lub zrealizować inne życiowe potrzeby. Sprzedawca miał nadzieję, że wśród wysiadających nie zabraknie panów interesujących się giełdą i polityką, którzy z radością kupią dzisiejsze wydanie „Berliner Morgenpost”, albo modnych pań, którym chciał zaoferować „Der Basar”. Bagażowy był pewien, że nie zabraknie w ekspresie starych, bogatych osób, które niedbałym machnięciem ręki i rzutem bilionmarkowego banknotu powierzą mu swoje sakwojaże. Pijaczka liczyła zaś na to, że po zatrzymaniu się składu i po wyjściu pasażerów wskoczy do pociągu i znajdzie kilka niedopitych butelek ze swoim ulubionym chemicznym składnikiem. Tylko trzech milczących mężczyzn z laskami nie mieli ani finansowych, ani alkoholowych potrzeb.

Nie zawiódł się nikt ze stojących na peronie czwartym. Bagażowy natychmiast po uniżonym geście zdjęcia czapki dostał od jakiejś zażywej jejmości polecenie odwiezienia piramidy pakunków, na których

szczyście chwiało się potężne pudło na kapelusze. Stara pijaczka po opuszczeniu pociągu przez pasażerów natychmiast zanurkowała i po kilku minutach wyniosła z przedziałów dwie w połowie pełne butelki gdańskiej „Goldwasser” i pół butelki polskiego piwa „Fortuna”. Od sprzedawcy gazet kupili „Berliner Tageblatt” dwaj siwowłosi, brodaci mężczyźni w atlasowych okrągłych czapkach, którzy rozmawiali między sobą językiem mającym w sobie coś z polskiego, rosyjskiego i niemieckiego, lecz z pewnością niebędącym żadnym z tych języków. Ci dwaj, dowiedziawszy się, że bułki oferowane przez sprzedawcę są przełożone pokrojonymi frykadelkami, odmówili ich zakupu i poszli, mocno gestykulując, w stronę wyłożonego błyszczącymi płytkami tunelu dworcowego.

Kanapkami nie wzgardzili natomiast trzej inni pasażerowie, którym musiał doskwierać głód tak silny, że - zażądawszy dodatkowo lemoniady - spożywali wszystko wprost na peronie. W pociągu było najwidoczniej gorąco, bo zdjęli meloniki i wachlowali się nimi. Wszyscy trzej byli łysi i wysocy. Po chwili nie byli już sami. Zanim zdążyli pochłonąć bułki z frykadelkami, zanim osuszyli butelki lemoniady „Sinalco”, zanim zapalili po jedzeniu, już byli w towarzystwie trzech młodych ludzi z laskami w rękach. Ich zachowanie bardzo zdziwiło sprzedawcę, ponieważ do trzech łysych podeszli dopiero po upływie kilku minut, kiedy już się upewnili, że na peronie nie ma nikogo. Dziwne, pomyślał, pewnie się dobrze nie znają, pewnie się nigdy nie widzieli, a jeśli tak, to skąd ci ludzie z laskami mieliby wiedzieć, że trzej pasażerowie to właśnie ci, na których czekają. Może znakiem rozpoznawczym były właśnie ich łysiny, bo przecież trzej z

laskami podeszli dopiero wtedy, kiedy tamci odsłoniли swoje glace. Nagle zadzwoniło coś metalicznie o płytki peronu. Sprzedawca zahaczył o uszy druciane binokle i już się nie dziwił. Teraz, kiedy lepiej wszystko widział, ogarnęło go przerażenie. Laski leżały na peronie, a trzech młodzi ludzie dzierżyli w rękach pistolety.

- Kłaść się! Na ziemię! Mordami do ziemi! - wrzasnął jeden z nich.

Sprzedawca odwrócił wzrok. Ujrzał pijaczkę, która uciekała z peronu w długich, nadzwyczaj sprawnych podskokach. Peronowy schował się w swojej budce. Lokomotywa odezwała się przeciągłym sygnałem i sapnęła parą. Sprzedawca schował się za ladę i - siedząc na ziemi - zamknął na zasuwkę okienko swojego kiosku. Zacisnął powieki i zakrył dłońmi uszy. Nie chciał niczego widzieć ani słyszeć. Już miał pewność, że te dwie grupy mężczyzn, trzech laskarzy i trzech łysi, widzieli się po raz pierwszy w życiu. I kiedy się już rozstaną, to nie będą za sobą specjalnie tęsknić.

Pociąg relacji Breslau-Berlin-Königsberg,  
niedziela 2 marca 1924 roku, szósta po południu

Mock siedział sam w pustym wagonie kolejowym, który był ostatni w składzie. Usiłował zająć myśli czymś innym niż proces, jaki go czeka przed trybunałem w Königsbergu, i czymś innym niż topór, który spadnie tam na jego szyję. Przykuty kajdankami do drewnianej ławki, usiłował wykręcić szyję, aby obejrzeć trzech ponurych, milczących ludzi z eskorty. Siedzieli w tyle dużego wagonu trzeciej klasy z twardymi, niewygodnymi ławkami, pozbawionego całkiem przedziałów.

Przez szpary w oknach dmuchało w Mocka zimną wilgocia. Nie znosił podróży i pociągów. To znieawidzone otoczenie pozbawiało go zawsze pewności siebie. Tak było i teraz. Już nie był królem więzienia, lecz zmarzniętym, zakatarzonym i godnym pożałowania przestępcą, który jedzie na spotkanie z katem.

Jego strażnicy grali w karty i wyszydzała się wzajemnie. Musieli być bardzo dobrymi kolegami, żaden z nich nie reagował agresją na uszczypliwości innych. Niekiedy ściszała głos. Mock domyślał się, że mówią wtedy o nim. Chciał z nimi pogadać o czymkolwiek, aby choć na chwilę oderwać się od śniegowego błota za oknem i od trójkątnej kaptura kata z otworami na oczy. Próby nawiązania kontaktu zbywała jednak pogardliwym milczeniem. Nawet kiedy zażądał wyjścia do ustępu, jeden z jego strażników kopnął ku niemu nocnik, a potem z wyrazem obrzydzenia na twarzy wylał zawartość przez okno.

Mock drżał z zimna i usiłował przypomnieć sobie miasto nad Pregolą, w którym podczas wojny spędził kilka miesięcy w szpitalu wojskowym. Nie były to jednak dobre wspomnienia. Nie pomogły mu więc w uciszaniu niewesołych przypuszczeń. Bliskość śmierci była w jego więziennym królestwie czymś dalekim i nierealnym. Przechucie zgonu rzadko nachodzi butnych despotów. W miejscu rozstań natomiast, jakim są dworce i pociągi, w nieogrzewanym i cuchnącym pluskwami wagonie, było ono czymś rzeczywistym i nieuniknionym.

Mam jeszcze siedemnaście godzin przed sobą, myślał, siedem godzin jazdy do Berlina i dziesięć do Königsbergu na twardej ławce, do której jestem przykuty. A potem automobil, który mnie zawiezie na

miejsce straceń, gdzie będzie czekał topór i pień, w który wsiąkły już litry krwi.

Ucichły odgłosy karcianej gry i przekomarzania. Do jego uszu doszły szept. Nie mógł rozróżnić słów, choć przez chwilę zdawało mu się, że strażnicy dyskutują o zegarkach i każdy się upiera, że jego chodzi najlepiej i najdokładniej. Potem jeden z nich przeszedł obok i podążył na przód wagonu. Mimo ciągłego napięcia Mock poczuł, że ogarnia go senność. Kiedy zasypiał, zdawało mu się, że ktoś zarzuca mu na głowę kaptur na rynku w Königsbergu. A potem rozległ się przeraźliwy zgrzyt piły. Nie był jednak na tyle głośny, aby pozbawić go łaski snu.

Obudził go bezruch pociągu i przejmujące zimno. Pociąg stał, a jego oświetlenie było całkiem wygaszone. Mock wolną ręką wyjął zegarek z kieszeni marynarki. Namacał palcami godzinę dziewiątą. Spał dwie godziny. Wstał z ławki i potarł dłonią zdrętwiałe pośladki. Rozejrzał się po wagonie. Strażników nie było. Nie było też płaszczy ani kapeluszy. Jediną pamiątką po jego cerberach była okuta laska zaczepiona na wieszaku. Jeden z nich zapomniał ją zabrać, pomyślał. Gdzie ja jestem? Dlaczego pociąg stoi? Gdzie są moi strażnicy?

Spojrzał w przód wagonu i zauważył otwarte drzwi, przez które wpadały płatki śniegu. Przesunął się ku środkowi wagonu, tak daleko, aż go zabolął okuty przegub dłoni. Tak, nie pomylił się. Za mokrą i cienką warstwą śniegu na zewnątrz widać było ciemną ścianę lasu, odbijającą się od jaśniejszego nieba. Zrozumiał, że zgrzyt piły w jego śnie był w rzeczywistości zgrzytem haka i żelaznego ucha w sprzęgu łączącym wagony. Zniknął pociąg, zniknął przedostatni wagon.

Był tylko ostatni, a w nim on - przykuty do ławki więzień. Spojrzał w lewo i zauważył domek dróżnika. W jednym z okien stała dogasająca lampa naftowa. W tej wątej poświacie dostrzegł jakiś ruch. Cień za cieniem. W stronę pociągu szli ludzie. Zbliżali się do otwartych drzwi. Jeden z nich wspiął się na schodki i zapalił latarnię. Wtedy Mockowi wydało się, że serce puchnie mu w gardle. W świetle latarni zobaczył bowiem kata. Miał na sobie długi płaszcz, wysoką trójkątną czapkę i maskę z okrągłymi szklanymi otworami na oczy, wydłużoną w kształt ptasiego dzioba.

Breslau, sobota 8 marca 1924 roku,  
piąta po południu

Redaktor Otto Tugendhat przez okno redakcji „Breslauer Neueste Nachrichten” spojrzął na drukarnię, z której wychodziły paczki z jego gazetą. Jeden z robotników, nie wiedząc, że jest obserwowany, czmychnął za bramę i rozpakował z pergaminu swoje śniadanie. Gest robotnika podsunął Tugendhatowi pomysł na tytuł artykułu. Przesunął kartkę w maszynie, tak że strumień tekstu znalazł się znacznie niżej poziomu pisania, i wystukał rozstrzelonymi wersalikami:

**Tajemnicze zniknięcie Eberharda Mocka.**

Potem wykreślił kartkę z maszyny, a pod wałkiem umieścił czystą. Zapalił cygaro i zaczął pisać tak szybko i bezbłędnie, jakby wszystkie frazy miał gruntownie przemyślane.

„Z zaufanych i pewnych źródeł wiadomo, iż dnia 4 marca br. miał stanąć przed trybunałem w Königsbergu Eberhard Mock, były pracownik decernatu obyczajowego Prezydium Policji w Breslau. Mock

jest podejrzany o zamordowanie z motywów rabunkowych albo lubieżnych (to właśnie miał ustalić sąd) dwóch prostytutek, Klary Menzel i Emmy Hader. Obie kobiety zostały bestialsko uduszone dnia 30 czerwca ubiegłego roku. Na narzędziu zbrodni (męskim pasku do spodni) zabezpieczono wówczas odciski palców, które - jak się później zupełnie przypadkowo okazało - są odciskami palców Mocka. Mock, parszywa owca wrocławskiej policji, został aresztowany i osadzony w więzieniu śledczym.

Tam został napadnięty i sterroryzowany przez więźnia, który chciał go upokorzyć i zniewolić. Mock zabił napastnika na oczach strażnika i innego współwięźnia. Do dwóch poprzednich zarzutów doszedł jeszcze jeden. I tutaj, drodzy czytelnicy, następuje najciekawsze.

Prezydent policji Wilhelm Kleibömer chce za wszelką cenę ocalić reputację policji z Breslau. Zawiera zatem tajne porozumienie z różnymi ważnymi personami w Ministerstwie Sprawiedliwości i sprawia, że Mock ma być sądzony w tajnym procesie w Königsbergu. Zarządzono, że podejrzany będzie tam przewieziony w trybie ściśle tajnym. O całej operacji miało wiedzieć jedynie kilka osób, m.in. Otto Langer, dyrektor więzienia, w którym Mock był osadzony, sędzia Ernst Weissig, który otrzymał pismo z nakazem wydania więźnia, szef policji kryminalnej Heinrich Mühlhaus oraz piszący te słowa. Sześć dni temu, to jest dnia 2 marca br., po Mocka przyjechało trzech agentów Prezydium Policji w Königsbergu. Wszystko odbyło się zgodnie z nadzwyczajną procedurą. Trzej agenci zabrali Mocka do pociągu relacji Breslau-Königsberg i wraz z podejrzany zajęli cały ostatni wagon.

Pociąg odjechał punktualnie.

Nazajutrz, czyli 3 marca, nastąpiły trzy wydarzenia, które z pewnością były ze sobą splecione węzłem przyczynowym. Rano dróżnik z przejazdu kolejowego w lesie pod Benau zlokalizował stojący na bocznicy pusty wagon klasy trzeciej. Jak się okazało, w tym właśnie wagonie jechał Mock z eskortą. Wagon został najwyraźniej odczepiony od reszty składu, na co wskazywałyby ślady na sprzęgu. Tego samego dnia w Elbing czekał na Mocka i na swoich trzech kolegów agent policyjny, który miał wszystkich zawieźć samochodem do Königsbergu. Kiedy nie przyjechali w ustalonym terminie, agent ów zameldował o tym swoim zwierzchnikom, którzy z pewnością natychmiast zatelefonowali do prezydenta policji Kleibömera.

A oto wydarzenie trzecie. Po południu tegoż dnia pewien obywatel z Breslau doniósł, że w piwnicy na Flurstrasse leży trzech związanych mężczyzn. Obywatel ów nie udzielił im pomocy, ponieważ podejrzewał (zważywszy na ich łyse głowy), że mężczyźni ci uciekli z zakładu karnego. Na miejscu zdarzenia zjawił się patrol policyjny i mężczyźni zostali odwiezieni na komisariat, gdzie szybko ustalono ich tożsamość. Okazało się, że byli to trzej agenci z Königsbergu”.

Doktor Tugendhat przerwał, odłożył cygaro na brzeg popielniczki i głęboko się zamyślił. Nie miał gotowych fraz podsumowania artykułu. Powinno tam być święte oburzenie na policję, która dokonuje tajnych machinacji, a w swych szeregach toleruje czarne owce, powinno być jeszcze wyjaśnienie, że on sam zdradza wszystko, kierując się troską o to, by obywatele w wolnej republice mieli dostęp do wszelkich informacji, powinno być jeszcze kilka innych uszczypliwości pod adresem



różnych osób. Nie mógł jednak tego napisać, ponieważ przeszkadzało mu w tym uporczywe dzwonienie do drzwi. Zaklął wulgarnie. Przecież kazał swojemu asystentowi odprawiać wszystkich interesantów! Ten dureń czasami nie robi tego skutecznie. I tak było chyba w tej chwili!

Podszedł do drzwi gabinetu i ujrzał człowieka, którego bardzo dobrze znał jeszcze z lat gimnazjalnych. Od dnia poznania, od momentu, kiedy trafili do jednego pokoju w internacie, Tugendhat go nienawidził. Nienawiść ta wzrastała z dnia na dzień wraz z każdym kopniakiem, ciosem i uderzeniem, lecz nie była buntownicza, niszczycielska i gwałtowna, raczej ukryta, płacziwa i paraliżująca. Na początku następnego roku szkolnego okazało się, że znów zakwaterowano ich w jednym pokoju. Tugendhat na zimno postanowił, że teraz nastąpi chwila ostatecznego rozliczenia i że zabije swojego dręczyciela. I kiedy nadeszła noc, a Tugendhat wyciągnął nóż, aby go wbić w pierś, wtedy jego prześladowca wyciągnął rękę i kazał się w nią pocałować. Tugendhat zrobił to. Po prostu nie widział innego wyjścia. Kiedy po latach powiedział swojej bystrej i inteligentnej żonie, znanej dziennikarce sportowej, że dręczy go w koszmarach doznanie „paraliżu z nienawiści”, nie zrozumiała. Nie powiedział żonie całej prawdy. Przybysz, po wspólnych latach w internacie, stał się kimś bardzo ważnym, a przy tym wiedział o pewnych sprawkach Tugendhata, o których on sam wolałby zapomnieć.

Cofnął się, aby umożliwić wejście przybyszowi. Ten podszedł do maszyny, wykręcił z niej kartkę i uważnie ją przeczytał. Dwaj jego ludzie stali przy drzwiach.

- Wcale pan nie chce publikować tego artykułu, drogi doktorze - powiedział cicho przybyły - ani dzisiaj, ani nigdy...

- Będę miał puste miejsce na pierwszej stronie - wydukał Tugendhat.

- Niech pan napisze o niedawnym zniesieniu kalifatu w Turcji - uśmiechnął się mężczyzna. - To znacznie ciekawsze, a zrobi pan to świetnie!

- Tak jest, panie wiceprezydencie policji! - odpowiedział Tugendhat.

Dziesięć kilometrów na południe od Breslau,  
sobota 8 marca 1924 roku, kwadrans przed północą

Mock poprawił pościel na miękkim łóżku, wbudowanym w łukowatą alkowę. Potem rozsypał taśmy, które uwolniły dwie płachty pluszu, wiszące po obu stronach. Opadły z lekkim szmerem, oddzielając sypialnianą nyżę od reszty pomieszczenia. Mimo że Mock spędził w nim już prawie tydzień, nie miałby nic przeciwko temu, aby zostać tutaj jak najdłużej. Każda myśl o opuszczeniu tego ciepłego i czystego miejsca, wyposażonego w bieżącą wodę, wywoływała skurcz w piersi i prowokowała do głośnych przekleństw. Ta typowa obszerna służbówka bez okna, jakich wiele w zamożnych pałacach, była najwygodniejszym - jak dotąd - lokum zajmowanym przez Mocka. Nic z przeszłości nie mogło się z nią równać. Ani dwie małe izdebki, wypełnione smrodem przepoconych butów i wonią kleju kostnego, w których mały Ebi i mały Franzi spędzili dzieciństwo i młodość, a które - mimo

wysiłeków ich matki - nie były niczym innym niż ponurym lochem ze ścianami porośniętymi grzybem; ani poddasze w Breslau, zajmowane przez niego w latach studenckich, które odstręczało dziurawym dachem, wilgocią i małymi pluskwiakami, pasożytami gołębih piór; ani jego pierwsze i ostatnie własne mieszkanie w Breslau, przy Plessersstrasse, dawny sklep rzeźnicki z małym, ciasnym pięterkiem, gdzie obok wielkiej kafłowej kuchni tłoczyły się dwa łóżka i stół z czterema krzesłami. Ostatnie jego lokum z kratami, w którym przebywał od ponad pół roku, cieszyłoby się na rynku nieruchomości bardzo umiarkowanym zainteresowaniem. Wszystkie te kwatery łączyło jedno: brak wody i ustępu.

Nic dziwnego, że Mock w ciągu niespełna tygodnia zdążył się przywiązać do tej służbówki z wasserklo i umywalką, ukrytymi w kącie za parawanem, do łóżka z czystą pościelą, do smacznego gorącego jedzenia i termosów z aromatyczną herbatą, do rur z ciepłą wodą, ogrzewających pokój. Lubił nawet ciemne segregatory, które leżały na stoliku pod zielonym abażurem lampy i oferowały mu wieczorną, dość nudną - przyznawał w duchu - lekturę. Wszystkie one bez wyjątku wypełnione były pisanymi odręcznie dokumentami i raportami. Każdy z nich był opatrzony pieczęcią przedstawiającą profil człowieka w kapeluszu i w ptasiej masce na twarzy. Mock widział już kiedyś to wyobrażenie, lecz nie wiedział dokładnie gdzie. W trakcie czytania dokumentów przypomniał sobie nieoczekiwanie, że przedstawia ono lekarza walczącego z dżumą i że nosi tytuł Doktor Dżuma z Rzymu. Po tym wstępnym rozpoznaniu uruchomił się w głowie Mocka cały łańcuszek asocjacji. Zamknął oczy, powtarzał w myślach „doktor Dżuma”

i zagłębiał się we wspomnienia, usiłując znaleźć to właściwe. I znalazł. W pewnym momencie ujrzał preparaty anatomiczne w gabinecie przyrodniczym gimnazjum w Waldenburgu i usłyszał donośny głos wykładowcy biologii, profesora Rettiga:

- Panowie, lekarz ubrany jest w ceratowy płaszcz, maskę i kapelusz. Te części garderoby mają zabezpieczać medyka przed morowym powietrzem. Panowie są pewnie ciekawi, dlaczego maska lekarza jest zaopatrzona w ptasi dziób. To proste. Dziób albo inaczej wydłużony nos to organ węchu, ma on bezbłędnie wyczuwać woń dżumy...

Mockowi dźwięczały w uszach te słowa, kiedy studiował dokumenty mizantropów. Aż do dzisiaj nie pojmował, dlaczego symbolem sekty jest doktor Dżuma z Rzymu. I teraz nagle, tuż przed snem, dotarło do niego światło zrozumienia. Skręcił knot w naftowej lampie i wyciągnął się wygodnie pod pierzyną. Mizantropi uważają siebie za tych, którzy wypędzają dżumę z ludzkich społeczeństw, czyli trzebią grupy społeczne zdegenerowane i zarażone. To tak jak ja, pomyślał, i po raz nie wiadomo który odrzucił od siebie oczywiste pytanie.

- Czy to ważne, czego ode mnie chcą? – szeptał w głąbą ciemność. - Czy nie lepiej o nic nie pytać i mieszkać w tym najlepszym w życiu mieszkaniu? Niech ten stan trwa wiecznie! Może któregoś dnia zobaczę człowieka, który mi codziennie przez klapkę w drzwiach podaje jedzenie? A zresztą po co ja mam go widzieć? Do czego jest mi potrzebny widok ludzi?

Ostatnia myśl go przeraziła. Wskoczył z łóżka i klasnął bosymi stopami po kamiennej posadzce. Zrobiło mu się niedobrze. W myślach

zaczęły wracać metaforyczne określenia, które wyczytał w dokumentach. Czy naprawdę nie chce widzieć ludzi? - pomyślał. Staje się mizantropem, czyli „nieprzyjacielem ludzi”? Będę taki jak „lekarze dżumy ludzkiej”? Zgodzę się na śmierć i „wyciskanie wrzodów ludzkiego rodzaju”? Będę w stanie pochwalić czyn zimnego, wyrachowanego degenerata, który udusił dwie ładacznice, a przed śmiercią wyłamał im zęby, za co teraz cierpię? Albo gdy ktoś zabije chore psychicznie dziecko, tak jak to zrobił przywódca mizantropów z Leipzig, co opisano w pierwszym segregatorze? A w zamian? Co dostanę w zamian? To wszystko, o czym piszą. Dyskretne i skuteczne poparcie, uniewinnienie lub zatuszowanie wszelkich przewin, nową tożsamość, nowe nazwisko, władzę decydowania o ludzkim losie jednym pociągnięciem watermana, podróże do tropikalnych krain, piękne nagie kobiety, posłusznie klękające u stóp! Ta ostatnia wizja była tak sugestywna dla człowieka, który od siedmiu miesięcy nie dotykał kobiety, że trzeba było zastosować nadzwyczajne środki, aby ją skutecznie wytłumić. Uniósł rękę i wymierzył sobie piekącego klapsa w policzek.

- Idioto! - krzyknął. - Przecież nikt ci jeszcze niczego nie zaproponował. Korzystaj z chwili, durniu, i ciesz się, że nie musisz posłania dzielić z karaluchami!

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, kiedy rozległ się huk otwieranych drzwi. Nie był to odgłos towarzyszący dostarczaniu jedzenia. Na śniadanie było za wcześnie, na kolację - za późno. W drzwiach stało trzech ludzi ubranych jak doktor Dżuma z Rzymu. Ich sylwetki były obrysowane wątlm światłem, padającym gdzieś zza pleców. Jeden z nich

wszedł do pokoju, podszedł do stolika i zaczął zbierać segregatory. Drugi zapalił lampę naftową, a trzeci wysoko uniósł ręce. W każdej dłoni trzymał duży stojący wieszak. Postawił je na podłodze. Na jednym z nich powiesił płaszcz i garnitur Mocka, a na czubku wieszaka zatknął jego melonik. Na drugim znalazła się długa ceratowa peleryna, kapelusz i maska z ptasim dziobem.

- Wybór należy do ciebie - zahuczał donośny głos.

Breslau, niedziela 23 marca 1924 roku,  
piąta po południu

Podczas niedzielnych rozgrywek w klubie szachowym „Andersen”, nazwanym tak na cześć jednego z najznakomitszych szachistów niemieckich ubiegłego wieku, zajęte były wszystkie stoliki, a wokół nich tłoczył się spory tłumek kibiców. To zainteresowanie wywołał mecz szachowy ze słynnym berlińskim klubem „Skoczek”. Pochodzący z Breslau Adolf Anderssen, gdyby ożył, nie byłby chyba dzisiaj szczęśliwy, widząc poczynania członka klubu, któremu patronował. Strażnik więzienny Otto Oschewalla, choć grał z jednym z najsłabszych berlińskich zawodników, popełniał błąd za błędem. Najpierw przyjął zaproponowaną przez białe nudną i przewidywalną partię włoską, a potem - ponosząc ciężkie straty materialne - nie wykorzystał możliwości ostrej i zjadliwej obrony, czyli szansy zablokowania gońcem małej roszady przeciwnika. Przegrawszy wstępną walkę o centrum, lawirował teraz uparcie, nie zwracając uwagi na posykiwania

zdegustowanych kibiców.

Oschewalla, skądinąd całkiem dobry szachista, był zdekoncentrowany, bo miał dalsze plany na dzisiaj. W każdą sobotę i niedzielę przyjeżdżał w interesach do Breslau z polskiego Śląska jego kuzyn Rudolf Glufke, który w nadodrzańskiej metropolii nawiązywał handlowe kontakty. Osoba kuzyna nie była jednak dla Oschewalli tak interesująca, jak powabna i rubensowskich kształtów jego żona Lise. Gdy mąż udawał się na różne karciane spotkania, alkoholowe libacje i sekretne narady, w czasie których przekonywał właścicieli składów i fabrykantów pieców, aby kupowali kafle firmy Glufke&Szyndzielorz, żona w ramionach „dużego Ottona”, jak go nazywała, doznawała bardzo rozkosznych, intensywne uniesień. Oschewalla zupełnie dla niej oszalał, dzień przed spotkaniem nie mógł spać, nie mógł jeść ani pić. Zwijał się w mękach oczekiwania i nieustannie myślał o chwili, kiedy pobiegnie do przytulnego hoteliku „Pod Rucianym Wiankiem” na Neue Taschenstrasse, w którym wbrew nazwie bywało bardzo mało dziewic, położy odpowiedni banknot na ladzie i - nie dostrzegając porozumiewawczego mrugnięcia portiera i jego obleśnego uśmiechu - wpadnie do jednopokojowego gniazdko, gdzie w przeźroczystym peniarze i pantofelkach z pomponikami będzie na niego czekać sładka Lise o barokowych kształtach.

Nic dziwnego, że Oschewalla popełniał bład za błędem i kiedy groził mu mat w sześciu ruchach, położył na szachownicy króla, poddając partię. Spojrzał na zegarek, a potem bez słowa pożegnania, nie podawszy ręki zwycięzcy ani nie spojrzawszy na nikogo, wybiegł chyłkiem z sali.

Wszyscy sądzili, że Otto Oschewalla pierzchnął ze wstydu. Jeden z kibiców, stojący przy całkiem innym stoliku, znał prawdziwą przyczynę tej ucieczki.

Breslau, niedziela 23 marca 1924 roku,  
szósta po południu

Cornelius Wirth starał się zdecydowanie rozgraniczać sprawy osobiste i zawodowe. Nie pozwalał, aby te dwie sfery jego życia w jakimkolwiek punkcie się przecinały. Nigdy nie opowiadał ani swojej ciekawskiej długoletniej kochance, ani jej jeszcze bardziej ciekawskiej małoletniej siostrze - którą z rozpędu również utrzymywał - o wydarzeniach dnia powszedniego w niełatwym procederze, jaki od lat uprawiał. Był zresztą przekonany, że naraziłyby się na ich lękliwe i piskliwe wrzaski, gdyby ujawnił, czym zajmuje się na co dzień. Choć ich pozycja w jego życiu nie uprawniała do żadnych pytań i pretensyj, tolerował - sam nie wiedząc dlaczego - wybuchy złości i hysterii i zbywał je mruknięciami i monosylabami, co zresztą żadnej z nich nie dziwiło i potwierdzało opinię o nim jako „prawdziwym mężczyźnie”, który milczy i robi swoje. Z drugiej strony nie puszczał pary z ust, kiedy o sprawy sercowe indagowały go te, z którymi najchętniej oddawał się uciechom. Wobec wścibskich prostytutek, które chciałyby wiedzieć, ileż to razy dziennie „słodki Corni” zaszczyca swoją kochankę w alkowie, był milczący, zniecierpliwiony i ostatecznie oddalał od siebie takie, które przekraczały granicę natręctwa. Po prostu nie mieszał rozrywek z pracą.

Dlatego się nie cieszył, kiedy jego patron Eberhard Mock proponował mu prywatne spotkania w burdelach albo w hotelikach, które nie



były niczym innym jak zakamuflowanymi burdelami. Mock - w odróżnieniu od Wirtha - często traktował te przybytki jak swój dom. Był bowiem kawalerem i stałym bywalcem lupanarów, a ponadto nie miał od kilku dobrych lat utrzymanki, ponieważ - w odróżnieniu od Wirtha - był impulsywny i niewyrozumiały wobec krzyków, pisków, hysterii i wszelkich prób zawłaszczania swojej osoby. Ladacznice natomiast te zachowania przejawiały rzadko, a najczęściej wcale. Dlatego lubił je z wzajemnością i bez żadnego głębszego sentymentu. Często udawało mu się przebić przez ich pancerz lekceważenia i wulgarności; wtedy docierał do delikatnego wnętrza zboliałych małych dziewczynek, które chcą być przytulane i ochraniane. Oczywiście były wśród nich i takie - Mock w chwilach złości twierdził, że nawet stanowią większość - które przy nim mruczały niczym rozespiane kocięta, a po zainkasowaniu najczęściej podwojonego honorarium szydziły poza oczami z „sentymentalnego gołąbka”. Choć o tym wiedział, nie żałował im czułości, za co - szczerze lub nieszczerze, z zaangażowaniem lub mechanicznie - dawały mu słodkie chwile, które Napoleon nazywał „odpoczynkiem wojownika”.

Mock wyznaczył zatem telefonicznie miejsce spotkania w hoteliku „Pod Rucianym Wiankiem” o godzinie szóstej po południu. Zrobił to w chwili, kiedy zegar na ratuszu wybijał trzy kwadransy na szóstą. Wirth, który właśnie był przy deserze ze swoimi paniami w willi na Dahnstrasse, klnąc, wszedł do samochodu, ryknął silnikiem i ruszył tak gwałtownie, że jego osobistemu strażnikowi Heinrichowi Zupitzcy ledwie udało się wskoczyć do ekskluzywnego protosa i zająć miejsce

obok szefa.

Pięć po szóstej byli już w pokoju numer 12 we wspomnianym hoteliku i patrzyli z niedowierzaniem oraz bezgranicznym zdziwieniem na Mocka wygodnie rozpartego na kanapie. Miał w zębach cygaro, a kciuki obu dłoni zatknął za kieszonki kamizelki. Łóżko było w oplakany stanie, prześcieradło wywleczone do połowy na podłogę, a kołdra skopana i zrolowana u wezłowania. W powietrzu unosił się jeszcze zapach tanich damskich perfum. Mina Mocka i jego uśmiech mówiły im wiele. Dobrze sobie poruchał, myślał Wirth, a zaraz będzie długa i głupia mowa o zaciskaniu imadła, następnie jakieś greckie lub rzymskie dygresje, a na koniec zastosowanie szantażu w praktyce. I to ma być niedziela! Zamiast muzyki z patefonu i wspólnego jedzenia strudla z moją małą myszką i jej siostrą.

- Tak, tak - uśmiechał się Mock, jakby czytając w myślach Wirtha. - Uczyć się, moi kochani, wciąż się uczyć! Dzisiaj odbędzie się kolejna lekcja zastosowania imadła. Dzisiejsze imadło będzie naturalne i raczej improwizowane. Nie miałem czasu, aby dokładnie sprawdzić, jaki jest słaby punkt człowieka, z którym się zaraz spotkamy. Dlatego to czułe miejsce będziemy musieli zlokalizować *ad hoc*. Jestem pewien, że dzisiejszą lekcję pojmiecie bardzo szybko, ponieważ odbywa się ona w takich samych warunkach jak poprzednia. W tanim hoteliku-burdeliku. Jej temat brzmi... No jak brzmi, Wirth?

- Znajdowanie słabego punktu - odpowiedział niechętnie Wirth.
- To było wprowadzenie do lekcji. A teraz do rzeczy!

Mock, nie wypuszczając cygara z ust, wstał, ruszył i nakazał Wirthowi i Zupitzy aby poszli za nim. Kiedy znaleźli się w korytarzu, Mock nachylił się do ucha i coś mu szepnął. Zupitza zrozumiał. Podszedł do drzwi i włożył wytrych w dziurkę od klucza. Uchylił je lekko. Usłyszeli okrzyki, jakie wydaje z siebie bardzo zadowolona kobieta. Drzwi skrzypnęły. Okrzyki nie ustawały, wręcz się wzmacniały. Dołączyło się do nich niskie posapywanie samca. Mock wszedł do pokoju. Na pierwszym planie widoczne były poruszające się kobiece plecy i pośladki. Białe i nader obfite. Nad szyją kręciły się od wilgoci krótko przycięte włosy. Mock oderwał oczy - nie bez żalu - od damskich krągłości i poszukał wzrokiem twarzy mężczyzny. Nie dojrzał jej. Ostatnim widocznym szczegółem jego ciała był obojczyk, wystająca grdyka i broda widziana od dołu. Głowa zwieszała się w dół poza krawędź łóżka.

Mock dał znak swoim towarzyszom, aby się nie ruszali. Sam obszedł łóżko i przyjrzał się kochankom. Żadne z nich nie zauważyło jego obecności, ponieważ obydwójce mieli zamknięte oczy. Mock wydał z siebie wrzask dziecka, które chce znienacka kogoś nastraszyć. Nie wypuścił z ust cygara. Mocno chwycił mężczyznę za uszy sterczące po obu stronach głowy, nabrzmiałej od spływającej krwi.

- Przytrzymać go za ręce - krzyknął Mock, a sam ścisnął dłońmi policzki mężczyzny, jakby chciał unaocznić swym kompanom, co to znaczy imadło.

Kobieta milczała i w przerażeniu patrzyła na Mocka i jego dwóch towarzyszy. Jej kochanek próbował się wyslizgnąć z uchwytu Wirtha i Zupitzy. Bezskutecznie wił się w łóżku, usiłując przewrócić się na brzuch.

Po kilkunastu sekundach się poddał. Leżał spokojnie i szeptał:

- Puście mnie, błagam! To boli!

Równie skutecznie mógłby odwoływać się do litości napastników, deklamując Króla Olch Goethego.

- Mówisz, że boli? - uśmiechnął się Mock, naciskając na jego brodę, tak że czerwona od krwi twarz była coraz bliżej podłogi. - A wcześniej nie bolało, co, Oschewalla? Wcześniej było ci dobrze. Błogo, bardzo błogo! Ostro szarpie, kiedy krew napływa do głowy, nie? Lubisz takie fiku-miku, oj, lubisz!

- Puście mnie, proszę!

- Puścić! - rozkazał Mock.

Oschewalla wstał chwiejnie i wciągnął na siebie spodnie. W pewnej chwili zaplątał się w nogawki i runął ciężko na łóżko. Kobieta schowała się pod kołdrę. Przykryła nawet głowę.

- Widzisz, jaki jestem dla ciebie dobry? - Mock usiadł na krześle i włożył kciuki do kieszeni kamizelki. - Puściłem cię... Krew odpłynęła od głowy... Wszystko się uspokoi... Tak, tak, Otto, wszystko wróci do normy... - mówiąc to, poklepał leżącego po nabrzmiałych policzkach. - Ale mogę być jeszcze lepszy... Mogę ci pozwolić na dalsze uniesienia w ramionach tej Wenus z Willendorfu...

- Co mam zrobić? - Oschewalla wciągnął w końcu spodnie i usiadł na brzegu łóżka.

- Odpowiedzieć na pytanie. - Mock nagle zrobił się poważny. - Proste pytanie. Ale najpierw wstęp. Nie nudziłem się w twoim więzieniu. Wiesz dlaczego? Bo wciąż myślałem o ostatnich słowach tego degenerata, któremu w celi złamałem kark. Mam ci je powtórzyć czy może je pamiętasz?

- Nie pamiętam.  
- „Zapłacił mi, Oschewalla zapłacił mi za twoje pohańbienie!”  
Tak to brzmiało. - Mock wrzucił do miednicy zgasłe cygaro. -  
Pamiętam dokładnie te słowa, ale ich nic a nic nie rozumiem. Już  
wiesz, co ja tutaj robię?

- Wiem. - Oschewalla włożył koszulę. - A co ja z tego będę miał,  
że ci powiem?

- Spokój - odpowiedział Mock - święty spokój. Wyjdę stąd i  
zostawię w spokoju ciebie i twoją panią w waszym gniazdku miłości.  
Dlaczego płaciłeś Dziallasowi za to, żeby dał mi w kość, żeby mnie  
pohańbił tak jak nieboszczyka Priessla?

- Ja sam nie płaciłem - odrzekł spokojnie strażnik - jedynie  
przekazywałem czyjeś pieniądze...

- Czyje?

- Heinricha Mühlhausa, szefa policji kryminalnej...

Zapadła cisza. Mock wpatrywał się w oczy Oschewalli, które  
zdawały się ciemnieć, podczas gdy jego policzki bieleły. Mógłby  
poprosić o powtórzenie tego nazwiska, ale nie musiał. Oprócz niego  
padło bowiem i imię, i stanowisko policyjne. Dotychczas to nazwisko  
było dla niego drogowskazem, jego właściciela szanował i wiązał z  
nim najlepsze nadzieje, pojawiało się ono w prasie, otoczone  
pięknymi przymiotnikami, i dodawało otuchy mieszkańcom Breslau.  
Do dzisiaj. Od dzisiaj bowiem tak się nazywa ktoś, kto swoimi  
pieniędzmi napędzał nienawiść zwyrodnialca Dziallasa do Mocka,  
ktoś, kto chciał z Mocka zrobić miękką wszawą gnidę, więziennego  
karalucha. Nie tylko nie musiał prosić o powtórzenie tego nazwiska,  
ale nawet nie chciał.

Odrzucił się bez słowa od pary kochanków i ruszył do wyjścia. Wirth i Zupitza poszli za nim. Ten pierwszy chciał ironicznie zapytać, jaki to miał być nowy rodzaj imadła oraz czego to niby się dzisiaj nauczyli. Nie zapytał, ponieważ czegoś się jednak dzisiaj nauczył z Mockowej teorii imadła. Już dawno zauważył ciekawą prawidłowość, lecz dopiero teraz w pełni pojął znaki i prognostyki. Kiedy Mock robi długie wstępy, bawi się łacińskimi maksymami i starożytnymi dykteryjkami, wtedy imadło działa słabo albo nie działa w ogóle. Kiedy - tak jak teraz po usłyszeniu tego nazwiska - milczy, zaciska zęby i idzie bardzo szybkim krokiem, jest to oczywisty znak, że niedługo zastosuje imadło ciężkiego kalibru. Że jego cel się nie wymknie. I że będzie bolało.

Heinrich Zupitza również się czegoś nauczył tego popołudnia. Dotąd nie wiedział, że podczas erotycznego galopu „mocniej szarpie”, kiedy ujeżdżany zwiesi głowę w dół.

Breslau, niedziela 23 marca 1924 roku,  
dwadzieścia minut po siódmej wieczór

W Breslau, jak zwykle w czasie Wielkiego Postu, kościoły i sale koncertowe rozbrzmiewały muzyką pasyjną. Muzycy ze Schlesisches Landesorchester i chór Orchester-Verein, a nawet amatorskie zespoły męskie i żeńskie, których nie brakowało w stolicy Śląska, porzucały na ten czas lekki, a nawet patriotyczny repertuar i uderzały w wysoką, patetyczną nutę męki, zdrady i ukrzyżowania. Radca kryminalny Heinrich Mühlhaus nie przepadał za oratoriami pasyjnymi, wszelkie

requiem budziły w nim odruch niechęci, a Hiobowe skargi - uśmiech politowania. Toteż ogromnie się ucieszył, że podczas koncertu abonamentowego na scenie muzycznej teatru Lobego nastąpiła z jakichś nieznanych powodów zmiana i zamiast *Pasji według świętego Jana* Bacha publiczność wysłucha *Piątej symfonii* Mahlera i uwertury *Leonora* Beethovena, a orkiestrą będzie dyrygował sam Georg Dohrn.

Wieczór zaczął się dla Mühlhausa dość pechowo. Jego małżonka włożyła na dzisiejszy koncert duży, staromodny kapelusz. Można by to próbować zrozumieć, gdyby nigdy nie była na koncercie i gdyby jej mąż nie zwracał uwagi na zasady. Ale tak przecież nie było. Na koncerty uczęszczała od dwudziestu lat w towarzystwie męża policjanta, o którym wszystko można by powiedzieć, ale nie to, że nie przestrzegał przepisów i regulaminów. Dlaczego zatem w ogóle sięgnęła dzisiaj po to nakrycie głowy, skoro na każdym bilecie i plakacie od prawie pięćdziesięciu lat pojawiały się te same słowa: „Nie zezwala się wielce szanownym damom na pojawianie się w sali koncertowej w kapeluszach”? To było niewytłumaczalne, podobnie jak to, że bileter wpuszczający państwa Mühlhaus na salę nie zwrócił uwagi na niezgodny z regulaminem strój pani. Dopiero posykiwania i głośne uwagi siedzących za nimi osób uświadomiły Mühlhausowi błąd biletera. Spojrzał na zegarek. Koncert miał się rozpocząć za trzy minuty. Nie bawiąc się w wyjaśnienia, zdjął żonie kapelusz z głowy i pobiegł ku wyjściu, modląc się, aby do szatni nie było dużej kolejki. Jego prośby zostały wysłuchane. Kiedy podawał szatniarzowi żeton, usłyszał pierwszy dzwonek. Ostrzeżenie widoczne na każdym abonamencie i plakacie: „Podczas muzyki drzwi pozostają zamknięte”, pamiętał dokładnie.

Poganiał zatem wzrokiem szatniarza, kiedy ten leniwie rozsuwał palta, aby dostać się do półek na kapelusze. W końcu Mühlhaus otrzymał specjalny żeton i wtedy zadzwoniło po raz drugi. Odwrócił się i chciał nabrać rozpędu, aby wbiec w ostatniej chwili na salę. Nie zrobił tego jednak. Zamarł. Przed nim stał Eberhard Mock w towarzystwie dwóch mężczyzn, których ponure fizjonomie już gdzieś Mühlhaus widział. Jeden z nich, wysoki i potężnie zbudowany, trzymał rękę w kieszeni płaszcza. Była ona wypchana. Tkwił w niej jakiś długi, wąski przedmiot. Mogła to być lufa pistoletu, a mogło być wieczne pióro. Mühlhaus przekonałby się o tym łatwo, gdyby wszczął alarm. Spojrzał na mężczyznę w płaszczu i zrezygnował. W jego głowie pojawiła się absurdalna myśl, że bileter i jego własna żona w swoim piekielnym kapeluszu była w zмовie z mężczyznami. Jego podejrzliwy policyjny umysł nie przyjmował do wiadomości, że był to całkowity przypadek, który pomógł Mockowi. Wtedy rozległ się ostatni, trzeci dzwonek.

Breslau, niedziela 23 marca 1924 roku,  
wpół do ósmej wieczór

Na dachu teatru Lobego przy Lessingstrasse było bardzo zimno. Od strony Odry wiał porywisty wiatr. Nie przeszkadzał jednak żadnemu z czterech przebywających na dachu mężczyzn, z których trzech stało, a jeden pólleżał. Wirth i Zupitza podziwiali panoramę miasta, mimo że była ona mniej okazała niż ta, którą mogliby ujrzeć z kościoła Świętej Elżbiety albo choćby z wieży ratusza. Ponieważ nie dane



im było nigdy znaleźć się w tych najwyższych punktach miasta, nie grymasili teraz i wlepiali wzrok w budynek Rejencji Śląskiej przy Lessingplatz, w wieżę katedry Świętego Jana Chrzciciela i w lekką sylwetkę Kaiserbrücke. Mocka nie interesowały te widoki, i to wcale nie dlatego, że widział Breslau z większych wysokości. Całą jego uwagę skupiał bowiem Heinrich Mühlhaus, pólężący na stromym dachu. Twarz szefa policji kryminalnej była szara ze strachu. Tę trupa barwę podkreślały mocno zaciśnięte ciemne powieki. Poły staromodnego żakietu i nogawki sztuczkowych spodni w szaro-czarne paski były powalane cementem, jaki pozostał po niedawnym remoncie dachu. Cały drżał. Jedną ręką trzymał się komina, drugą przesuwiał na oślepie po dachu, usiłując znaleźć coś, co mogłoby mu służyć za punkt zaczepienia drugiej ręki - jakiś piorunochron, występ dachu, krata na okienku... Nic takiego jednak nie było w jego zasięgu i drżenie ciała wzmagalo się, przechodząc w jakiś chorobliwy spazm. W Mocku, który go niemalże hipnotyzował wzrokiem, budził on tyle współczucia, co obejmowany przez niego komin.

- Pamiętasz upalny czerwcowy wieczór, kiedy w podartych spodniach przyszedłem na miejsce zbrodni, gdzie zamordowano dwie prostytutki, Menzel i Hader? - zapytał Mock drżącym ze wściekłości głosem. - Potem mnie odwiozłeś do domu dorożką, pamiętasz? Wtedy mi mówiłeś, że nie zdałem egzaminu i nie mogę być w policji kryminalnej. *Navigare necesse est*, pamiętasz, Mühlhaus?

Mühlhaus skinął głową. Miał wciąż zamknięte oczy.

- Wtedy bardzo mnie coś zdziwiło - głos Mocka przestał drzeć, stał się pewny i dobitny. - Nie chciałeś się zbliżyć do okna w mieszkaniu tego kłótniwego starucha Scholza, pamiętasz?

- Nie pamiętam - odpowiedział Mühlhaus.

- No to ja ci przypomnę. Posłuchaj uważnie. Pamiętasz szerszenia? Latał w tym pokoju, w którym zlał się w portki radca Scholz. W pewnym momencie szerszeń usiadł na firance. Poprosiłeś mnie, abym wygonił go z pokoju. Odmówiłem. Na kacu mam różne lęki. Bałem się tego szerszenia. Wtedy ty zbliżyłeś się do niego z gołymi rękami. Zaimponowałeś mi. Co za męstwo! Nie ma co, prawdziwy pogromca dzikich zwierząt! A dalej było tak. Szerszeń odleciał z firanki i usiadł na parapecie. A ty cofnąłeś się, odszedłeś od parapetu, mimo że staruch darł mordę, żebyś wyrzucił owada z pokoju. Dlaczego tak się zachowałeś, powiedz mi, Mühlhaus? Dlaczego wtedy odszedłeś od otwartego okna na czwartym piętrze? Nie bałeś się szerszenia, ale bałeś się otwartego okna? Tak było?

Mühlhaus milczał, lecz już otworzył oczy. Wpatrywał się w Mocka. W jego spojrzeniu była chłodna obojętność człowieka pogodzonego ze śmiercią. Mock zrozumiał, że prędzej go zabije, niż się czegoś od niego dowie. Wtedy wpadł w panikę. Była lekka jak tchnienie nadodrzańskiego wiatru i równie płocha. Po niej nadeszła ciężka, ponura pewność siebie. Choć nie wiedział, czy imadło było właściwe, w gruncie rzeczy nie dbał o to. Przed ostatecznym przeistoczeniem musiał załatwić tylko jedno. Sprawę Mühlhaus. Ale była to dziwna sprawa, ponieważ jej finał był mu całkowicie obojętny. I tak po wszystkim nastąpi cisza, a on sam pozostanie pusty i wypalony. Albo

Mühlhaus mu powie, dlaczego chciał go zniszczyć w więzieniu rękami Dziallasasa, albo zginie. I jedno, i drugie jest godziwym i słusznym zakończeniem tej sprawy. Tertium non datur. Nie ma wyboru, nie ma dylematu.

- Już wiesz, dlaczego jesteś teraz tutaj, na krawędzi dachu? Jesteś tutaj, bo brakuje mi szczerzej rozmowy z tobą. Chcę coś wyjaśnić... Dlaczego przez Oschewallę przekazywałeś pieniądze tej świni Dziallasowi, aby mnie upodlił? - Głos Mocka był beznamiętny. - To wszystko mi szczerze wyjaśnisz. A tutaj na dachu będziesz ze mną bardzo szczerzy, prawda, ty parszywy gadzie? No, mów, dlaczego płaciłeś Oschewalli, ty dziuro w dupie!

Mimo iż głos nadwachmistrza był beznamiętny, to jednak wulgarne słowa zaniepokoiły Mühlhausa i sprawiły, że mimo wszystko spuścił wzrok. Klęknąwszy przy kominie, pochylił głowę tak nisko, jakby bił przed Mockiem pokłony. Ten zdjął melonik i pozwalał, aby zimny wiatr osuszał pot lejący się po twarzy. Spojrzał na zegarek, mocno chwycił się piorunochronu i podjął decyzję. Jeśli w ciągu minuty Mühlhaus nie odpowie, zostanie zabity. Jego ręka, przytrzymująca się rozpaczliwie komina, zostanie zmiażdżona obcasem. Wtedy, pozbawiony punktu zaczepienia, zacznie się ślizgać na pochyłym dachu, drugą ręką zatoczy łuk. Niczego się nie złapie i zsunie w dół. A jego czaszka pęknie na wypukłej kostce brukowej cztery piętra poniżej. Wokół głowy rozleje się ciemna kałuża.

- Wszystko panu powiem - rzekł Mühlhaus po trzydziestu sekundach - ale nie tutaj, nie w tej pozycji, nie na tej pochyłości, nie na tych śliskich dachówkach. Będę tam gdzie pan i wszystko panu powiem...

- Nie - przerwał mu Mock. - Zrozum. Albo mi powiesz, albo mi nie powiesz, albo ocalejesz, albo zginiesz. Jedno i drugie wyjście całkowicie mnie zadowala. Nie może natomiast być, że jednocześnie mi nie powiesz i ocalejesz. Tertium non datur. A teraz wszystko gadaj stamtąd, gdzie jesteś.

- Dobrze - Mühlhaus obiema rękami objął komin i przycisnął się do niego. - Od siedmiu lat tropię straszną, tajemniczą sektę. Nazywają się „mizantropami”. To najgorsi mordercy z możliwych. Żeby dostać się do sekty, trzeba kogoś bezkarnie zabić. Ofiarą musi być człowiek z nizin. Bezdomny, prostytutka... Spoiwem grupy jest strach przed samymi sobą. Każdy wie o zbrodni każdego, każdy w dowolnej chwili może zadenuncjować każdego. Ale wtedy sam na siebie ukreśliłby bicz, bo donosząc policji na innego, sam naraża się na zemstę. Zadenuncjowany w odwecie doniesie na donosiciela. I tak ruszą kostki domina. Ale nigdy jeszcze żadna kostka domina nie upadła. Ta organizacja jest doskonała przez swe milczenie, a jednocześnie znienawidzona przez swoją zuchwałość. Czyż może być większa prowokacja dla policji kryminalnej niż bezkarność mizantropów? Jak ja ich nienawidziłem, mimo że zabijali wyrzutków, bandytów i dziwki! Mock, jak ja ich nienawidzę!

- Do tego stopnia, że chciał pan mnie zabić w więzieniu rękami łotra i zboczeńca, tak? Chciał pan wniknąć w ich szeregi, zabijając pijaka i degenerata, za jakiego mnie pan uważa, drogi abstynencie! Do tego stopnia pan ich znienawidził?

- Pozwoli mi pan mówić czy będzie mi pan przerywał wybuchami hysterii? - Mühlhaus spojrzał z irytacją na Mocka. - Zaimponował mi pan teraz swoją przenikliwością. Idzie pan w dobrym kierunku, a ponadto

widzę, że moja opowieść pana zainteresowała...

- Skąd pan o tym wie? - Mock nie mógł ukryć zdziwienia w głosie.

- Bo przestał mi pan mówić na „ty”. No co? Proszę się przyznać. Zainteresowałem pana czy nie? Jeśli tak, to może spokojnie będę mógł usiąść obok pana, tam wyżej, na płaskiej powierzchni, i dokładnie wszystko opowiedzieć?

Mühlhaus obejmował komin w ten sposób, że jedna dłoń ścisnęła przegub drugiej. Podciągnął wyżej nogi i ścisnął kolanami komin. Wtedy na kilka sekund oderwał jedną dłoń od drugiej. Na przegubie odznaczała się czerwona pręga.

- Widzicie, chłopaki - Mock zwrócił się do kompanów - ten dziadyga jest jeszcze bardzo sprawny. I co najgorzej, niepodatny na moje imadło. Wcale nie ma lęku wysokości, jak przypuszczałem. Na krawędzi dachu wykonuje jakieś akrobacje... Mówi bez żadnego lęku, całymi, ładnie zbudowanymi zdaniami... Jest pewien, że może mi stawiać warunki... Co mam z nim zrobić, chłopaki?

Wirth i Zupitza nawet nie patrzyli na Mocka. Znali doskonale sytuację, kiedy podczas przesłuchań zwraca się on do nich z takimi pytaniami. Były one retoryczne, ponieważ i tak wiedział, „co ma robić” z przesłuchiwanym. A oni doskonale znali ciąg dalszy, który ich patron nazywał „przełamanie frontu pod Tannenbergiem”. Dlatego milczeli i patrzyli na wszystko z całkowitą obojętnością. Najmniejszego zdziwienia nie wzbudziła ani jego wysoko uniesiona noga, ani chrzęst palców dłoni Mühlhausa, kiedy obcas Mocka przycisnął ją do ceglanej ściany komina i rozgniał jak kraba, ani przeraźliwy krzyk

ofiary i rozpaczliwy rzut jej drugiej ręki. Mühlhaus opuścił zmiażdżoną dłoń wzdłuż ciała. Trzymał się teraz komina tylko jedną, zdrową ręką. Kostki u nasady palców powoli bieleły.

- Nie stawiaj mi warunków, skurwysynu - powiedział Mock bardzo powoli - i kontynuuj. Nie musisz mówić okrągłymi zdaniami.

- Hermann Utermöhl, mój tajny agent, morderca, który mi służył tak jak te twoje dwa psy... On zabił na moje polecenie prostytutki Menzel i Hader - mówił Mühlhaus z zaciśniętymi oczami. - To były kanalie, złe i zdegenerowane. Zabicie ich, jako wyrzutków społeczeństwa, było pierwszym warunkiem wniknięcia w szeregi mizantropów. Utermöhl już prawie dostał się do sekty... Żle mówię, powinienem: „do grupy”, bo u mizantropów brak jakiegokolwiek idei religijnej. Oni się popierają dla kariery, dla spełniania najdzikszych żądań i tak dalej... Zresztą po co ja ci to mówię, przecież dobrze o tym wiesz... Ale wróćmy do Utermöhla... Chyba zaczęli go podejrzewać... Zniknął... Chyba go zabili... Wtedy pomyślałem o tobie... Od dawna planowałem wykorzystanie ciebie, Mock, w walce z mizantropami, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Jesteś gwałtowny, bezmyślny i przebiegły. Gdyby ci dać ognisty miecz, pozabijałbyś wszystkich na przedmieściach i w zaułkach... „Kara”... Poena... Takie słowo powinno być na twoim herbie, gdybyś go miał... I wtedy...

Mock schylił się i chwycił Mühlhausa za przegub. Oderwał go od komina. Ujrzał przerażone oczy szefa policji kryminalnej. Nagle zamiast przerażenia pojawiła się w nich ulga. Mock zobaczył wyraźnie tę ulgę w oczach Mühlhausa i usłyszał ją w jego gwałtownym wydechu,

kiedy wciągał jego szczupłe ciało na pokrytą papą równą powierzchnię nad dachówkami. Mühlhaus leżał bezwładnie. Mock usiadł obok niego i zapalił papierosa. Wypuszczając dym, zapytał:

- Wziąłeś moje odciski palców, kiedy byłem pijany, a potem wyrzuciłeś mnie w lesie za Deutsch Lissa, tak?

- Tak - odpowiedział Mühlhaus, ciężko sapiąc - zabrałem ci pasek i tym paskiem Utermöhl udusił te dwa potwory, te dwie harpie...

- Już wtedy wiedziałeś, że dzięki tym odciskom wsadzisz mnie do więzienia? Co to miało wspólne z polowaniem na mizantropów?

- Kiedy zabierałem twój pasek i zdejmowałem odciski palców, nie wiedziałem jeszcze, kiedy i jak je wykorzystam. Wiedziałem tylko, że mam cię w garści. Że mogę cię szantażować i kazać ci robić różne rzeczy w nagonce na mizantropów... Mogę ci na przykład kazać kogoś zabić... Jakiegoś degenerata... Na przykład pederastę Norberta Rissego...

- Tego, który zdeprawował twój syna?

- Proszę cię, Mock... Jeśli chcesz mówić o Jakobie, to lepiej od razu zepchnij mnie z tego dachu...

Przed kilku laty późną listopadową nocą Mock widział ten sam potworny ból w oczach szefa policji kryminalnej. Niejaki Norbert Risse, właściciel pływającego po Odrze luksusowego domu publicznego, zaczął niewłaściwie traktować policjantów z decernatu IV. Wcześniej był usłużny, bez szemrania wpuszczał Mocka, Smolorza czy Domagallę na pokład, przekazywał natychmiast informacje o zatrudnianych przez siebie nowych dziewczynach i młodzieńcach, aż tu nagle śmiertelnie obraził się na Domagallę, który - tyleż głupio, co niefortunnie -

zażartował niegdyś z jego greckich gustów. Wtedy burdeltata zerwał wszelkie kontakty z decernatem IV co dla niego, człowieka interesu, który powinien sobie zdawać sprawę z nieuniknionego, było głupie i bezsensowne. A nieunikniona była wizyta policji obyczajowej na statku. Pewnej listopadowej nocy funkcjonariusze z decernatu IV pod wodzą samego Illsheimera podpłynęli barkami policji rzecznej pod statek „Wölsung”, wpadli na pokład i rozpoczęli rewizję luksusowych kabin. W jednej z nich znaleziono znanego malarza w towarzystwie studenta Akademii Sztuki i Rzemiosł Artystycznych. Obaj byli nadzy, a ich nosy pokrywał biały proszek. Tym, który wpadł do owej kabiny, był właśnie Eberhard Mock. Widział niegdyś Jakoba Mühlhausa, kiedy ten odwiedzał swojego ojca w Prezydium Policji. Było to jednak dobrych kilka lat wcześniej i Mock nie miał pewności, czy właściwie go rozpoznał w zamroczonym kokainą młodzieńcu. Postanowił wezwać Heinricha Mühlhausa. Kiedy godzinę później szef policji kryminalnej wszedł do kabiny na „Wölsungu”, Mock spojrział w jego oczy i zrozumiał, że się nie pomylił. Poczul wtedy ciepłą falę współczucia. Taki sam wyraz twarzy Mühlhaus miał teraz. Ale teraz nie było w Mocku ani krztyny współczucia. Był tylko gniew i niepowstrzymana, śwędząca ciekawość.

- Dobra, mów dalej - powiedział.

- Po zdjęciu odcisków palców byłeś mój... Ale wciąż nie wiedziałem, jak cię wykorzystać. Kiedy misja Utermöhla zakończyła się niepowodzeniem, a on sam zniknął, brałem pod uwagę różne rozwiązania. I nagle przypomniałem sobie skargę Oschewalli na ciebie, która wcześniej trafiła przez pomyłkę na moje biurko. Kiedy czytałem wtedy



ten dokument, prawie czułem twoją wściekłość, którą wyladowałeś na więziennym cerberze. Byłeś wściekły nie na strażnika jednak, lecz na więźniów Dziallasa i Schmidtkego, za to, że zniszczyli Priessla. Zgadza się? Byłbyś skłonny wtedy ich zabić?

- Tak, zabiłbym ich. Jednego i drugiego. Bez wahania - odpowiedział machinalnie Mock ku zdziwieniu Wirtha, który zwykle w takiej sytuacji słyszał z jego ust: „Kto tu zadaje pytania!”

- Wpadłem na znakomity pomysł. - Mühlhaus ciężko oddychał i nie patrzył w stronę krawędzi dachu. - Postanowiłem sam infiltrować mizantropów. Sam wnikać w ich szeregi. Do tego ty byłeś mi potrzebny. A tak wyglądał mój plan. Wsadzę cię do więzienia, do celi Dziallasa i Schmidtkego... A teraz obiecaj mi, że zapanujesz nad nerwami i mnie nie zabijesz, nie zrzucisz z tego przekłętego dachu... Obiecuj, jeśli chcesz wszystko poznać!

- Obiecuję - mruknął Mock.

- Wiedziałem, że jako były policjant będziesz narażony na gniew współwięźniów - radca kryminalny mówił cicho i odsunął się od Mocka na tyle, na ile pozwolił mu Zupitza, który postawił przed nim nogę, wyraźnie zaznaczając, że tu jest granica swobody ruchu. - Wiedziałem, że będą chcieli zrobić z ciebie niewolnika tak jak z Priessla. I tutaj były dwie możliwości. Pierwsza. Mock zostaje zhańbiony... Obiecuj, że nic mi nie zrobisz!

- Obiecuję, obiecuję - powiedział Mock niedbale i starał się nieszczerym uśmiechem rozerwać zaciśnięte szczęki.

- Pierwsza możliwość. Zła i mało prawdopodobna - mówił szybko Mühlhaus - zhańbiony Mock popełnia w więzieniu samobójstwo. Ja doprowadziłbym do tego samobójstwa. Zmuszenie kogoś do samobójstwa to jedna z metod inicjacyjnych. Mógłbym się dostać do mizantropów, udowadniając, że zmusiłem cię do samobójstwa... Poczekaj, Mock, czemu dajesz mu jakiś znak? Poczekaj, niech skończę, wiedziałem...

Reszta słów zginęła w charkocie. Zupitza, któremu Mock dał stosowny znak, przycisnął gardło Mühlhausa żelaznym prętem. Nadwachmistrzowi zdawało się, że wszystko dokoła ucichło, on sam jest w środku wirującego fotoplastykonu. Każda z podświetlanych klatek przedstawiała Konrada Dziallasa, który stał na szeroko rozstawionych nogach, ścisnął w rękę swoje genitalia i cedził powoli słowa: „No co, lubisz to, gruba macioro? Będziesz mnie lizać, gruba macioro?” Nagle do nozdrzy Mocka dotarł smród. Był to odór odchodów, jaki bił od niemytego ciała Priessla i od bezwładnego Dziallasa, który leżał w poprzek pryczy z wykręconą na plecy twarzą. Fotoplastykon wirował. W klatkach pojawił się gniewny szewc z Waldenburga Willibald Mock, który wygrażał synowi palcem, uśmiechała się ukochana niegdyś Erika Kiesewalter, potem wypuścił dym z nieodłącznego cygara medyk sądowy Siegfried Lasarius i podstawił mu pod nos wyrwane zęby, a na końcu zakwiliło żałośnie małe dziecko, które kiedyś przez Mocka utraciło matkę. Fotoplastykon kręcił się dokoła głowy Mocka. W jednej z klatek rozgniewany Mühlhaus stukał fajką w blat swojego biurka. Stukała fajka radcy kryminalnego, stukała jego głowa o dach teatru Lobego, stukał młotek Willibalda, stukało czoło Mühlhausa. Zupitza oddychał ciężko i klęczał nad radcą kryminalnym, dławiąc

prętem jego grdykę. Wyciskał mu oczy z oczodołów i wprawiał w drgawki jego chude nogi.

- Puść go! - wrzasnął Mock. - Wystarczy!

Mühlhaus rzeził, Mock palił, Zupitza sapał, a Wirth otulał się paltem. Miasto w dole poruszało się samochodami i tramwajami. Mężczyźni chowali się po spelunkach, kobiety wystawiały swe ciała w bramach i pod latarniami. Były to niezawodne drogowskazy, punkty orientacyjne, jasno oświetlone bramy do inferno, do miękkich i wilgotnych syfilitycznych krain. Słupy z ogłoszeniami oferowały rozrywki. Zapowiadały wieczną krucjatę przeciwko nudzie. Miasto było przebiegłe, cwane i zmęczone.

Minął kwadrans. Prawie uduszony radca kryminalny wracał ze świata zmarłych. Mockowi nagle zrobiło się przykro. Poczul się jak niepotrzebny nikomu przedmiot, jak szachowy pionek, którego zniszczenie jest warunkiem nieznanego przepięknego gambitu.

- Gdybym popełnił samobójstwo po zhańbieniu, przystąpiłbyś do mizantropów - powiedział Mock do Mühlhausa, który wyrzucał z ust gęstą ślinę. - A potem powoli byś ich niszczył. Jako członek grupy wiedziałbyś wszystko o ich zbrodniach. Oni by cię z nimi zapoznali. Musieliby to zrobić zgodnie ze swoim statutem. Każdy wie wszystko o każdym. A wtedy zapytaliby cię o twój mord. I kiedy byś mówił o zhańbionym w więzieniu Mocku, nie miałbyś wyrzutów sumienia, że mnie zabiłeś? Że przed śmiercią mnie upodlono? Naprawdę? Powiedz to, proszę, powiedz, że Mock jest nikim, że miałbyś potem takie wyrzuty sumienia jak po zabiciu komara!

- Nie wierzyłem w tę możliwość - Mühlhaus rzeził tak cicho, że Mock musiał się pochylić nad nim i prawie przyłożyć ucho do jego ust.

- Zbyt dobrze ciebie znałem. Ty nie pozwoliłbyś się pohańbić. Wsadzając cię do celi Dziallasa, poprosiłem mojego przyjaciela, naczelnika więzienia śledczego Langerę, aby usunął w tym czasie tego drugiego z celi... Abyś był z tym zbrojcem sam na sam... Abyś go zatłukł... Wiedziałem, że dasz sobie radę i że to zrobisz. W ten sposób spełniony by został inny warunek przystąpienia do mizantropów. Najwyższy sposób w ich hierarchii inicjacyjnej... Bezkarne zabicie, o którym wszyscy wiedzą, którego sprawcę wszyscy znają. Mógłbyś zabijać bezkarnie, bo stałbyś się „człowiekiem bez oddechu”. I tak właśnie było. Dobrze to przewidziałem, co, Mock? Zanim mnie zabijesz, chociaż to potwierdź!

- Czegoś tu nie rozumiem. - Mock odsunął się nieco od radcy, ponieważ Mühlhaus przestał charczeć, a jego głos stawał się donośniejszy i lepiej słyszalny. - To kto miał w końcu przystąpić do mizantropów? Ty czy ja? Kto miał być „człowiekiem bez oddechu”?

Mühlhaus klęczał na czworakach i ciężko oddychał. A potem się rozkaszał. Kaszel narastał w nim jak eksplozja. Rozsadzał mu żebra i gardło. Po chwili się uspokoił. Radca zrobił gwałtowny ruch głową w stronę krawędzi dachu i splunął potężnie. Był najwyraźniej zadowolony z długiego lotu śliny. Na jego ustach zagościł szelmowski uśmiech. Był zadowolony jak mały chłopiec, który beknął najgłośniej z całej klasy.

- Porwali cię z pociągu. Uratowali przed toporem. Dzisiaj przeczytałem w BNN twój nekrolog. Otrzymasz zatem od nich nową tożsamość, nowe życie... Wiesz, co to znaczy? To znaczy, że przystąpiłeś do mizantropów. I wiesz, co to jeszcze znaczy? Że, chcąc nie chcąc, stałeś się moją wtyką u nich. - Po chwili dodał z przyciskiem, wciąż

patrząc na Mocka z perspektywy psa: - I tylko ty możesz ich zniszczyć!

- Dlaczego miałbym ich niszczyć? - zapytał Mock. - Sam zauważyłeś, że zaczynam nowe życie z nową tożsamością. Bez nich byłbym kryminalistą, a tak zostanę panem, będę szczęśliwy, będę miał wszystko... Pofolguję najdzikszyemu żądcom... Dlaczego miałbym zniszczyć moich dobrodziejów i służyć tobie, a potem znów trafić za kratki? Ty byś mnie uratował przed więzieniem? Czy ty mi kiedykolwiek w czymś pomogłeś? Czy tobie coś zawdzięczam? Mam taki wybór: przyjemności albo służenie Mühlhausowi. Być królem albo twoim psem. Czy myślisz, że jestem pomyłony i wybiorę to drugie?

- Sam sobie odpowiedz. - Mühlhaus usiadł po turecku i drżał z zimna. - Zapytaj sam siebie. Chcę być wiernym psem sprawiedliwości, bo ja za takiego ciebie uważam, czy też bezkształtną gnidą, której życiowym celem będzie potęgowanie swojej rozkoszy?

- Takim jesteś moralistą, skurwysynu... - Mock wstał, a jego twarz nabrzmiała z gniewu. - No to powiedz mi, czy dwie kobiety, które zamordowałeś rękoma twojego siepacza, wybrałeś z rozmysłem czy przypadkowo? Sprawdziłeś, czy mają dzieci, czy żyją ich rodzice, czy ktoś będzie po nich płakał? Czy było ci wszystko jedno? Powiedziałeś sobie: „kurwa to kurwa”? O czym myślałeś, kiedy na miejscu zbrodni patrzyłeś na opuchnięte dziąsła i wylamane zęby?

- One na to zasłużyły - powiedział twardo Mühlhaus. - Poszedłem do nich z moim synem po jego maturze. Wybrałem je przypadkiem. Z archiwum twojego decernatu wziąłem pierwszy lepszy adres. Chciałem, aby po maturze Jakob stał się mężczyzną. Żeby przypieczętował

egzamin dojrzałości. Zęby się wyleczył z przeciwnych naturze ciągót, które u niego widziałem od dziecka. Kiedy zostawiłem go samego u tych ladacznic, usłyszałem wybuchy śmiechu. Śmiały się z niego, rozumiesz? Jakob wyskoczył z ich nędznego poddasza, wyrwał mi się i uciekł. Przepytałem je dokładnie, z czego się śmiały. Wtedy mi opowiedziały o swoim pierwszym kontakcie z Jakobem. Kilka tygodni wcześniej dwudziestu gimnazjalistów spotkało się z nimi w jakimś podłym hotelu. Wśród tych chłopaków był Jakob. Opuściły go męskie siły. Już wtedy się z niego śmiały. Ty wiesz, co taki śmiech może uczynić z wrażliwym młodzieńcem? One zasłużyły na coś gorszego niż wrywanie zębów na żywca! - Mühlhaus wstał i zaczął machać rękami, a jego trupia twarz stała się purpurowa. - Rozumiesz, ty skurwysynu, one zrobiły z mojego Jakoba pederastę!

Mock odwrócił się od Mühlhausa. Z kieszeni wyjął chustkę do nosa, ukucnął i zaczął czyścić zabrudzone błotem noski swoich butów. Wokół niego powoli kręcił się fotoplastykon. Podświetlone klatki były niewyraźne i rozmazane. Nie było na nich Willibalda Mocka. Nie było nikogo. Nikt nie mógł służyć mu radą.

- No co, idziemy, Mock? - zapytał Mühlhaus. - Czy zamierzamy na tym dachu? Powiedziałem ci wszystko. Wybór należy do ciebie. Jesteś z nimi czy ze mną? Z mordercami czy z policją?

Mock zbliżył się do Mühlhausa. Wyciągnął rękę i wytarł brudną chustkę o twarz radcy kryminalnego.

- No co tak patrzysz, Mock? - Mühlhaus ocierał twarz z piasku i błota. - Chyba mnie nie zabijesz?

- Zabiję cię, Mühlhaus. Tak, zabiję cię - powiedział Mock i wziął od Zupitzy żelazny pręt. - I to własnoręcznie. Sam powiedziałeś, że jestem

wiernym psem sprawiedliwości. Moje miejsce nie w więzieniu. Pies za nic nie chce wracać do budy. W budzie nie może wymierzać sprawiedliwości.

Buchwald pod Breslau,  
niedziela 6 kwietnia 1924 roku, piąta rano

W XVIII wieku baron Otto Freiherr von Buchwaldt postawił w swoim majątku małą rotundę, której przeznaczenie było tajemnicą dla wszystkich odwiedzających rezydencję. Większość gości sądziła, że stary baron ozdobił park kaplicą lub też świątynią dumania. Przeciwno pierwszej hipotezie przemawiałby całkowity brak symboliki religijnej, przeciwko drugiej - charakter tej budowli. Nie był to bowiem jedynie dach wsparty na czterech lub sześciu kolumnach, jak to zwykle bywało w tego typu obiektach, lecz walec bez okien, przykryty pseudoromańskim dachem. Jedynymi otworami w tej rotundzie były: długi wąski witraż oraz duże odrzwia wtopione w potężny portal. Na świątynię dumania wydawała się zbyt duża. W tej chwili w jej wnętrzu znajdowało się dwudziestu pięciu mężczyzn, a swobodnie mogło się zmieścić i drugie tyle.

Wypełniali całą przestrzeń budynku. Ubrani we fraki lub surduty, cylindry lub meloniki, stali na równo ułożonych płytach piaskowca i patrzyli na siebie z ciekawością równą tej, z jaką przyglądaliby się swoim fizjonomiom maturzyści z jednej klasy, którzy spotkali się po latach. Nieczęsto widzieli siebie bez długich ceratowych płaszczy i masek w kształcie ptasiego dzioba. Ich ciekawość była jednak nie w

pełni zaspokojona, ponieważ twarze ginęły w półmroku, słabo rozświetlanym świecami i płomieniami ognia w wielkim kominku. Zaszurały czyjeś buty po podłodze. Na środek pomieszczenia wyszedł wysoki i tęgi siwowłosy mężczyzna.

- Witam was, bracia, na jednym z naszych nielicznych jawnych zgromadzeń - głos huczał pod wysokim sklepieniem sali. - Wszystkim wam bardzo dziękuję za punktualne przybycie o tak wczesnej porze. Jak wiecie, jedynym punktem naszego nadzwyczajnego zebrania jest przyjęcie do bractwa mizantropów pana Eberharda Mocka. Pan Mock, jako jeden z dwóch braci należących do naszej śląskiej konfraterni, spełnił niezwykle i godny podziwu warunek *Impune interfecit*. Ponieważ zaszczyt wprowadzenia pana Mocka do naszego bractwa przypadł mojemu zastępcy, udzielam mu głosu i proszę o przedstawienie wyczynu kandydata.

- Pan Eberhard Mock... - Na środek wyszedł szczupły człowiek z obfitą staromodną brodą, ubrany w staromodny surdut. - Jest z zawodu policjantem, funkcjonariuszem policji obyczajowej. W wyniku jakiejś godnej pożałowania pomyłki został oskarżony o morderstwo i trafił do więzienia. Tam zachował się jak prawdziwy doktor Dżuma. Oczyszczył świat z najgorszego degenerata, jakiego można sobie wyobrazić, niejakiego Konrada Dziallasa. Pan Mock po dokonaniu tego chwalebnego czynu stał się bezkarny. Wszyscy więźniowie wiedzieli, że - będąc zagrożony wyrokiem dożywocia lub śmierci - nie zawaha się przed niczym i zabije każdego. Ta bezkarność była bezkarnością tylko z punktu widzenia więźniów, bo z punktu widzenia prawa Mock miał być osądzony i ukarany za zabicie Dziallasa. Ale niezależnie od kary, jaką by otrzymał, w swoim środowisku byłby bezkarny. Spełnia



zatem warunek *Impune interfecit*. Bo oto, co się stało. Współwięźniowie zaczęli mu służyć. Stał się ich bożyszczem. Pan Mock zabił i wcale się z tym nie krył. Mówił do współwięźniów: „Zabiłem i jestem bezkarny. Nikt mnie już nie tknie, bo znów zabiję”. Krótko mówiąc, pan Mock spełnia całkowicie warunek bezkarnego zabicia, przy jawnej demonstracji osoby sprawcy, co jest najwspanialszym warunkiem inicjacyjnym *Impune interfecit*. Wiedząc o tym, umożliwiliśmy mu wydostanie się ze szponów krótkowzrocznej sprawiedliwości i zaproponowaliśmy członkostwo w naszym bractwie. A teraz oddaję głos bratu Ottonowi IV von Buchwaldt.

Zastępca skinął głową i wycofał się. Na środek zgromadzenia wyszedł znów baron von Buchwaldt.

- Wzywam pana Mocka na przesłuchanie - zadudnił jego potężny głos.

Jeden z mizantropów podszedł do wielkich drzwi i otworzył je na oścież. Do wnętrza wtargnął podmuch wiatru, który zatrzęsł płomieniami świec. Wraz z wiatrem zjawił się były nadwachmistrz Eberhard Mock. Był blady, niewyspany, ale starannie ogolony. Miał na sobie elegancki dopasowany płaszcz z czarnej wełny, getry i melonik. Jego szyję owijał biały jedwabny szalik, a w ręce tkwił potężny parasol. Mock pachniał mieszaniną świeżo wypitego alkoholu i słodkich cynamonowych perfum. Stanął na środku pomieszczenia obok prowadzącego zebranie, zdjął melonik i powachlował się nim energicznie.

- Panie Mock, trzecim punktem każdego zgromadzenia inicjacyjnego naszego bractwa - huczał baron - jest przesłuchanie kandydata. Ten punkt jest niepotrzebny w wypadku *Impune interfecit*.  
Wszyscy

wiemy o pańskim chwalebnym czynie, wiedzą o nim całe Niemcy. Dlatego prosimy jedynie o udowodnienie, że jest pan Eberhardem Mockiem. Jeden z naszych braci, mój zastępca, zada panu pytanie identyfikacyjne.

Szczupły brodacz nie wychodził na środek, lecz ze swojego miejsca donośnym głosem rzekł:

- Proszę wymienić nazwisko praktykanta, który pojawił się w pańskim decernacie IV Prezydium Policji świeżo po zaprzysiężeniu pana jako funkcjonariusza królewskiego Prezydium Policji. Proszę ponadto podać jego ulubione zajęcie, coś, czym się szczególnie zajmował po pracy! Czy coś kolekcjonował? I jeszcze jedno. Dlaczego nie dostał posady w policji i co się z nim później stało?

- Nie pamiętam nazwiska - odpowiedział bez wahania Mock - jakieś dziwne... Rzadko spotykane... Mówiliśmy do niego po imieniu, jak zwykle do praktykantów... Paul. Tak brzmiało jego imię. A zainteresowania pozazawodowe miał doprawdy osobliwe. Zbierał rękawiczki śpiewaczek operowych. Po koncertach i przedstawieniach przychodził do garderoby i błagał o rękawiczki. Oferował za nie zawrotne sumy. Zwykle traktowano go jak nieszkodliwego dziwaka i dostawał je za darmo. Chwalił się, że ma rękawiczki Tilly Cahnbley-Hinken, Liny Falk, a nawet Marguerite Roger. Kiedyś szef zastał go wążającego rękawiczki pobrudzone szminką. To go zdyskwalifikowało w oczach szefa decernatu Illsheimera, choć ten ma na sumieniu niejedno dziwactwo. Nie dostał posady w naszym decernacie, a po praktyce - o ile wiem - rozpoczął studia na uniwersyteckim wydziale teologii ewangelickiej.

- Czy to prawda, pastorze Stieghahn? - zapyta! Najwyższy.  
- Wszystko to prawda - dobiegł głos z tłumu mizantropów. - Do dziś zbieram rękawiczki damskie! Nie tylko zresztą gwiazd opery.  
- Przyjmujemy tę odpowiedź! - zawyrokował prowadzący, kiedy już przebrzmiał śmiech po wypowiedzi pastora. - A teraz dalsze części procedury. Mock, wystąpią przed panem wszyscy członkowie konfraterni śląskiej i wyjawią panu swoje czyny, swoje uzdrowienia. Lekarze Dżumy powiedzą panu, jakie ogniska zapalne zarazy zlikwidowali. Zaczynamy wedle stażu w bractwie. Ja jestem najwcześniej przyjęty.

Przewodniczący podszedł do Mocka i stanął z nim twarzą w twarz. Dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia centymetrów.

- Baron Otto IV von Buchwaldt - przedstawił się. - Dnia 12 marca 1893 roku w Woischwitz pod Breslau znaleziono niejaką Marię Schintzel, sześćdziesięcioletnią żebraczkę i pijaczkę. Trup miał wylupane oko. - Baron wyjął z kieszeni blaszane pudełko po tytoniu. Otworzył je i pokazał Mockowi. Wśród bandaży leżała zasuszona szara kulka z dwoma ciemniejszymi wewnętrznymi kołami, z których, jak się domyślił ekspolicjant, jedno było tęczówką, drugie - źrenicą.

Von Buchwaldt pocałował Mocka w oba policzki i wszedł w tłum mizantropów ciasno otaczających kandydata. Po baronie na środek wystąpił wysoki starzec z brodą kozła. Stał tak blisko Mocka, że niemal kłuł go tą swoją wąską, sterczącą brodą.

- Doktor Wilhelm Syndikus. Dnia 28 października 1895 roku znaleziono przy Weserstrasse w Berlinie czternastoletnią prostytutkę Dorotheę Pfitzner - powiedział starzec. - W ustach trupa była połowa karty.

Dama pik.

Otworzył portfel i wyjął z niego połówkę karty. Przedarcie biegle przez twarz damy pikowej. Syndikus ucałował Mocka i zniknął w tłumie konfratrów. Wyszedł z niego niewysoki tęgi mężczyzna o czarnych włosach tak gęstych, że sprawiały wrażenie czapki nasadzonej głęboko na czoło.

- Poznaję mnie pan? Pastor Paul Stieghahn. Dnia 19 stycznia 1902 roku, świeżo po tym, jak zostałem przyjęty na praktykę do Prezydium Policji, na ślizgawce koło Holteihöhe w Breslau znaleziono dziecinną sukienkę, trzewiki i wełniane pończochy. Chociaż nikt nie zgłosił zaginięcia dziecka, policja kryminalna rozpoczęła intensywne śledztwo. Uwagę śledczych przykuł przerębел na środku ślizgawki. Był pokryty lodem o wiele cieńszym niż cała reszta. Rozbito lód i zanurzono bosak. Natrafiono na ciało. Z przerębła wydobyto piętnastoletniego chłopca. Miał na sobie damską bieliznę, a na twarzy resztki tłustej szminki i pudru. Była to znana w kręgach pederastów męska prostytutka „blond Klar”. W jego halce wycięty był trójkąt. Oto on - powiedziawszy to, pastor Stieghahn wyciągnął z kieszeni kawałek materiału.

Mock patrzył na pastora i doznał zawrotu głowy, chociaż wypił niewiele, i to dwa kwadransy wcześniej, świeżo po przybyciu do majątku barona, kiedy został podjęty kawą i koniakiem. Kręciło mu się w głowie, jednak nie pod wpływem alkoholu. Zawsze tak było, kiedy zbliżał się wybuch wściekłości, eksplozja furii. Nie była ona skierowana przeciwko pastorowi i dawnemu koledze, którego ledwie pamiętał. Ale wciąż się zbliżała. Była nieunikniona. Mock wiedział, że wybuchnie,

kiedy jeden z mizantropów przyzna się do niewyjaśnionego morderstwa, z którym Mock zetknął się na początku swojej pracy. Stanie się tak niewątpliwie, kiedy któryś z galerii przesuwających się przed nim i całujących go w policzki morderców przyzna się do zabicia małej Ernestine Schmidek. Było to w roku 1908. Czternastoletnia ulicznica wisiała u powały strychu w kamienicy przy Martin-Opitz-Strasse. Jej drobne ciało było pierwszym trupem, którego Mock poczuł, ujrzał i nad którym po raz pierwszy zapłakał. Był wówczas w tej kamienicy na przyjęciu urodzinowym u zamożnego studenta prawa, którego poznał przy kręglach w klubie „Brama Odrzańska”. Na tym przyjęciu usiłował - mimo braku jakichkolwiek uzdolnień - tańczyć walca z wyemancypowanymi studentkami Akademii Sztuki i Rzemiosł Artystycznych. Już prawie chwycił rytm muzyki, kiedy wszyscy usłyszeli histeryczny, wibrujący krzyk na klatce schodowej. Wybiegł na schody. Krzyk wznosił się u góry, jakby pod świetlikiem. Jedna z mieszkańek kamienicy przewiesiła się przez poręcz obok wejścia na strych i wyła. Obok niej stał kosz wypełniony mokrą bielizną. Mock wbiegł na poddasze. Mała Ernestine wisiała na belce. Ubrana była w porozrywaną brudną sukienkę. Jej twarz pokrywała gruba warstwa makijażu. Z łydek zwieszały się potargane pończochy w czarną kratkę. Stopy tkwiły w połatanych wysokich trzewikach. Jeden siedział dość krzywo. Był pozbawiony sznurowadła.

Mock teraz wiedział, że nie ochroni się przed furją, kiedy ujrzy sznurowadło w ręku kogoś z mizantropów. Słyszac kolejne nazwiska, kolejne tytuły naukowe i szlacheckie, kolejne społecznie poważane funkcje i zawody, napinał się cały i oddychał z ulgą, kiedy padały

jakieś męskie imiona ofiar. Syk ulgi był najdonośniejszy, kiedy usłyszał o morderstwie dokonanym w roku 1910. W tym momencie została bowiem przekroczona bolesna granica wspomnienia o małej Ernestine. Furia, jak wszystko inne, była do uniknięcia, jej wybuch był jedynie potencjalny i warunkowy, nie zaś konieczny i absolutny.

Mock, pokrzepiony tymi myślami, wysłuchał dwudziestej czwartej opowieści o walce z dżumą w podmiejskim Klein Mochbern w ubiegłym roku. Wykonawca był dość nietypowy i należał do mizantropijnej mniejszości, bo - jak zaledwie sześcioro - nie ozdabiał swojego nazwiska ani tytułem szlacheckim czy też naukowym, ani poważanym zawodem. Nie wspominał o nim zresztą ani słowem. Jego potężne sękaty ręce wskazywałyby na jakiś robotniczy fach. Miał mocno zacziśnięte, zagryzione do krwi usta, uszy zarosnięte bujnym uwłosieniem i oczy prawie zupełnie pozbawione białek. Jego opowieść - niezborna, niegramatyczna i wulgarna - opisywała życie w zakładzie psychiatrycznym. Wynikało z niej, że brat Fritz Stache, bo tak się ów goryl nazywał, był sanitariuszem i uwalniał świat od chorych psychicznie, którzy byli agresywni i niebezpieczni. Co więcej, sam, trafiwszy do więzienia, udawał chorego psychicznie i sąd skazał go nie na śmierć, lecz na dożywotni pobyt w zakładzie, z którego zresztą szybko uciekł. Jak się Mock domyślił, znalazł się on wśród mizantropów na zasadzie *Impune interfecit*.

Mock wysłuchał tej historii z pewnym obrzydzeniem. Kiedy się skończyła, ciężko oddychał jak po długim biegu. Po ostatnim pocałunku czekał w milczeniu na kolejne punkty inicjacji. Spodziewał się

jakichś wstrząsających trupich eksperymentów, jakiegoś rozgrzebywania gnijących ciał, oglądania plam opadowych i cuchnących opuchlizn. W opowieściach mizantropów była wilgoć cmentarza, nieświeże oddechy niektórych z nich wionęły nieuchronnym odor mortis. Kiedy już wszyscy opowiedzieli swoje historie i złożyli oślisłe pocałunki na jego twarzy, rozległ się znów huczący głos:

- To prawie wszystko, panie Mock. Został pan przyjęty do grona mizantropów. Pozostał tylko jeszcze jeden, doprawdy niewielki, warunek do spełnienia. Nie mówiłem o nim do tej pory, ponieważ jest on warunkiem negatywnym, polegającym na nierobieniu czegoś. Jest bardzo prosty i naprawdę nie wymaga wielkich wyrzeczeń. Aby go spełnić, wystarczy powstrzymać się od picia alkoholu i od używania morfiny, kokainy i innych narkotyków. Abstynencja to bardzo ważny warunek. Jest on tak prosty i bezdyskusyjny, że za jego niedotrzymanie nie można przeprosić, lecz należy spodziewać się kary śmierci, którą zawsze wykonuje u nas brat Stache. Do tej pory trzy razy ukarał on nieposłusznych z naszego grona. Kiedy wiemy, że któremuś z adeptów abstynencja może sprawić kłopot, a bardzo nam na kimś zależy - tak jest w pana wypadku - pozwalamy mu przez sześć miesięcy się do niej przyzwyczajać... To znaczy, że będzie pan mieszkał pół roku u mnie i pół roku może pan pić bez opamiętania. A potem koniec. Raz na zawsze. Brat Stache jest najlepszym nauczycielem abstynencji.

Mock milczał przez chwilę i obserwował mizantropów, dla których słowa barona oznaczały koniec zebrania. W oczekiwaniu na ślub abstynencji zapinali guziki, poprawiali meloniki i cylindry, śmiali się i

dowcipkowali. Nagle nad tym rozweselonym towarzystwem wzniosł się potężny głos Mocka:

- A czemuż to nikt mi o tym wcześniej nie powiedział? - krzyczał nadwachmistrz. - Wydaje się wam, że to takie oczywiste? Że pół roku spędzę tutaj na alkoholowych wakacjach, a potem będę czysty moralnie jak chłopiec w dniu Pierwszej Komunii i już nie tknę nawet małego piwa? A panu się zdaje, baronie, że o niczym innym nie marzę, tylko o tym, żeby tu u pana mieszkać i pić całe pół roku? Alkohol nie jest istotą mojego życia. Jego sens tkwi w rozmowie przy i po alkoholu! Jestem człowiekiem dyskursu! A tutaj z kim będę rozmawiał? Z pańskimi kamerdynerami, baronie, czy z panem, trzeźwym jak sędzia?

Mizantropi przestali dowcipkować i umilkli. W rotundzie zapanowała cisza. Zdawało się, że przygasły płomień świec, a drwa przestały strzelać w kominku. Z grona mizantropów wystąpił były sanitariusz Fritz Stache i zbliżył się do Mocka.

- Mock, będzie pan tu miał wszystko, czego zapragnie - powiedział spokojnie von Buchwaldt - nie musi pan oglądać ani mnie, ani moich kamerdynerów. Zaproszę tu do pana dyskretne, rozpustne i lubujące się w alkoholu kobiety. Przecież pan wie, że u nas nie ma żadnych moralnych oków.

- Pan nie zdaje sobie sprawy - wrzeszczał dalej rozdrażniony Mock - kogo pan do siebie przyjmuje! Ja powinienem mieć butelkę w herbie, rozumie pan! Zróbcie dla mnie wyjątek!

- Drogi panie Mock! - Głos von Buchwaldta już nie dudnił, lecz syczał. - Nie ma wyjątków. Wysłuchawszy naszych opowieści, już jest pan z nami. Jeśli pan chce się znaleźć poza nawiasem mizantropów, to



podejmuje pan decyzję spotkania z bratem Stachem. Spotkania bardzo rychłego...

Brat Stache stał i wpatrywał się w Mocka. Ręce eks-sanitariusza były opuszczone wzdłuż spodni. Sękaty palce poruszały się po lampasach. Wypukłe, zakrzywione paznokcie przesuwaly się po materiale z lekkim szmerem. Jedna pięść się zacisnęła, jedna noga wysunęła do przodu. Mock cofnął się i chwycił potężny kandelabr z siedmioma świecami. Syknął z bólu, kiedy języki stearyny rozlały się po jego dłoni. Uniósł wysoko świecznik i zamierzył się na Stachego. W ciężkiej ciszy słyhać było prawie trzask szwów w smokingu Mocka, kiedy odchyłał ramię i wyrzucał w górę kandelabr. Kręcąc się, świecznik rozrzucał gorące krople, które upadały na głowy, karki i buty zebranych. Stache nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Spojrzał na barona, czekając na stosowny znak. Wtedy rozległ się przenikliwy brzęk szkła. W nikłym blasku dogasającego ognia sypał się z góry szklany deszcz, mieniły się ostre okruchy. Mizantropi stojący pod witrażem odsunęli się, by uniknąć skaleczenia. Baron Otto IV von Buchwaldt patrzył na Mocka z niechęcią, ale i z ojcowską wyrozumiałością. Eks-sanitariusz nadal nie wiedział, co ma uczynić, i przebierał palcami wzdłuż lampasów. Wtedy z hukiem otworzyły się drzwi. Na tle szarych pól i porannych mgieł stał radca kryminalny Heinrich Mühlhaus z fajką w zębach. Zamiast melonika na jego łysawej głowie tkwiły zwoje bandażu. Na twarzy wysklepiały się sine guzy. Za nim widać było dwa szeregi żołnierzy z odbezpieczonymi manlicherami. Pierwszy szereg klęczał, drugi - stał. Karabiny były wymierzone w otwarte drzwi.

- A mnie przyjmiecie do swojej bandy? - zapytał Mühlhaus.

Breslau, sobota 19 kwietnia 1924 roku,  
przed ósmą wieczór

- Przyjmujemy go, bracia? Naprawdę tego chcecie?

Prezydent łoży wolnomularskiej „Lessing”, doktor Albert Lewkowicz, wstał gwałtownie i zaczął okrażać stół. Kiedy przemierzał szybkimi krokami wielki obity drewnem gabinet prezydencki, pobrzękiwał łańcuch na jego szyi i falowały frędzelki u jego fartuszką z motywem kielni i cyrkla. Zadane pytanie jeszcze wisiało nad stołem, przy którym siedzieli dwaj mężczyźni. Doktor Lewkowicz nagle przystanął przed wielkim oknem, którego skrajne szybki były zielone. Zieleń, wszędzie zieleń, kolor nadziei. Nawet w nazwisku właściciela firmy po drugiej stronie Agnesstrasse - „Grünfeld&Co. Produkcja Drzwiczek do Pieców”. Nazwa tej firmy, a właściwie asocjacje, jakie budziły wyrazy na szyldzie, zawsze go uspokajały i dobrze mu się kojarzyły. Czyż człowiek potrzebuje więcej do szczęścia, myślał, niż widoku zielonych pól i odpoczynku w ciepłe pieca?

- Nie wiecie, kim on jest? Przecież to alkoholik i morderca - Lewkowicz mówił już znacznie spokojniej. - Owszem, zabił skończonego łotra, to jednak raczej predestynuje go na herszta jakiejś bandy, gdzie liczy się siła i zuchwałość, niż stanowi przymiot moralny. A przecież właśnie tym powinni się odznaczać członkowie naszej łoży!

Zapadła cisza. Jeden z mężczyzn siedzących przy stole sięgnął po syfon i strzyknął do szklanki dużą miarkę wody sodowej. Łyknął musującego płynu, a kilka kropeł opadło na jego śnieżnobiały tors. Chrząknął cicho, co oznaczało, że chce zabrać głos. Nie musiał tego robić. W ścisłym trzyosobowym kierownictwie łoży „Lessing” wszyscy sobie mówili po imieniu i nie obowiązywały żadne hierarchiczne regulacje dotyczące zabierania głosu. Nie musiał prosić o głos zwłaszcza ten mężczyzna, którego drzewo genealogiczne miało korzenie sięgające dziesięć wieków wstecz i którego przodkowie walczyli z Saracenami. Ale właśnie za tę delikatność i za to dobre wychowanie doktor Lewkowitz najbardziej cenił barona Oliviera von der Maltena. Kiwnął głową, udzielając mu głosu.

- Wszyscy mamy jakieś wady i słabości, Albercie - powiedział spokojnie baron - a nazywanie słabości Mocka „alkoholizmem” jest, zapewniam cię, grubą przesadą. Znam go prawie dwadzieścia lat. Studiowaliśmy razem języki starożytne i filozofię. Nasze drogi naukowe rozeszły się. Mnie interesowali filozofowie przedsokratejscy, jego - zagadnienia językowe i metryczne. Ja wolałem siedzieć nad właśnie wydanym epokowym dziełem Dielsa, on - nad wierszami Plauta, które ciął na części ołówkiem ostrym jak skalpel. Przyjaźniliśmy się i byliśmy obaj w korporacji „Silesia”. Mieliśmy wielkie zamiłowanie do fechtunku. Wypiliśmy razem cysterny piwa. Rzeczywiście, czasami alkohol panował nad Mockiem. Kiedy to się powtarzało, potrafił narzucić sobie reżym abstynencji i powstrzymywać się od alkoholu przez długi czas. Rok, pół roku... Czy człowiek, który często zwycięża sam siebie, jest nałogowcem?

- Potwierdzam słowa Oliviera. - Brodacz z obandażowaną głową i żółtymi siniakami na twarzy przebierał mięsistymi opuszkami palców po blacie stołu.

- Kiedy kilka lat temu spotkała go tragedia, o której wszyscy wiedzą, mieszkał w celi więziennej, pił przez dwa miesiące i nie przyjmował żadnych pokarmów. Potem nagle przestał i nie pił przez rok. Teraz ma zwyczaj upijać się tylko raz w miesiącu. Wątpię, czy taką częstotliwość można by nazwać „alkoholizmem”.

- No dobrze, Heinrich. - Doktor Lewkowitz również lubił radcę kryminalnego Mühlhausa. - Ty i Olivier dobrze go znacie. Być może jest to silny człowiek, który się nie poddaje i twardo dąży do celu. Ale to chyba trochę za mało, aby rozproszyć nasze obawy. Do naszej łoży przyjmujemy ludzi nieskazitelnych moralnie. A jeśli powątpiewamy w ich wartości duchowe, musimy u tych kandydatów znaleźć coś szczególnego, co by nas całkowicie do nich przekonało.

Doktor Lewkowitz powiódł wzrokiem po pokoju, jakby tam - w tłoczonej tapecie, w wielkim żyrandolu, w oprawnych rękopisach i wolnomularskich drukach - szukał rozjaśnienia swoich wątpliwości. Baron odchrząknął, a prezydent łoży przygotował się do wysłuchania precyzyjnego wywodu.

- To jest nasza rola - powiedział von der Malten, patrząc na stojący w kącie duży zegar, który właśnie wybijał ósmą - moja i Heinricha, jako członków wprowadzających. My przekonamy braci o przymiotach moralnych Mocka.

- Jakże moglibyście nie przekonać, przecież niecodziennie członkami wprowadzającymi kandydata są dwaj bracia z trzyosobowego ścisłego prezydium! - odrzekł doktor Lewkowitz i zawahał się nieznacznie.

- A czy ja mógłbym poznać wcześniej waszą rekomendację?

- Oto ona. - Mühlhaus wyciągnął na stół woreczek z tytoniem i zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu fajki. - Eberhard Mock rozbił śląską konfraternię mizantropów. Wniknął w ich szeregi i ich zniszczył. Aby tam się dostać, musiał wcześniej trafić do więzienia. Przeżył straszne chwile i omal nie został zabity. Jako policjant był szczególnie znienawidzony przez współwięźniów i w każdej chwili groziła mu śmierć i pohańbienie. Udało mu się przeżyć również dzięki temu, że zabił wspomnianego przez ciebie degenerata, z którym dzielił celę. Później uciekł z więzienia i został przyjęty do mizantropów. Wyznali mu wszystkie swoje zbrodnie, po czym ich aresztowaliśmy. To jest czyn wiekopomny i chwalebny. Czy mam wam wyjaśniać, kim są mizantropi?

- Nie trzeba, prawda, Olivierze? - odpowiedział doktor Lewkowicz, patrząc na barona. - Wszyscy znamy tę wstrętną broszurkę von Mayrhofera, w której sugeruje on, że mizantropi mają coś wspólnego z łożą. Swoją drogą, wiecie, kim jest właściwie ten von Mayrhofer?

- Nikt o takim nazwisku nie napisał tej książki. - Mühlhaus znalazł w końcu fajkę, nabił ją i długo przytrzymywał zapalną nad tytoniem. - Ma ona charakter propagandowy i zawiera instrukcję, jak skontaktować się z mizantropami...

- No dobrze. - Prezydent łoży machnął ręką zniecierpliwiony. - Mock wniknął w szeregi mizantropów i doprowadził do ich aresztowania. To rzeczywiście wspaniałe i ma wielkie znaczenie dla łoży. Wystarczy całą sprawę nagłośnić i raz na zawsze wykażemy, że mizantropi

nie mają nic wspólnego z wolnomularstwem, a druk Mayrhofera jest kłamliwą anonimową agitką. Dobrze - powtórzył w zamyśleniu. - Przekonałiście mnie. Ale wciąż nurtuje mnie jedno pytanie. Dlaczego on chce do nas wstąpić? Przecież nie dla kariery. Za swoją dzielność mógłby awansować i przenieść się do Berlina! A ponadto, czy Mock będzie traktował poważnie członkostwo w loży?

- Nie każdy chce się przenieść do Berlina. - Baron von der Malten ścierał dłonią wilgotne kółko, jakie zostawiła szklanka na błyszczącym blacie stołu. - Chociaż Mock pochodzi z Waldenburga, to kocha nasze miasto z jego wszystkimi jasnymi i ciemnymi stronami. Kocha wieże kościołów, omnibusy, wstrętne zaułki w centrum, zielone arterie komunikacyjne na południu, potężne kamienice i nadodrzańskie plaże. A tutaj nikt nie robi kariery policyjnej bez poparcia naszego drogiego Heinricha, prawej ręki prezydenta Kleibömera. A dla Heinricha warunkiem kariery policyjnej jest członkostwo w „Lessingu”, prawda?

- Przecieniasz moją rolę. - Mühlhaus skromnie spuścił oczy. - Quisque est faber fortunae suae.

- Czy Mock będzie członkostwo traktował poważnie? - Baron odpowiadał na kolejną wątpliwość prezydenta loży. - Odpowiem tak. On jest synem ubogiego szewca i swoją karierę traktuje nadzwyczaj poważnie.

- Jesteś cyniczny, jak zawsze. - Doktor Lewkowitz uśmiechnął się i wskazał ręką drzwi. - Czas na nas. Zbliża się kwadrans na dziewiątą. Zobaczmy, co powiedzą o tym wszystkim inni bracia.

Mühlhaus i von der Malten wstali, zostawiwszy na stole wygasłą fajkę i niedopitą szklankę wody sodowej. Wszyscy ruszyli ku drzwiom, poganiani pojedynczym dźwiękiem gongu zegara. Nagle

doktor Lewkowicz zatrzymał się i odwrócił.

- Zapomniałem was zapytać o coś bardzo ważnego - powiedział. - Chciałbym wiedzieć wcześniej, jakiej próbie życia i śmierci poddamy Mocka.

- Żadnej - odrzekł von der Malten.

- Nie rozumiem. - Na twarzy doktora Lewkowicza pojawił się cień irytacji. - Wyjaśnij to, proszę. Członkowie wprowadzający proponują przecież próbę życia i śmierci.

- Czy nie sądzisz, Albercie - baron wcisnął monokl w oczodół - że Mock już ją pomyślnie przeszedł? Czyż nie zabił dzikiej bestii, z którą przebywał w jednej klatce?

Breslau, sobota 19 kwietnia 1924 roku,  
dziesiąta wieczór

Eberhard Mock cieszył się wolnością. Ten niezwykle stan ducha wywołał u niego nadzwyczajne zmiany. Dotąd nigdy nie wykazywał się ani podzielnością uwagi, ani specjalną wrażliwością na kolory. Jego dotychczasowe kochanki wiedziały, że jedynie miłosne zaloty są w stanie oderwać go na przykład od interesującej książki albo od radia, które nadawało wiadomości lub rozbrzmiewało jego ulubioną muzyką barokową. Wiedziały również, że hojny kochanek, który zapełniał ich szafy wciąż nowymi sukienkami, owe różnobarwne kreacje scharakteryzowałby najwyżej trzema lub czterema nazwami kolorów, a najchętniej wszystkie barwy zredukowałby do pojęć „jasny - ciemny”.

Te wszystkie kochanki nie uwierzyłyby, gdyby im ktoś powiedział, że Mock mianem „pistacjowej” określił dzisiaj sukienkę dziewczyny,

która stała w budce na Tauentzienplatz i pewnie telefonowała - jak sądził - aby umówić się na schadzke. Niegdyś nazwałby tę sukienkę „zieloną”, lecz teraz jego zmysł wzroku wyostrzył się nadspodziewanie. Przed oczami przesuwała się zawartość szaf jego kochanek i słyszał używane przez nie określenia kolorów, o których wcześniej nie miał pojęcia. Te wszystkie kobiety sądziłyby, że najpewniej mają przed sobą sobowtóra Mocka, gdyby usłyszały słowa, jakie skierował teraz do radcy Mühlhausa: „Niech pan spojrzysz na te dwie kobietki koło konsulatu hiszpańskiego, szczególnie ta w płaszczyku ecru niczego sobie”. Zdumiałyby się tym bardziej, że Eberhard okazywał niezwykłą podzielność uwagi. Prowadził bowiem z Mühlhausem ważną rozmowę, a jego kolorystyczne obserwacje, rzucane raz po raz podczas rozmowy, wcale jej nie utrudniały.

Szczęśliwy nastrój Mocka i gwałtowne zmiany w jego percepcji świata pojawiły się w chwili, kiedy przeczytał w dzisiejszym „Breslauer Neueste Nachrichten” krótką notkę na trzeciej stronie, iż został oczyszczony z zarzutu zamordowania Klary Menzel i Emmy Hader. Siedział wtedy na ławce pod pomnikiem Tauentziena i czekał na radcę Mühlhausa, który był na zebraniu loży „Lessing”. Kiedy Mock przeczytał tę pomyślną dla siebie informację, podskoczył do góry, wzbudzając surowe spojrzenie jakiejś damy, która od dłuższego czasu stuknęła w szybę budki telefonicznej, chcąc w ten sposób ponaglić flirtującą dziewczynę w pistacjowej sukience. Postanowił natychmiast uczcić tę wiadomość i jego wzrok pobiegł ku kilku lokalom znajdującym się wokół placu. Jego oko zatrzymało się na kawiarni i restauracji „Pod Tauentzienem”, której również patronował ów pruski generał major.



Ruszył tam i wpadł w ramiona Mühlhausa, który już wyszedł z zebrania łoży. Wtedy to właśnie Mock rzucił uwagę o „płaszczyku w kolorze ecru”, która na Mühlhausie nie zrobiła zupełnie wrażenia.

I tak chodzili od dwóch kwadransów wokół placu, a Mühlhaus referował Mockowi przebieg zebrania i procedurę rehabilitacyjną w Prezydium Policji. W pewnej chwili przywrócony do łask nadwachmistrz zdał sobie sprawę, że owa podzielność uwagi i wrażliwość na kolory były chwilowe. Nie słuchał, co mówi radca kryminalny, lecz wciąż myślał o kieliszku mocnej cytrynówki, o cygarze „Sułtan” i o towarzystwie jakiejś damy, najlepiej bez płaszczyka i sukienki. Na tych hedonistycznych zapędach nie skoncentrowała się jednak cała uwaga Mocka. Przez epikurejski pancerz przebijało się ostre jak żądło pojęcie „próba życia i śmierci”.

- Drogi panie radco - Mock odwrócił wzrok od krągłych pośladków jakiejś damy, która wraz koleżanką oglądała obrazy w galerii Stenzla. - Przepraszam, coś mnie rozproszyło. Proszę mi jeszcze raz powiedzieć o tej próbie życia i śmierci.

- Jest jej poddawany każdy kandydat. - Mühlhaus ujął Mocka pod ramię i poprowadził go delikatnie w stronę Neue Schweidnitzer Strasse. - Ma znaczenie symboliczne. Umiera jeden człowiek, rodzi się drugi. Tak było zawsze w tajemnych bractwach. Neofitę poddawano torturom, oddzielano od społeczeństwa, pozostawiano w lesie na pastwę dzikich zwierząt. Jeśli sobie da radę, jest godzien wstąpić w szeregi bractwa. Tak jak u mizantropów...

- I tak właśnie jest u was?

- Chciał pan chyba powiedzieć „u nas”. Od dwóch godzin jest pan członkiem łoży „Lessing”. - Na ustach radcy kryminalnego pojawił się drwiący uśmieszek. - Został pan przyjęty jednogłośnie, mimo że dwa tygodnie temu niecierpliwie potraktował pan żelaznym prętem jednego z trzyosobowego ścisłego prezydium łoży.

- Zaraz, zaraz. - Mock przystanął. - Nie chciałbym być traktowany w sposób uprzywilejowany... Ja przecież nie mam za sobą próby życia i śmierci...

- Jak to nie? - uśmiechnął się Mühlhaus. - Pozwoli pan, że zacytuję pańskiego kolegę z lat studenckich barona Oliviera von der Maltena, który wraz ze mną wprowadził pana do łoży. Powiedział mniej więcej tak: „Czy przebywanie w klatce dzikiej bestii nie jest próbą życia i śmierci i czy zabicie tej bestii nie jest zwyczajnym wyjściem z tej próby?” Ma pan odpowiedź na swoje pytanie.

- No tak. - Mock zamyślił się tak głęboko, że nawet nie zwrócił uwagi na dwie tlenione blondynki, które stały pod filią „Darmstadter Kasse”, obejmowały się w pół i mrugały znacząco na obu spacerujących mężczyzn. - A niech pan mi powie, bardzo jestem ciekaw, jaką pan przeszedł próbę życia i śmierci. Pozostawiono pana w lesie, nago, tylko w jakiejś brudnej kapocie i z palcami umazanymi na różowo?

- Gorzej - odpowiedział Mühlhaus, udając, że nie rozumie aluzji - to było coś znacznie gorszego...

Breslau, czwartek 15 maja 1913 roku,  
kwadrans na trzecią w nocy

Mühlhaus zaciskał dłonie na linach drabinki niezbyt mocno i wyginał się do tyłu. Szczęble były śliskie od potu i jeszcze innej wydzieliny.

Wisiał przy ścianie wieży ciśnień zakładów wodociągowych „Am Weidendamme” i wpatrywał się spokojnie w ceglany mur budowy. Zobojeźniał na wszystko. Już widział całe swoje życie i swoją śmierć. Czytał kiedyś, że w momencie śmierci przed oczami człowieka przesuwają się - tak jak klatki w fotoplastykonie - sceny z życia. Po dzisiejszym doświadczeniu wiedział, że jest to prawda, z tym jednakże zastrzeżeniem, że pojawiają się one bez żadnego ładu - ani chronologicznego, ani tematycznego. Jego dawno zmarła matka bujająca go w kołysce pojawiła się natychmiast po scenie nominowania go na funkcjonariusza królewskiej policji w Breslau, a scena matury tuż po szczęśliwym dniu narodzin jego syna Jakoba. Ten brak konsekwencji nie dziwił go ani tym bardziej nie irytował. Zdawał mu się nawet kojący, ponieważ był bardzo odległy od żelaznej logiki wieży, wysokości i głowy roztrzaskanej na kocich łbach.

Nagle usłyszał bicie w dzwon. Oderwał wzrok od muru i spojrzał w dół. Do wieży ciśnień zbliżał się wóz strażacki. Próba życia i śmierci nie potrwa już długo. Był blisko życia. I dopiero teraz zaczął się bać.

Breslau, sobota 19 kwietnia 1924 roku,  
jedenasta wieczór

Mock i Mühlhaus minęli fosę miejską i szli dalej Neue Schweidnitzer Strasse w stronę Komendantury Generalnej Wojska i Teatru Miejskiego, Mühlhaus nie łudził się, że opowieść o próbie życia i śmierci, jakiej został poddany, zrobi na Mocku wielkie wrażenie. Liczył jednak na słówko komentarza, na jakiś gest współczucia. Równie

dobrze mógłby liczyć na zachwyty Mocka nad kwitnącymi krzewami forsycji nad fosą. Wartownik pod komendanturą na ich widok poprawił karabin, a Mockowi natychmiast skojarzył się on z prętem, którym dotkliwie obił Mühlhausa na dachu teatru Lobego.

- A wracając do pańskiej aluzji o uderzeniu żelaznym prętem - powiedział Mock, idąc za swoją asocjacją - należało się wtedy panu solidne mordobicie...

- Dajmy już temu spokój - zirytował się Mühlhaus. - I proszę sobie darować te rynsztokowe określenia! Co, chce pan, żebym panu przyznał rację? Że należało mi się solidne lanie? - Puścił ramię Mocka i stanął w rozkroku, nieświadomie przyjmując postawę wojowniczą. - Jest pan niewdzięcznikiem, Mock! Dzięki mnie dostał się pan do łoży „Lessing”. Nie żądam od pana wyrazów dozgonnej wdzięczności, ale chociaż...

- Gdyby mi pan nie przerywał - Mock zacisnął szczękę - to rzeczywiście przyznałby mi pan rację. Należało się panu mordobicie za to, że pan manipulował mną jak bezwolnym narzędziem! Dlaczego nie powiedział mi pan ani słowa o misji, do której mnie pan popchnął? Dlaczego, wiedząc o moim zaangażowaniu w sprawę Priessla, o mojej wściekłości na Dziallasa i Schmidtkiego, nie przyszedł pan do mnie i nie powiedział po prostu: „Mock, wsadzimy cię do więzienia i pozwolimy ci zabić oprawcę Priessla. Potem poczekamy na reakcję mizantropów. Może cię przyjmą do siebie”? Dlaczego nie zostałem pana świadomym agentem? Zamiast tego uczynił mnie pan agentem nieświadomym i naraził na niewyobrażalne cierpienia! Czy zdaje pan sobie sprawę, jak się czuje człowiek, który wie, że jest niewinny, a jednocześnie nie ma alibi, żadnej możliwości obrony! Ja już uwierzyłem,

że zabiłem te kobiety, kiedy byłem pijany, a po tym pijaństwie obudziłem się w lesie za Deutsch Lissa! I zacząłem się już obwiniać o wszystko. Gdybym popełnił samobójstwo, pan mógłby iść do mizantropów i powiedzieć im: „Zmusiłem Mocka do samobójstwa, spełniłem warunek, przyjmijcie mnie do siebie!” Dlatego niech mi pan tutaj nie mówi, że jestem niewdzięcznikiem! Nie wiem, co jeszcze musiałby pan zrobić, żebym panu dziękował!

- A to wystarczy, żebyś mi dziękował? - Mühlhaus otworzył teczkę i zaczął w niej czegoś szukać. Do nozdrzy Mocka dobiegł zapach tytoniu, przepalonej fajki i zatłuszczonych pergaminów, w które pani Mühlhaus owijała kanapki mężowi. W końcu radca kryminalny wyjął kartonową teczkę związaną na tasemki.

- Przestań hamletyzować, otwórz tę teczkę i czytaj - powiedział twardo - tylko uważaj, aby kartki nie porwał wiatr! Czytaj głośno! Tylko treść tego pisma! Daruj sobie daty i nagłówki!

- „Niniejszym uprasza się wielce czcigodnego pana radcę kryminalnego Heinricha Mühlhause oraz wielce czcigodnego pana nadwachmistrza Eberharda Mocka - czytał Mock - do stawienia się na uroczystej odprawie u prezydenta policji dnia 25 kwietnia br. o godzinie dziesiątej. Szanownym panom zostaną wręczone medale za zasługi dla bezpieczeństwa prowincji śląskiej oraz zostaną nadane im rangi, odpowiednio dyrektora kryminalnego i radcy kryminalnego. W wypadku obecnego nadwachmistrza, a przyszedłgo radcy kryminalnego Eberharda Mocka nowa ranga jest jednoznaczna z przeniesieniem go do policji kryminalnej i z mianowaniem go na zastępcę obecnego

radcy, a przyszłego dyrektora kryminalnego Heinricha Mühlhaus. Podpisano W K., prezydent policji w Breslau”. Zapadła cisza, przerywana jedynie stukotem dorożek odwożących ludzi po wieczornym przedstawieniu w Teatrze Miejskim. Mock nie odrywał oczu od oficjalnego pisma opatrzonego pieczętkami i adnotacjami typu „do wiadomości tego i tego”.

- Nie dziękuj mi, Mock - powiedział Mühlhaus - i w ogóle się nie odzywaj! Nie gadaj, lecz zabieraj się do roboty! W więzieniu śledczym siedzi dwudziestu czterech skurwysynów, którzy się przyznali do dwudziestu czterech morderstw sprzed lat. Mamy wszystkie dowody ich zbrodni. Oczy, palce, przedarte karty, kawałki materiału i tak dalej. Muszą się przyznać do tego raz jeszcze podczas oficjalnego przesłuchania. Weź tych skurwysynów w imadło, rozumiesz, Mock! W dwadzieścia cztery imadła. Dowiedz się o nich wszystkiego i tak ich ściśnij, że wyjdą im flaki!

- Teraz? - wydukał nowo mianowany funkcjonariusz policji kryminalnej. - Jutro jest Wielkanoc, idę do brata na śniadanie.

- A na co czekać? - Mühlhaus bezceremonialnie odebrał mu pismo prezydenta policji. - Przyjdiesz do mnie na drugie śniadanie i powiesz mi, ilu z nich załatwiłeś.

Mock kiwnął głową Mühlhausowi i ruszył na powrót w stronę Taentzienplatz.

- Hej, Mock, dokąd pan idzie? - krzyknął szef policji kryminalnej. - Idzie pan w niewłaściwą stronę! Oni siedzą w naszym areszcie przy Schuhbrücke, nie w więzieniu śledczym!

- Wiem - Mock odwrócił się i podeszedł do Mühlhausa. - Najpierw muszę jednak wziąć surdut i pojechać na Cmentarz Miejski przy Grabschener Strasse.

- O tej porze? Po co? - zapytał zdumiony Mühlhaus.

- Pora jest odpowiednia. - Mock rozglądał się za dorożką. - Zbliża się godzina duchów. A ja muszę coś powiedzieć duchowi, który jest mi bardzo bliski. Coś, co go bardzo ucieszy.

Mühlhaus rozpiął swój staromodny surdut, zdjął go i wręczył Mockowi. Wiatr wyduł bufiaste rękawy koszuli Mühlhausa, nad łokciami ściśnięte gumkami.

- Gdzie pan teraz znajdzie surdut? – powiedział kpiąco. - Niech pan weźmie mój! Będzie dobry na pana. Schudł pan trochę w tym więzieniu. A pan da mi swoją marynarkę, bo trochę zimno.

Mężczyźni zamienili się ubraniami i podali sobie ręce. Potem ruszyli w przeciwne strony. Odprowadzał ich zdumionym wzrokiem wartownik spod komendantury. Od roku służył w Breslau i dziwaczne widział już rzeczy, ale jeszcze nigdy nie spotkał się z taką wymianą marynarek, żeby ich nowym właścicielom nie pasowały one ani do figury, ani do reszty garderoby. Mniej by się dziwił, gdyby chodził do gimnazjum i czytał Homera.

\* \* \*

Wielkanocne wydanie „Breslauer Neueste Nachrichten” z dnia 20 kwietnia 1924 roku, s. 1:

#### CAŁA PRAWDA O EBERHARDZIE MOCKU

„Od pół roku mieszkańców naszego miasta żywo interesują losy nadwachtmistrza Eberharda Mocka, który pracował w decernacie obyczajowym Prezydium Policji. W październiku minionego roku Mock został

aresztowany pod zarzutem uduszenia dwóch ulicznych kobiet, Klary Menzel i Emmy Hader. Do ujęcia Mocka przyczyniły się ustalenia daktyloskopii, czyli specjalistycznej metody identyfikacji odcisków palców. Przypadkowe porównanie odcisków, jakie zostawił morderca obu kobiet na pasku - narzędziu mordu, z odciskami palców funkcjonariuszy Prezydium Policji wyraźnie wskazało na Mocka jako na sprawcę. Został on zatem aresztowany, osadzony w więzieniu i postawiony w stan oskarżenia. Tam, jako były policjant, spotkał się ze straszną nienawiścią więźniów. Broniąc się przed śmiertelnym zagrożeniem, zabił w afekcie jednego ze swoich dręczycieli. W trakcie przesłuchań Mock ujawnił, że całą zbrodnię mógł sfingować, a jego samego oskarżyć niejaki Hermann Utermöhl, przestępca podejrzany o liczne kradzieże i zabójstwo. Utermöhl nienawidził Mocka i wielokrotnie odgrażał się, że go zniszczy. Pewnej nocy, kilka miesięcy przed aresztowaniem, do mieszkania Mocka ktoś się włamał i ukradł mu pasek od spodni, którym później uduszono obie kobiety.

Szef policji kryminalnej, radca kryminalny Heinrich Mühlhaus, uwierzył Mockowi i podjął decyzję o ponownym śledztwie w sprawie Hader i Menzel. Pierwszą decyzją Mühlhausa była ekshumacja zwłok zamordowanych kobiet. Po rozkopaniu grobu jednej z ofiar okazało się, że obok trumny znajdują się w nim również inne zwłoki, które później zidentyfikowano jako ciało Hermanna Utermöhla. Autopsja wykazała, iż Utermöhl otruł się cyjankali. Radca Mühlhaus podejrzewa, że Utermöhl, człowiek niezrównoważony psychicznie i morfinista,



popęłił samobójstwo po zamordowaniu obu kobiet. Że on tego dokonał, świadczy również ząb, który znaleziono w jego kieszeni, a który został wyrwany ze szczęki kobiety. Pozostaje jedynie pytanie, kto zasypał ziemią Utermöhla, kiedy ten już zgryzł fiolkę z trucizną.

To pytanie jest ważnym wyzwaniem dla policji kryminalnej, dla Heinricha Mühlhausa i dla jego nowego zastępcy Eberharda Mocka. To niezwykła wiadomość! Mock został przyjęty do policji kryminalnej i awansował na stopień radcy kryminalnego. Będzie bronił naszego miasta przed przestępcami u boku dyrektora kryminalnego Heinricha Mühlhausa. Dlaczego obaj panowie awansowali? Dokonali dzieła wiekopomnego. Rozbili straszliwą sektę morderców, do której należeli pierwsi obywatele Śląska. Wśród nich był między innymi sędzia Sądu Krajowego. O tempora, o mores! To doprawdy straszne, że ktoś, kto powinien się troszczyć o sprawiedliwość i bezpieczeństwo obywateli, jest jednocześnie bezwzględny i okrutny zbrodniarzem. Ale nazwisko sędziego i całą historię teraz przemilczę. Wszystkiego dowiedziecie się, Szanowni Czytelnicy, z jutrzejszego wydania naszej gazety. Czytajcie BNN również w Poniedziałek Wielkanocny! Miłego odpoczynku przy BNN życzy Szanownym Damom i Panom

Dr Otto Tugendhat, redaktor naczelny”.

Breslau, czwartek 10 września 1925 roku,  
czwarta po południu

Wytwornie urządzone gabinet radcy kryminalnego Eberharda Mocka bardziej przypominał elegancki salon niż ascetyczny pokój do pracy, w którym żaden szczegół nie powinien odrywać napiętej uwagi

i rozbijać surowego łańcucha sylogizmów, a ewentualnych przesłuchiowanych powinien napawać lękiem przed nieubłaganą sprawiedliwością. Prezydent policji Wilhelm Kleibömer długo się wahał, czy wyrazić zgodę na nietypowy wystrój gabinetu, aż w końcu przekonało go obszerne urzędowe pismo, pełne punktów i podpunktów, które wyszło spod pióra świeżo mianowanego radcy. W piśmie tym Mock precyzyjnie i jasno uzasadnił konieczność zakupu takiego wyposażenia, a jego argumenty odwoływały się do nowoczesnych metod przesłuchań. Podejrzany łatwo przyzna się do winy, a strachliwy świadek porzuci milczenie, wykazywał w swym piśmie Mock, kiedy będzie przesłuchiwany najpierw uprzejmie i łagodnie, w otoczeniu znanych mu sprzętów, a następnego dnia ostro i zdecydowanie w pustej, wybetonowanej piwnicy przez innego, najlepiej brutalnego policjanta. Podświadomie będzie chciał ów przesłuchiwany powrócić do przytulnego wnętrza oraz łagodnego oficera śledczego i stanie się bardziej podatny na perswazje, skłaniające go do złożenia prawdziwych zeznań. W tym piśmie Mock powoływał się na prace naukowe doktora Richarda Hönigswalda z Wydziału Psychologicznego Seminarium Filozoficznego Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma w Breslau i cytował kilkakrotnie długie ich passusy. To właśnie owe cytaty, naukowy styl pisma, precyzja punktów i podpunktów, a nade wszystko - deklaracja Mocka, iż koszty wyposażenia pokryje z własnej kieszeni, sprawiły, że prezydent policji po kilkudniowym wahaniu wyraził zgodę, pod warunkiem jednakże, iż Mock nie będzie traktował swojego gabinetu jak mieszkania. Ten warunek nie był dla nowego radcy kryminalnego trudny do

spełnienia, ponieważ - dzięki nowemu, wyższemu uposażeniu - wynajął piękne pięciopokojowe mieszkanie z łazienką i służbówką na Rehdigerplatz.

Nic więc dziwnego, że ciemnowłosa nauczycielka muzyki, dwudziestokilkuletnia panna Inga Martens, nie mogła się napatrzeć na wystrój gabinetu zakupiony w luksusowym sklepie Wilhelma Kornatzkiego. Siedziała przy stole nakrytym serwetą, stojącym na eleganckim zielonym dywanie. Na stole był wazon z wodą nieco pożółkłą i kwiatami cokolwiek przywiędłymi, co panna Martens - patrząc z lekkim niepokojem, ale i zainteresowaniem na krępego bruneta o kwadratowej, świeżo wygolonej szczęce - z uśmiechem tłumaczyła sobie męską niefrasobliwością i nieczułością na piękno kwiatów. Nad nią był okrągły żyrandol, z którego zwieszały się żarówki ukryte w kloszach w kształcie żółędzi. Po prawej stronie, pod wielkim obrazem przedstawiającym morską burzę, całą długość ściany zajmowały niewysokie kredensy, a w nich zamiast kryształowych karafek, kieliszków i pucharów stały - co również nieprzyjemnie dotknęło pannę Martens - segregatory o starannie wykaligrafowanych grzbietach. Na małym podwyższeniu w podokiennej wnęce mieściło się biurko, również nakryte serwetą i również ozdobione wazonem, lecz tym razem pustym.

W wypadku powabnej nauczycielki efekt psychologiczny, który miało wywoływać „domowe” wnętrze, wcale się nie pojawił. Stało się wręcz odwrotnie. Ruchliwa i bogata wyobraźnia panny Martens szybko rozebrała policjanta z ciemnego, dobrze skrojonego ubrania i odziała go w domowy szlafrok z aksamitnymi wyłogami i w szlafmycę. Skutkiem był wybuch perlistego śmiechu panny Martens, co radca

kryminalny przyjął z wyrozumiałym i nieco - co z drzeniem skonstatowała - lubieżnym uśmiechem.

- Miło mi, że ma pani dobry humor. - Mock wyciągnął w stronę młodej kobiety srebrną papierośnicę. - Ale pozwolę sobie przypomnieć o celu pani wizyty...

- Tak, tak - szybko odpowiedziała, biorąc papierosa. - Przepraszam, nigdy jeszcze nie byłam w takim biurze...

Mock nie powiedział ani słowa, lecz mocnymi, krótkimi palcami pobębnił przez chwilę o serwetę.

- No to co mam robić? - zapytała.

- Opowiedzieć mi wszystko - odparł Mock, zastanawiając się, czy to właśnie domowa atmosfera, czy też piękne oczy i usta panny Ingi sprawiły, że na to uległe pytanie „co mam robić” pojawiły się w umyśle Mocka nieprzyzwoite odpowiedzi. - Od momentu, w którym pani przerwała. To znaczy od chwili, kiedy w nocy obudził panią huk nad głową...

- Tak, właśnie tak było. - Panna Martens wypuściła w górę dym, nie zaciągając się nim. - Huknęło coś nad moją głowę. Obudziłam się. Byłam przerażona. Wtedy spojrzałam przez okno i wrzasnęłam. Za oknem rysował się jakiś ciemny kształt. Po chwili, wstrząśnięta, kuląc się w kącie pokoju, wyróżniłam w tym kształcie nogi, ręce, głowę... I sznur... To było straszne... panie radco, za moim oknem był wisielec...

- I co dalej? - Mock nie mógł oderwać wzroku od jej biustu.

- Pobiegłam do stróża - odpowiedziała i zgasiła niezdarnie papierosa. - A on panów wezwał... To wszystko... Do rana nie wróciłam do mojego mieszkania...

- A dokąd pani poszła? - zaciekawiał się Mock.  
- O, mam dokąd pójść. - Panna Martens lekko się uśmiechnęła. - Mam wielu przyjaciół w Breslau, mimo że jestem tu od niedawna... Ale byłam zbyt roztrzęsiona, aby dokądkolwiek pójść... Spędziłam noc u stróża... - Teraz uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Och, źle się wysłowiłam... Pani Suchantke, zacna małżonka stróża, towarzyszyła mi do rana w swojej jadalni... To wszystko, panie oficerze...

Mock nie zdążył zareagować jakimś błyskotliwym bon motem o rozczarowaniu i frustracji stróża, kiedy ktoś zapukał głośno do drzwi.

- Wejść! - rozkazał Mock donośnym głosem.

- Melduję, panie radco - Kurt Smolorz spojrział z zakłopotaniem na pannę Martens - że w sprawie wisielca.

- Mówcie przy tej panie - rzucił Mock, widząc, że oczy jego rozmówczyni robią się okrągłe z ciekawości. - Panna wczoraj znalazła te zwłoki.

- Dziwne - powiedział Smolorz, wciąż nieufnie patrząc na nauczycielkę. - To pański dobry znajomy. Z więzienia. Niejaki Dieter Schmidtke.

Panna Martens otworzyła usta z przejęcia.

- I jeszcze jedno jest dziwne. - Smolorz zbliżył się do Mocka, jakby chciał mu coś szepnąć do ucha, lecz machnięcie ręki jego rozmówcy kazało mu porzucić tę konfidencję. - Przy trupie był święty obrazek. W kieszeni kamizelki. Święta Jadwiga.

- Dziękuję wam, Smolorz - powiedział Mock i odprowadził wzrokiem wiernego podwładnego, kiedy ten opuszczał gabinet.

Zapadła cisza. Za oknem, na Schuhbrücke, gwałtownie zahamował tramwaj i nastąpiła kłótnia pomiędzy motorniczym a kimś jeszcze, tak

gwałtowna, że wyzwiska sięgnęły drugiego piętra prezydium i wdarły się w uszka przesłuchiwanej, nawykłe do muzyki.

- Jaki pan jest nieczuły - powiedziała nagle wzburzona Inga Martens - ten wisielec to pański znajomy, a ponadto zabił go jakiś maniak religijny... A na pana to nie robi żadnego wrażenia... Nic pana naprawdę nie dziwi?

- Droga panno Martens - odpowiedział Mock z uśmiechem i swoją krótkopalczystą mocną dłonią przykrył jej wysmukłe palce. - Mnie w tej całej sprawie dziwi tylko jedno... Że tak piękna młoda panna śpi sama... To doprawdy niewytłumaczalne...

Powieść ukończyłem we Wrocławiu,  
w piątek 18 maja 2007 roku, o godzinie 15:37

## Podziękowania

Ogromnie wdzięczny jestem moim pierwszym Czytelnikom: Mariuszowi Czubajowi, Zbigniewowi Kowerczykowi i Przemysławowi Szczurkowi, którzy przeczytali tę powieść w błyskawicznym tempie i zgłosili bardzo istotne uwagi stylistyczne, redakcyjne i fabularne. Za wszystkie ewentualne błędy winę ponoszę tylko ja.

## Indeks nazw topograficznych

Agnesstrasse - ul. Bałuckiego

Altbusserstrasse - ul. Łaciarska

Am Weidendamme - wieża wodociągowa „Na Grobli”; również nazwa ulicy Na Grobli

An der Gucke - Brochowska Antonienstrasse - ul. św. Antoniego

Bismarckstrasse (Deutsch Lissa) - ul. Eluarda (Wrocław-Leśnica)

Benau – Bieniów

Blücherplatz - pl. Solny

Brauerfasschen - Zaulek Browarny

Breitestrasse - ul. Purkyniego

Buchwald – Bukówek

Burgfeld - ul. Cieszyńskiego

Carlowitz - Karłowice

Cmentarz Miejski - Cmentarz Grabiszyński

Cmentarz parafii św. Henryka - cmentarz św. Ducha

Dahnstrasse - ul. Moniuszki



Deutsch Lissa - Leśnica  
Dom Krajowy - dziś nieistniejący

Elbing - Elbląg  
Flurstrasse - ul. Małachowskiego  
Freiburger Strasse - ul. Świebodzka

Gandau - Gadów  
Gartenstrasse - ul. Piłsudskiego  
Giersdorf - Podgórzyn  
Gimnazjum św. Jana - dzisiejszy Zespół Szkół Ekono-  
miczno-Administracyjnych im. Marii Dąbrowskiej,  
przy ul. Worcella 3  
Goldberg – Złotoryja  
Grabschener Strasse - ul. Grabiszyńska  
Graupenstrasse - ul. Krupnicza  
Grünberg - Zielona Góra

Hermannsdorf - Jerzmanów  
Hirschberg - Jelenia Góra  
Holteihöhe - Wzgórze Polskie  
Hotel „Cztery pory roku” - dzisiejszy hotel „Polonia”  
Hotel „Furstenhof” - dziś nieistniejący  
Hotel „Germania” - dziś nieistniejący  
Hotel „Pod Rucianym Wiankiem” - dziś nieistniejący  
Hummerei - ul. Kazimierza Wielkiego

Frankenstein - Ząbkowice Śląskie

Jahnstrasse - ul. Sokolnicza  
Junkernstrasse - ul. Ofiar Oświęcimskich

Kaiserbrücke - Most Grunwaldzki  
Kaiser-Wilhelm-Platz - pl. Powstańców Śląskich

Karlsplatz - pl. Bohaterów Getta  
Klein Mochbern - Muchobór Mały  
Klein Tschansch - Księżę Małe  
Klosterstrasse - ul. Traugutta  
Königsberg – Królewiec  
Königsplatz - pl. Jana Pawła II

Lessingplatz - pl. Powstańców Warszawy  
Lessingstrasse - ul. Dobrzyńska  
Lilienthal - Poświętne Lissa - Leśnica

Martin-Opitz-Strasse - ul. Żelazna  
Matthiasplatz - plac św. Macieja  
Mauritiusbrücke - Most Oławski  
Muzeum Rzemiosła Artystycznego i Starożytności - przy  
Graupenstrasse 14, dzisiaj nieistniejące; gmach muzeum stał na  
rogu dzisiejszego pl. Wolności i ul. Krupniczej

Neumarkt - Środa Śląska  
Neue Schweidnitzer Strasse - ul. Świdnicka  
Neue Taschenstrasse - ul. Kołłątaja

Oderstrasse - ul. Odrzańska  
Ofener Strasse - ul. Krakowska  
Ogród Schaffgotschów - ogród za C. K. „Pałacyk” przy  
ul. Kościuszki  
Ohlauerstrasse - ul. Oławska  
Ostpark - Park Wschodni

Pałac baronostwa von Riepenhausen - dzisiejszy Dom Kultury  
„Zamek” w Leśnicy

Pasaż Riemberga - przejście prowadzące z pl. Solnego  
na pl. Bohaterów Getta  
Passbrücke - Most Zwierzyniecki  
Plessenstrasse - ul. Pszczyńska

Rehdigerplatz - pl. Pereca  
Ritterplatz - pl. Nankiera

Salzstrasse - ul. Cybulskiego  
Schuhbrücke - ul. Szewska  
St. Johannesplatz (Deutsch Lissa) - pl. Świętojańsk (Wrocław-  
Leśnica)  
Strehlen – Strzelin  
Südpark - Park Południowy

Tauentzienplatz - pl. Kościuszki  
Teatr Lobego - nieistniejący teatr przy Lessingstrasse  
(Dobrzyńska)  
Teichstrasse - ul. Stawowa  
Tiergartenstrasse - ul. Skłodowskiej-Curie  
Trebnitz - Trzebnica

Urząd Monopolowy - nieistniejący, w tym miejscu stoi dziś gmach  
Instytutu Geologii Uniwersytetu Wrocławskiego

Waldenburg – Wałbrzych  
Weidenstrasse - ul. Wierzbowa  
Wilhelmsruh – Zacisze  
Wilhelmsufer - pl. Maksa Borna  
Woischwitz - Wojszyce

Zobten - Sobótka